BOŻE, BEATA!

Mateusz Glen

TA JEDNA CIOTKA

Mateusz Glen

TA JEDNA CIOTKA

BOŻE, BEATA!

POWIEŚĆ KOMEDIOWA

JEDNYMSŁOWEM
znak

KRAKÓW 2024

Tę książkę dedykuję
Beacie…
żeby się w końcu ogarnęła,
bo ja wiecznie żyć nie będę.

BOŻE, BEATA!

MAM NADZIEJĘ, ŻE JAK WRÓCĘ, TO WSZYSCY BĘDĄ ŻYĆ

Dejta spokój, co za upał. Toć gdybym wiedziała, że taki skwar tu będzie, tobym jajka spakowała i jajecznicę na tym betonie usmażyła na drogę. Dopiero co wyszłam z domu, a już czuję delikatne ściskanie w żołądku – dobrze, że prowiant spakowałam, to i podróż szybciej i przyjemniej zleci. Wyjmuję chusteczki i ocieram pot z czoła, a przy okazji osuszam niepostrzeżenie oko, w którym zakręciła się samotna łza. Dokładnie w tej chwili z oddali słychać ostrzegawczy gwizd nadjeżdżającego pociągu. Nie wiem, dlaczego zawsze ogarnia mnie wzruszenie na widok lokomotywy wtaczającej się na peron, a serce mi szybciej bije… Ach, witaj, przygodo! A może to po prostu stres, który przeciska się między jelitami. Chcę się podzielić z bliskimi tym uniesieniem, ale jedyne słowa, jakie przychodzą mi do głowy, to wiersz z elementarza.

– „Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa” – recytuję Tuwima. – „Tłusta…” – Patrzę znacząco w kierunku Beaty i kieruję wzrok na jej obfite biodra. – No, co było dalej?

– Margaryna? – odpowiada nieśmiało.

– Boże, Beata, sama jesteś margaryna! Tłusta oliwa.

Ja nie wiem, jak ona podstawówkę ukończyła. Ja Tuwima mam w małym palcu! Toć przecież Kubuś uwielbia, jak ja – jego ukochana ciocia – czytam mu bajki. Ech, co ja gadam, jakie czytanie? Z pamięci już wszystko mówię! A to *Pchłę Szachrajkę*, a to *Na straganie*. Ale nie że się chwalę, nie jestem samochwała.

– Ciociu, będę tęsknił – słyszę smutny głos Kubusia. – Wrócisz do nas?

Schylam się do chłopczyka i patrzę w te jego zaszklone oczęta.

– No oczywiście! Gdybym mogła, tobym cię zabrała ze sobą, ale byś się tam nudził w tym sanatorium. A ciocia wróci zdrowa i będzie się z tobą więcej bawiła, tak?

– Tak! – krzyczy radośnie, po czym rzuca mi się na szyję i prawie zrywa medalik z Matką Boską.

– No już, synuś, bo ciocię udusisz – mówi Teresa. – Masz wszystko? Sprawdzałaś dwa razy?

– Tak, tak.

Naprawdę spakowałabym Kubusia do walizki, bo aż strach go zostawiać z tymi kobietami. Dzieciak dopiero co u komunii był, jeść i rosnąć powinien, a te go zagłodują. Ani talentu do ciast nie mają, ani zraza porządnego nie zrobią, a o gołąbkach już nawet nie wspomnę. Prędzej by na Księżyc chciały odlecieć, niż trafić do dania wedle przepisu Beaty czy Teresy.

– Teresa, pamiętaj, proszę, żeby mu skórkę z pomidora odkrajać, bo przecież się do żołądka przyklei i tragedia będzie – przypominam jej. – A jak zapomnisz, to mu coli daj, ale w szklanej butelce koniecznie!

Moje rady już nie raz ratowały zdrowie temu czy tamtemu w tej rodzinie. Mam nadzieję, że jak wrócę, to wszyscy będą żyć.

Na peron wtacza się pociąg, ale mam jeszcze trochę czasu do odjazdu. Dobrze jest mieszkać w Gdyni, bo tu tylko początkowa i końcowa stacja, to mniejszy stres. Nie to, co po drodze – pociąg zatrzymuje się na minutę, a ludzie biegną jak szczury w kanałach i szukają tych swoich wagonów. Harmider wtedy jak na rynku w piątek.

– Boże, Beata, ty pamiętaj kwiaty podlewać, bo jak wrócę i zobaczę choć jednego liścia żółtego, to nie ręczę za siebie! – ostrzegam, łapiąc mocniej za rączkę walizki, którą dostałam kiedyś od mojej chrześnicy Gośki.

To ona sprezentowała mi ten wyjazd. Dostałam zalecenie, żeby pojechać do sanatorium, ale dejta spokój, drogie to jak węgiel w grudniu. No ale Gośka serce okazała i w moje zdrowie zainwestowała. Żeby ona tak inwestowała w bycie matką, toć jej zegar biologiczny już bije – ale ja się nie wtrącam.

– Kubusiu, bądź grzeczny w te wakacje, wychodź dużo na dwór, powietrza wdychaj świeżego, tak?

Dzieciak kiwa głową.

– I mamy się słuchaj!

Pociąg odjeżdża za pięć minut, więc wszyscy kierujemy się w stronę odpowiedniego wagonu.

Tulę mocno Kubusia, Teresę i Beatę trochę lżej, toć nie będę sił marnować. Raz jeszcze zerkam na bilet, upewniam się, czy mam wszystko w torebce. Razem z Beatą taszczymy walizkę do środka, potem mi ją ktoś da nad siedzenie.

Znajduję swój przedział, który na szczęście jest pusty, ale na nieszczęście to początek trasy, więc po drodze na pewno ktoś się dosiądzie.

– Pięknie, będziemy się kisić jak ogórki w słoiku – mruczę pod nosem.

Z trudem otwieram okno i macham do bliskich. Włosy targa mi nadmorski wiaterek, kiedy pociąg rusza, a napis GDYNIA GŁÓWNA oddala się z każdą sekundą. Kubuś biegnie za moim wagonem, aż w końcu znika mi z pola widzenia. Ten to ma zdrowie, ja tak ostatnio biegłam, jak karpia na promocji dali.

Chowam się do środka, coby mnie nie przewiało. Przecież wczoraj u fryzjerki byłam, a Danka jak mi fryzurę zrobi, to chwalcie łąki umajone. Perłowy blond i wyglądam jak z jakiej okładki krzyżówek!

Szybko biorę komórkę i dzwonię do Beaty.

– Boże, Beata, bym zapomniała! Teresie przekaż, żeby Kubusiowi powiedziała, żeby nie siedział pod blokiem na ziemi, bo wilka dostanie! Jeszcze tego by brakowało, żeby sobie siedzenie podziębił! – przypominam jej. – Tak, toć będę dzwoniła często, już ci mówiłam, kończę, bo sygnał słaby jak twoje cebulki. No, pa, pa, pa, no, pa, pa. – Rozłączam się i poprawiam rozwiane włosy.

Dzięki Bogu mnie ta Danka wcisnęła przed wyjazdem, bo jak bym wyglądała? Na moje szczęście poopowiadała mi, jak to jest w sanatorium i co mnie czeka. Ale ona to trochę bajkopisarka, to tak trzeba ostrożnie jej wierzyć. Podejść jak pies do jeża, o. Kto wie, może w tym Ciechocinku będzie ciekawiej, niż mi się zdaje?

Sięgam do torebki, wyciągam opakowanie cukierków pudrowych, biorę dwa do ust i ciumkam. Czy w sanatorium będę mogła jeść słodycze? W sumie kto mi może zabronić? Jadę tam głównie w celach rehabilitacyjnych po operacji przepukliny kręgosłupa, a nie na obóz odchudzający. Poza tym widziałam wszystkie odcinki *Na dobre i na złe* i jakoś nie kojarzę, żeby pacjenci tam nie mogli jeść słodyczy. Zawsze na stolikach nocnych przy łóżkach leżały talerze pełne owoców, ciasteczek i cukierków. Gdyby ktoś z moich bliskich trafił do szpitala, to przecież też bym mu robiła zapasy cukrowe, bo obiadami podawanymi w placówkach leczniczych można się prędzej potruć niż najeść. Biorę jeszcze dwa cukierki do ust, bo nagle przypomniał mi się smak suchego chleba i zwiotczałej mielonki, które podali mi kiedyś w szpitalu.

– Oby w sanatorium karmili jak trzeba – mówię do siebie, delektując się ciszą i samotnością w przedziale.

– Drodzy podróżni, zbliżamy się do stacji Sopot… – słyszę po chwili niewyraźny głos z głośnika. Albo konduktor strasznie szemrze, albo urządzenie trzeszczy bardziej niż mój stary telewizor.

Pociąg się zatrzymuje. Na peronie stoją rodziny z wózkami dziecięcymi, rowerzyści z kolorowymi kaskami, grupa dzieci z kolonii, cycate turystki w wielkich kapeluszach, jedna zakonnica, małolaty palące papierosy i… raz, dwa, trzy, cztery psy.

Wszyscy ruszają pędem w kierunku swoich wagonów. Przypomina mi się, jak kiedyś otwierali u nas nowy market. Ło pierunie, żeśmy biegły wtedy z Beatą jak na jakimś maratonie! Market chciał przyciągnąć nowych klientów, więc promocji porobili więcej, niż mam przetworów w piwnicy. Miałyśmy pełny koszyk sklepowy, a zapłaciłyśmy grosze. Już nie wspomnę o tym, jak żeśmy się przepychały do hostess, co rozdawały darmowe czekolady i soczki.

– Dobry – wita się młody chłopak wchodzący do mojego przedziału. Ma zmierzwione ciemne włosy, za dużą koszulkę i jeansy z dziurami na kolanach.

– Dzień dobry panu. Zanim pan siądzie, mogłabym mieć prośbę, żeby mi pan włożył walizkę na półkę? – Uśmiecham się uroczo. Toć nie odmówi starszej kobiecinie.

– Pewka. – Jednym ruchem podnosi bagaż i wsuwa go na metalową półkę, a przed moimi oczami wyrasta nagle jego owłosiony pępek. Ano, mógł założyć dłuższą koszulkę, toby się tak nie podnosiła. To młode pokolenie nie potrafi się ubrać.

– Dziękuję panu. – Nie mogę oderwać oczu od jego gołych kolan. Już sama nie wiem, co mnie razi bardziej: te dziury czy pępek. Oczopląsu idzie dostać. Muszę mu doradzić, bo przecież się nie domyśli. – Jak pan może w takich obdartych spodniach łazić i z gołymi nerkami? Niby lato, ale toć wystarczy mocniejszy wiatr, taki jak dzisiaj, i o, się pan zaziębi. A na starość to w ogóle bieda będzie.

Chłopak nie zdążył co prawda jeszcze spokojnie usiąść, ale co, jak zapomnę mu później powiedzieć? W moim wieku to nietrudne.

– Oj tam, oj tam. Przeżyję.

– Wspomni pan moje słowa… – Chciałam kontynuować wywód o zdrowiu i skutkach jego nieszanowania, ale Kawaler Pępek zdążył wcisnąć do uszu słuchawki bezprzewodowe i zamknąć oczy.

No pewnie, najlepiej się odłączyć od życia, ale przynajmniej już mi nie świeci tą kudłatą kopalnią paprochów!

Kiedyś zadzwoniłam do tej mojej chrześnicy Gośki, żeby ją przestrzec przed słuchaniem głośnej muzyki, bo jak tylko ma okazję, to robi sobie prywatny koncert czy to w samochodzie, w salonie, czy nawet pod prysznicem. W markecie czy w trolejbusie widziałam coraz więcej młodych osób z aparatami słuchowymi, i to w obydwu uszach. Byłam przerażona, bo przecież takie młode ludzie, a takie nieszczęścia! Pewnego dnia odwiedziła mnie Gośka, która też miała aparaty w uszach. Jak żem jej, zmartwiona i zła, zaczęła mówić, że mnie nie słuchała

i teraz ma, to mnie uświadomiła, że młodzi odchodzą od słuchawek z kablem i popularniejsze są te bezprzewodowe.

Kamień z serca, ale skąd ja miałam wiedzieć, że coś takiego w ogóle istnieje, a – co ciekawsze – jak to działa? Ta technologia tak pędzi do przodu, że nie nadążam.

– Dzień dobry – słyszę słodki, wysoki głos dziewczyny z małym plecakiem.

Za nią wchodzi jeszcze matka z kilkuletnim synkiem, którzy również się witają. Chłopak od słuchawek nie zareagował, chyba nawet nie otworzył oczu, więc kobieta sadza brzdąca na fotelu i sama próbuje załadować na górę pstrokatą torbę podróżną.

Momentalnie szturcham Kawalera Pępka w kolano i dłonią wskazuję nowych pasażerów. Podnoszę brwi i wzrokiem daję do zrozumienia, że matka potrzebuje pomocy przy walizce, ale Pępek chyba się zapatrzył na jej piersi.

W końcu łaskawie wstaje i wspólnie próbują wrzucić bagaż na półkę, a wyglądają przy tym jak dwie kulawe kaczki podczas godów! Co jak co, ale za ten koślawy taniec Beata Tyszkiewicz by im nawet dwójki nie dała. Pępkowi znowu wychodzi pępek, a tamta świeci cyckami. No że też ja muszę na to patrzeć! Ale cóż, czego się nie robi dla bliźnich.

Nagle uderza mnie duszący zapach perfum kobiety. Matko, co ona, została zaproszona do testowania zapachów i wylali na nią mieszankę resztek ze wszystkich flakonów? Perfumiara, widziałby kto. A może jest jedną z tych, co to łażą po drogeriach każdego dnia, coby się spryskać za darmo? Sama czasami tak robię, ale tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Kiedyś szłam do kościoła na nabożeństwo majowe i jak na złość wzięłam inną niż zwykle torebkę, ale bardziej pasowała mi wtedy do białego żakietu w kwiaty. Zawsze przed procesją perfumuję się obficie, więc tradycyjnie sięgam do torebki, a tu flakonu brak! Musiałam improwizować, bo przecież co? Siądę w ulubionej ławce i ludzie dookoła od razu wywęszą, że się nie wypachniłam. I, co gorsza, pomyślą, że mnie nie stać na zapachy!

Spojrzałam na zegarek – dobra, zdążę. Ciach, skręt w lewo i prosto do drogerii. A potem szybko na dział z perfumami. Wybrałam te z wyższej półki, bo przecież się nie będę jakimiś sikaczami za pięć złotych pryskać. Jak już pachnieć, to jak milion dolarów!

Toć testery nic nie kosztują, może ja na prezent potrzebuję kupić, przepróbować? Później przypadkowo zdarzało mi się częściej mylić torebki i zaglądać przed kościołem do drogerii, ale nie jestem jak te paniusie, co to codziennie degustację perfumową uprawiają! Ja tam uczęszczam przecież tylko w maju. To zupełnie co innego.

– Oj, duszno, może otworzymy okno? – pyta Perfumiara, a ja wpatruję się w jej synka, gapiącego się już w telefon, który, mam nadzieję, należy do matki, a nie do niego.

Młoda się zgadza. Kobieta patrzy na mnie i czeka na znak. Też się zgadzam. Chyba lepiej jechać całą podróż z watą w uszach, którą wyciągam z dna torebki, niż się udusić tą zapachową mieszanką. Może się pomodlę do Matki Boskiej Dębowej z Parczewa, żeby mi węch na ten czas zabrała.

W Gdańsku dosiadają się kolejne dwie osoby, a w Tczewie jedna i dzięki temu przedział wypełnia się na dobre. Dobrze, że nie siedzę na jednym ze środkowych miejsc, ni to głowy oprzeć o ścianę, ni to stolika nie byłoby pod krzyżówki. Raz żem tak jechała, to myślałam, że wyjdę z siebie i stanę obok, tak było niewygodnie.

Pociąg jedzie bez opóźnienia, lekkie kołysanie zaczyna mnie usypiać, ale nie mogę sobie pozwolić na sen. Toćbym przespała przesiadkę albo, co gorsza, okradliby mnie. Muszę się czymś zająć, więc wyciągam *300 panoramicznych* i otwieram na niebieskim. Nigdy nie rozwiązuję krzyżówek po kolei, tylko w zależności od koloru kartki, a teraz właśnie mam ochotę na błękit. Może to czyste niebo zza okna mnie skusiło, a może kolor oczu świętej pamięci Staśka?

– Epika – słyszę nagle głos z mojej lewej strony.

– Co takiego?

– Tu, na dole, gatunek z narracją, epika. – Ruda kobita, która wsiadła w Tczewie, wskazuje odpowiednią rubrykę w krzyżówce. Robi to długim paznokciem pomalowanym na fluorescencyjny zielony przypominający toksyczną maź.

– A tak, faktycznie – mruczę. Ale ma baba tupet, żeby tak zerkać w moje hasła! A jakbym trzymała paszport albo album ze zdjęciami, to też by tak oczy wytrzeszczała? Poza tym wiedziałam, że rozwiązanie to epika. Toć w epice, jak i w poezji, nie mam sobie równych!

– Też zawsze lubiłam rozwiązywać krzyżówki, ale na stare lata przerzuciłam się na sudoku. Litery mnie już znudziły.

– A ja pani powiem, że mnie do arytmetyki nigdy nie ciągnęło. Książki, wiersze, krzyżówki, piosenki jak najbardziej. Ale matematyka? A niech pani da spokój. – Podnoszę rękę i macham nią raz a porządnie. – Nawet w przepiśniku nie notuję iście liczbowych proporcji. Najlepiej na oko wychodzi, a poza tym tyle się tych ciast zrobiło, że na pamięć idzie upiec.

Zaśmiałyśmy się jednocześnie, czym zwróciłyśmy uwagę niektórych pozostałych pasażerów. Spojrzałam po nich i od razu stwierdziłam, że może dobrze, że Ruda wtrąciła się z tym paluchem. Będzie do kogo buzię otworzyć, bo reszta towarzystwa nie wygląda na chętną do rozmów. Każdy z nosem w telefonie, tylko Pępek ciągle w słuchawkach. Jeszcze w Gdyni byłam nastawiona na spokój i ciszę, ale jużem się tym zmęczyła, otworzyłabym do kogo gębę.

– A wysłała pani kiedyś hasła, żeby jakie pieniądze wygrać? – Nie wiedziałam w sumie, czy w sudoku też można zdobywać nagrody.

– Nie, nie. Ja to głównie dla przyjemności i zabicia czasu robię. A pani?

– Oczywiście, też dla przyjemności… – przytakuję. Toć nie będę się przyznawać, że za każdym razem, kiedy kupuję nowy numer, to rozwiązuję wpierw krzyżówki z hasłami konkursowymi. Jak już odgadnę rozwiązanie, to szybko lecę na osiedlową pocztę, a potem czekam na wyniki. Wygrałam dwa razy po dwieście pięćdziesiąt złotych. Przynajmniej się zwraca za koperty i znaczki.

Jedziemy już ponad dwie godziny, a ja swoje dwie kromki z masłem, wędliną i pomidorem zjadłam z samego rana. Wyjątkowo wypiłam tylko czarną herbatę z cukrem. Nigdy nie pijam kawy bezpośrednio przed podróżą lub wyjściem z domu – toćby mnie zaraz pogoniło.

Wstałam jak zwykle wcześnie, a dzisiaj dodatkowo musiałam sprawdzić ponownie walizkę, bo nie ufam swojemu wieczornemu wcieleniu. Skrupulatnie wykreślałam rzeczy z listy pakowania, ale wiadomo, jak to jest. Chwila nieuwagi i człowiek zostaje bez szczoteczki do zębów albo, co gorsza, bez ulubionych klipsów. Toć szczoteczkę kupi się w kiosku, a dobrej biżuterii nie zastąpi się pierwszą lepszą błyskotką.

Wyciągam z torebki starą, wysłużoną reklamówkę, do której spakowałam trzy kanapki: jedną z wędliną, drugą z ogórkiem i pasztetem, a trzecią z jajkiem i sałatą. Wszystkie starannie owinęłam folią aluminiową, ale nie wiem, która jest która. Zawsze tak robię – to przecież nutka adrenaliny. Taki kanapkowy totolotek.

Sięgam do reklamówki, maszyna losująca startuje… i jest, pasztet i ogórek! Stawiam na stoliku termos z gorącą herbatą do popicia. Dlatego lubię miejsca przy oknie – ma się ładny widok i swoje małe biureczko do rozwiązywania krzyżówek, a jednocześnie stolik jadalniany. Rozkładam prowiant niczym podczas jakiejś ceremonii i spoglądam na Perfumiarę trzymającą w jednej dłoni kanapkę, a w drugiej owocowy mus w saszetce. Na jej kolanach kołysze się podręczna torba wypchana jedzeniem. Gdyby zarezerwowała sobie wcześniej bilety, to może miałaby miejsce ze stolikiem przy oknie. A tak to mogę jej powiedzieć: „O, patrz, jak ja mam, a ty nie masz”. Męcz się, Perfumiaro od siedmiu boleści, zamiast zajmować się wylewaniem na siebie cebra zapachów, to mogłaś o miejscówkach pomyśleć.

Kiedy kończę kanapkę, wchodzi wysoki konduktor i ciepłym głosem prosi o bilety. Wraz z Rudą od razu wyciągamy dokumenty ze swoich torebek i jako pierwsze podajemy je do sprawdzenia. Cała reszta pasażerów zaczyna grzebać nerwowo po kieszeniach i plecakach albo szukać czegoś w telefonach. Gośka też

chciała mi kupić bilet przez komputer, ale dejta spokój, co by to było, jakby mi się telefon rozładował bądź nagle zepsuł?

Kątem oka widzę, jak konduktor przewraca oczami. Pewnie w każdym przedziale musi stać w nieskończoność i czekać, aż podróżni zbiorą się łaskawie do okazania biletów i dokumentów. Perfumiarze schodzi najdłużej, bo legitymację szkolną synka znajduje dopiero na dnie tej pstrokatej torby. A pewnie, po co niby nosić przy sobie dokumenty dziecka? Biedny konduktor, niewdzięczna robota.

– A gdzie pani wysiada? – zagaduje Ruda.

– Mam przesiadkę w Aleksandrowie Kujawskim – odpowiadam.

– O proszę, to jak ja! A potem dokąd się pani wybiera?

– Jadę do Ciechocinka, sanatorium się kłania.

– Co pani powie! – Robi minę, jakby co najmniej wygrała Telekamerę. Wytrzeszczone oczy, otwarte usta, czyste niedowierzanie. – Ja też tam jadę!

– O proszę, no świat to jednak mały! – Przyglądam się jej ponownie, żeby wyrobić sobie o niej zdanie. Ściska w ręku jakąś małą torebkę, a pilnuje jej jak oka w głowie. Co ona tam, złote jaja trzyma czy co? Muszę się czym prędzej dowiedzieć, z kim mam do czynienia. Toć jeszcze się okaże, że będziemy razem w pokoju.

Myślę, że jest w podobnym wieku co ja, ale los nie był dla niej łaskawy. Ja się starzeję jak wino, a ona jak mleko. Nie jest ani chuda, ani gruba. Ubrana schludnie, w beżową bluzkę z krótkim rękawkiem i w białe groszki, jasne jeansy i sandały, do tego niewielki wisiorek i dwa pierścionki. Kolczyków nie dostrzegam, bo uszy ma zasłonięte ściętymi do ramion wściekle rudymi włosami. Nawet pasują do jej paznokci, ale ja w takich kolorach bym nie wytrzymała. Gdyby była bohaterką wiersza Brzechwy *Na straganie*, to zdecydowanie byłaby marchewką.

– Elwira jestem, miło poznać. – Wyciąga dłoń w moją stronę.

Ściskam ostrożnie, bo nie chcę łokciem zahaczyć o termos. Za ciasno tu na jakiekolwiek akrobacje.

– Mnie również miło, kochana – odpowiadam z uśmiechem i zabieram dłoń, po czym po kryjomu wycieram ją o spódnicę. Nie lubię spoconych rąk.

– A pani nie ma imienia? – dopytuje Elwira.

– Oj, toć mam, ale rzadko kiedy używam, nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś się do mnie po imieniu zwracał. I tak prawie każdy mówi „Ciotka”, tak że pani niech też mnie tak nazywa, będę szybciej reagować. – Śmieję się i zdaję sobie sprawę, że faktycznie mało kto mówi mi po imieniu.

Na twarzy Elwiry dostrzegam zaciekawienie i zdziwienie, pewnie mnie wzięła za wariatkę albo jaką seryjną morderczynię, ale to jej byłoby szybciej kogoś zabić tymi zielonymi szponami. Chyba nie chciałabym jej w pokoju, jeszcze by mi wydłubała oczy przypadkiem, jakby szukała po ciemku włącznika podczas nocnej podróży do łazienki. Na szczęście każdy pokój ma własną, więc Elwira nie będzie narażać zdrowia innych, błądząc po korytarzach sanatorium.

Raz ze Staśkiem zatrzymaliśmy się w takim pensjonacie w Szczawnicy. Pokoik był niewielki, ale przytulny. Łóżko nawet znośne, po bokach niewielkie etażerki, a przy drzwiach stara szafa i niewygodny fotel ze wzorzystą tapicerką. Łazienka była wspólna dla danego piętra, więc goście z sześciu pokoi musieli się dzielić. Strasznie tego nie lubiłam i czułam się niekomfortowo za każdym razem, kiedy szłam na korytarz z kosmetyczką i ręcznikiem, modląc się w duchu, żeby tym razem nie było zajęte.

– No dobrze, niechaj będzie, kochana – skomentowała Ruda.

Następna stacja to Aleksandrów Kujawski, do przyjazdu zostało jeszcze piętnaście minut, ale już zaczynam się zbierać. Zawsze wolę wstać wcześniej i poczekać na korytarzu, niż w popłochu i stresie przeciskać się z bagażem do wyjścia. Na nasze szczęście Kawaler Pępek nie ma zamkniętych oczu, więc łapię z nim kontakt wzrokowy i zanim zdążę coś powiedzieć, wstaje i ściąga z półki moją walizkę.

– Tę obok jakby pan też ściągnął. – Ruda wskazuje palcem na bagaż.

Kawaler z łatwością zdejmuje nasze rzeczy, dziękujemy mu i powoli zmierzamy ku wyjściu. Zerkam ostatni raz, czy nie zostawiłam niczego w przedziale, a następnie żegnam się z podróżnymi. Nikt nie odpowiada, prócz młodej dziewczyny.

– Do zobaczenia! – słyszę jej piskliwy głosik.

Przynajmniej jedna kulturalna. Resztę chyba wychowały wilki. Biedny chłopczyk, może się wrócę i go zabiorę. Jego matka by pewnie nie zauważyła, taka jest zajęta przeglądaniem jakiejś gazetki modowej. Toćbym go wychowywała jak swoje albo jak Kubusia. Oj, byłby z niego porządny gość w przyszłości, może by został lekarzem albo nawet księdzem! Powiedziałby z dumą po latach: „Patrz, mamo, zostałem biskupem”, ale ona leżałaby tylko na wersalce, przykryta stertą kolorowych pisemek, zaczadzona perfumeryjną mieszanką. Taka z niej matka.

Stoimy z Elwirą na korytarzu, każda z nas jedną ręką trzyma uchwyt walizki, a drugą opiera się o ścianę. Pociąg się kołysze, więc wolę nie ryzykować upadku, zwłaszcza na to niedokładnie wyczyszczone linoleum. Przecieżbym rąk nie domyła. Musimy poczekać, aż jakie młode pokolenie dojdzie do drzwi, bo przecież żadna z nas nie da rady pociągnąć za wajchę tego ustrojstwa. I są! Na korytarz wychodzi para studentów z plecakami i kieruje się w stronę wyjścia. Chłopak jeszcze jako tako ubrany, ale tej małolacie to się chyba spodenki z majtkami pomyliły, mogła od razu z gołą dupą jechać. A żebyś zmarzła.

Pociąg staje, wspólnie z Rudą wyciągamy walizki na zewnątrz. Tamci ledwo co otworzyli drzwi i pędem pobiegli zapewne na jakiś autobus, więc musiałyśmy sobie same poradzić, a za nami nikt nie wysiadał. Dwudziesty pierwszy wiek, a człowiek dalej musi wchodzić i schodzić po zardzewiałych schodach wagonu. Nie mogliby zrobić pociągów bez schodków, z podłogą na wysokości peronu? Ile by to ludziom wygody dodało, przecież taszczyć bagaże na takie strome wysokości to i zdrowemu człowiekowi ciężko, a co dopiero starszym paniom udającym się do sanatorium.

W Aleksandrowie goręcej niż w Gdyni. Nad morzem szło chociaż wyczuć przyjemny, orzeźwiający wiatr, a tu upalne powietrze miesza się ze skwarem

nagrzanego betonu. Patelnia.

Wchodzimy do wnętrza dworca, w którym wita nas przyjemny chłodek, jak w kościele. Gdyby rozpalić tu teraz kadzidło, to czułabym się jak w swojej parafii.

– O, siądźmy tutaj. – Pokazuję na wolną ławkę niedaleko kiosku. Do Ciechocinka będziemy jechać autobusem, który odjeżdża dopiero za czterdzieści minut, więc mamy trochę czasu na odpoczynek, w końcu tyle żeśmy się nastały na tym korytarzu, że aż nogi mnie rozbolały. – Trzymaj blisko walizkę, Elwirko. Nie znam tego miasta, cholera wie, jakie łobuzy tu żyją – ostrzegam nową koleżankę, ściskając uchwyt bagażu i torebkę.

– Teraz to tak nie kradną. Jak? W biały dzień?

– No a co, kieszonkowcy to o każdej porze grasują. Nie znasz, kochana, dnia ani godziny. Kiedyś jechałam w Gdyni trolejbusem do centrum. Trolejbus to taki autobus, ale na prund, takie druty ma na dachu.

– Wiem, wiem, co to trolejbus.

O proszę, jaka inteligentna.

– No więc siedziała żem sobie i obserwowała ludzi dookoła. Jak zawsze było ich od groma, a na środku pojazdu stał jakiś podejrzany chłop, źle mu z oczu patrzyło. Taki typ spod ciemnej gwiazdy. Rozglądał się dziwnie i w pewnym momencie zaczął grzebać ręką w płaszczu stojącej do mnie tyłem kobiety. Od razu żem krzyknęła, że złodziej, że bandzior! Wszyscy skierowali oczy wpierw w moją, a następnie w jego stronę.

– Co pani powie?!

– No, toć mówię. Mężczyzna od razu się wycofał, próbował wysiąść z trajtka, który jechał właśnie przez ruchliwe skrzyżowanie. Dwie osoby zaczęły go nagrywać albo robić mu zdjęcia, ktoś zadzwonił na policję, a on, pani sobie wyobrazi, kopnął z całej siły w drzwi! Na stłuczonej szybie zrobił się taki wzór pajęczyny, ludzie zaczęli krzyczeć z przerażenia. Na szczęście zaraz jakiś wielki mężczyzna przeszedł szybko z tyłu pojazdu i przewrócił tamtego na ziemię,

obezwładnił go jak na filmach. Cała akcja trwała może kilka sekund, ale to był widok niczym z *W11 – Wydział Śledczy*, pamięta pani ten program?

– Naturalnie.

– Wysiedli razem na najbliższym przystanku, pewnie ten duży chciał dopilnować, żeby złodziej trafił we właściwe ręce. Mam nadzieję, że się wyspowiadał ze swojej próby kradzieży. Taki duży, taki mały może świętym być.

Mam wrażenie, że wystraszyłam Rudą, bo mocniej ścisnęła rączkę walizki, aż wyszły jej żyły na dłoni. Przynajmniej odwracają uwagę od suchej skóry. Co ona, nie wie, że istnieje krem do rąk?

– Ja po operacji na dysk, a ty z jakiego powodu jedziesz? – zagaduję, bo po mojej opowieści Ruda stała się dziwnie milcząca.

– Głównie rehabilitacyjnie, miałam jakiś czas temu operację stawu biodrowego. – Elwira symbolicznie klepie się po boczku, jednak na widok jakiegoś niemrawego mężczyzny szybko kładzie rękę z powrotem na walizce. A jednak mnie posłuchała, będą z niej ludzie.

– O masz! Jak nie urok, to sraczka, co? – odpowiadam krótko, a tamta kiwa głową z lekkim uśmiechem.

W sumie dysk i biodro to chyba ta sama kategoria sanatoryjna, tak przynajmniej pisali w „Chwili dla Ciebie”. Może faktycznie zakwaterują nas razem.

– Ale by było, jakbyś się moją współlokatorką okazała – mówię.

– Oj, nie, córka wykupiła mi prywatny pokój. Nie chciałam, żeby tyle płaciła, ale nalegała. – Elwira odgarnia włosy za lewe ucho. Wreszcie widzę: jednak nie ma kolczyków ani klipsów.

No pięknie, teraz wyszłam na biedną. Ciekawe, czemu Gośka mi nie załatwiła jednoosobowego pokoju, do tego twierdziła, że to sanatorium nie ma w ofercie jedynek.

– A ty też do Bursztynka jedziesz? – upewniam się i wygładzam spódnicę.

– Dokładnie!

Co za franca z tej Gośki. Poskąpiła starej ciotce pieniędzy na jedynkę? Niech no tylko przyjdzie dzień jej urodzin, już ona zobaczy, co to znaczy być skąpym.

BOŻE, BEATA!

TU KRADNĄ TARYFY

Stoimy na przystanku i czekamy na autobus, który zawiezie nas prosto do Ciechocinka. Słońce praży niemiłosiernie, aż mi się wilgotno pod pachami robi. Dobrze, żem się ubrała w jasną bluzkę, to aż tak plam nie będzie widać.

Podjeżdża całkiem nowoczesny biały ogórek na kółkach, z którego wysiada mężczyzna, prawdopodobnie drugi kierowca, co to sprawdza bilety i pakuje walizki do schowka. Miejsca nie są na szczęście numerowane, więc po zdaniu bagażu wspinamy się po stromych schodach i siadamy mniej więcej na środku autobusu. Wiadomo, najbezpieczniej.

Kiedyś u fryzjerki podsłuchałam, że największe prawdopodobieństwo zginięcia w wypadku jest podczas siedzenia z przodu bądź z tyłu pojazdu. Ponoć dotyczy to też samolotu, ale tam to chyba nie ma znaczenia? Toć jak taka maszyna spadnie z wysokości nawet nie wiem ilu kilometrów nad poziomem morza – czy czegoś tam, w czym się liczy – to mało kto przeżyje.

Fotele są znacznie wygodniejsze niż w pociągu, a z wywietrznika nad głową leci przyjemny wiaterek. Kusi mnie, żeby zostawić go skierowanego na mnie, ale znając życie, to posiedzę chwilę i mnie zawieje. Przekręcam pokrętło, by zamknąć wypływ powietrza. A może odpływ? A co ja, Wisła, żebym się znała?

– Autokar nie jedzie bezpośrednio pod sanatorium, to może weźmiemy taryfę pod ten Bursztynek? Co się będziemy z bagażami tułać? Kierowca nam wciągnie i wyciągnie te toboły – proponuję chwilę po ruszeniu. – Wyjdzie taniej.

Elwira jest zachwycona pomysłem, ale jakoś tak aż za bardzo, jakbym jej życie uratowała. No i dalej dziwnie się zachowuje. Łazi jakaś taka spięta, zgadza się na wszystko, co zaproponuję, a patrzy na mnie z wdzięcznością, jakbym jej rękę podawała na bagnie czy innym trzęsawisku. Może nie chciała narzucać wydawania pieniędzy na podwózkę albo po prostu o tym nie pomyślała. Ja marzę, żeby być już na miejscu, plecy dają się we znaki od siedzenia. Gdybym całą drogę stała, to bolałyby mnie nogi. I tak źle, i tak niedobrze, jakiej by człowiek pozycji nie przyjął, to i tak się zwinie z bólu niczym naleśnik. Oj, zjadłabym naleśnika.

Na myśl o jedzeniu wyciągam kanapkę, tym razem trafiam na wędlinę i pomidora.

– Tyś coś jadła? – Odwijam folię aluminiową i odgryzam kęs.

– Tak, śniadanie w domu, ale przecież ja w Tczewie wsiadałam, to jeszcze nie zdążyłam zgłodnieć. Wzięłam tylko banana na wszelki.

Teresa kiedyś mówiła, że ponoć pocieranie zębów wewnętrzną stroną skórki od banana je wybiela. W sensie zęby, nie banany. Ja nie próbowałam, bym jak jaka małpa wyglądała. Zdarza się natomiast, że jak kupuję kiść bananów, to wieszam je w kuchni na wieszaku na ubrania. One wtedy myślą, że są ciągle na drzewie albo jakiej palmie i tak szybko nie dojrzewają. A jak jest miejsce, to najlepiej nad zlewem wieszać, bo woda paruje i mają jak w jakiej Puszczy Amazońskiej czy tam Białowieskiej.

Autobus wtacza się na parking i hamuje tak mocno, że prawie uderzam głową w przedni fotel, tymczasem Ruda nawet nie drgnęła. Ha! Czyli jednak jest cięższa ode mnie.

Wysiadamy na nierówny chodnik, a następnie podchodzimy pod schowek, żeby nam wydali bagaż. Odbieramy walizki i rozglądamy się za taryfą. Idziemy w kierunku zielonej hondy… a może to hyundai? W każdym razie coś na h. Może to być nawet honolulu, ważne, żeby dowiózł nas bezpiecznie do ośrodka.

– Pospiesz się, Elwira, bo przecież zara ktoś nam sprzątnie taksówkę przed nosa, a drugiego samochodu nie widzę. – Oglądam się do tyłu i widzę Rudą, która

co chwilę przystaje, by zetrzeć pot z czoła. Z takim tempem to będziemy na miejscu dopiero jutro. Jeszcze człapie w tych sandałach jak babcia klozetowa.

Jestem już blisko auta, prawie łapię za klamkę, kiedy nagle, ni z gruchy, ni z pietruchy, zza rogu wyłania się jakiś mężczyzna, który szybko jak perszing pakuje swoją walizkę do bagażnika i wskakuje do auta. Samochód odjeżdża i zostawia za sobą niewielki obłok kurzu i piachu, a mnie stojącą w nim i kaszlącą.

– A żebyś sobie rękę przytrzasnął tym bagażnikiem przy wysiadaniu! – krzyczę za oddalającym się pojazdem.

– Co za cham! Przecież na pewno widział, jak idziesz prosto do auta. – Elwira w końcu do mnie doczłapała. Rozgląda się wokół, ale na parkingu nie stoi już żadna taryfa. – No pięknie, teraz trzeba będzie znaleźć numer do jakiejś infolinii taxi albo poszukać autobusu.

Patrzę na Elwirę spod byka. Jeszcze czego! Taka wnerwiona nie będę wsiadała do żadnego transportu publicznego, jeszcze mnie wezmą za jaką wredotę, co to przyjechała psuć wyjazd kuracjuszom.

Cofamy się do przystanku, tam znajdujemy numer na infolinię. Elwira dzwoni i zamawia taryfę, która ma podjechać za piętnaście minut.

– Mam nadzieję, że ten chłop miał ważny powód, żeby tak gnać.

– Ja też. Na przykład swój pogrzeb – mruczę pod nosem, ale moja kompanka nie słyszy, co właśnie powiedziałam. Może i dobrze, choć przecież ja nigdy w życiu nikomu źle nie życzę. Zazwyczaj.

Wsiadamy do samochodu i ruszamy w kierunku Bursztynka. Jedziemy powoli, co dobrze świadczy o naszym kierowcy. Tamten już pewnie leży gdzieś w rowie. Z radia cichutko płynie *Bracka* Grzegorza Turnaua, co z automatu umila podróż. Kierowca nie przełącza stacji, widać, a raczej słychać, że ma dobry gust muzyczny.

– W dwa tysiące czwartym żem była na koncercie Turnaua, ach, co to był za wieczór, mówię ci, kochana! – Klaszczę w dłonie i dostrzegam w lusterku podniesione, krzaczaste brwi kierowcy. Co on taki zdziwiony? W Ciechocinku

mieszka i nie wie, że ludzie żyją wspomnieniami? Na pewno woził takich, co to pamiętają jeszcze występy Hanki Ordonówny.

Ruda znowu nie reaguje, tylko mocniej ściska torebkę.

– No nie bądź taka płochliwa, widzisz, że pan kierowca uprzejmy. Co ty, dorobek życia na tych kolanach trzymasz? Nie bój żaby.

Samochód przejeżdża przez bramę, obok której na szyldzie widnieje złotawy napis SANATORIUM UZDROWISKOWE BURSZTYNEK. Nazwa ośrodka przypadła mi do gustu, jeszcze zanim wyjechałam. Przywodzi mi na myśl mój ukochany Bałtyk.

Na przełomie lutego i marca wybraliśmy się na rodzinny spacer po plaży w Mechelinkach, bo to dobra pora na zbieranie bursztynów. Każdy z nas miał mały woreczek, w zasadzie były to foliowe rękawiczki, które zabrałam sobie kiedyś z CPN-u. No co, Gośka tankowała, a ja nie próżnowałam. Nigdy nie wiesz, kiedy ci się przyda osłona dłoni przed jakim brudem.

Kubuś oczywiście zebrał najwięcej. Ano, toć ma takie małe i zwinne palce, że rach-ciach wygrzebywał z piasku i wodorostów coraz to więcej jantarków. Potem chcieliśmy je sprzedać do takiego sklepu z bursztynami, ale ekspedientka nie była pewna, czy jej nie robimy w bambuko z taką ilością. Pewnie myślała, że nazbieraliśmy kawałków szkła z trawnika pod monopolowym, albo miała dość ludzi, co to raz po raz przyłażą ze swoimi zdobyczami. Co innego, jakbyśmy znaleźli jakiego jaszczura czy innego mamuta zatopionego w żywicy, ło pierunie! Wtedy to bym chyba na jaką okładkę trafiła!

BOŻE, BEATA!

TO LINOLEUM MNIE RAZI W OCZY!

– Ładnie tu, dużo zieleni – zauważa Elwira. Patrzy to tu, to tam, a macha przy tym głową, jakby oglądała mecz tenisa. Kręć tak dalej, to z sanatorium wyjedziesz w kołnierzu ortopedycznym.

Faktycznie, za oknem widać ogromny, świeżo przystrzyżony trawnik, otoczony niskim metalowym płotkiem. W niektórych miejscach rosną równo obcięte pasy zielonych i czerwonych berberysów, dostrzegam też magnolię niedaleko drewnianej ławki i niewielką, pewnie dopiero co zasadzoną wierzbę. Co jak co, ale do roślin zawsze miałam oko, rękę też. Ileż ja się na działce namęczyłam przy zieleni! Tu zasadzić, tu przesadzić, tam wypielić i tak w koło Macieju.

– Jeszcze będziemy miały czas się poprzyglądać, co tam rośnie. Teraz trzeba zapłacić. – Sięgam po portfel, Elwira zaraz za mną, a moje ciekawskie oko przypadkiem skupia się na wnętrzu jej torebki. Mignęło mi tylko jakieś pudełko, pewnie leki na ból głowy. Ta to pewnie musi brać podwójną dawkę, bo ma łeb wielki jak dynia.

Samochód zatrzymuje się na podjeździe przed wejściem, płacimy po pół i po chwili kierowca wyciąga nasze bagaże. Nawraca i znika za bramą, a ja przyglądam się budynkowi.

Widać, że jest odświeżony i zadbany, ale, proszę ja was, stara dusza pozna starą duszę. Nawet najlepszy makijaż nie zakryje najgłębszej zmarszczki. Mam nadzieję, że wewnątrz też prezentuje się jako tako.

– Myślisz, że załapiemy się jeszcze na obiad?

– Czy przypadkiem nie jadłaś niedawno kanapki? – Elwira patrzy na mnie z niepotrzebnym niepokojem, a ja się zastanawiam, jak ona może tak długo nie jeść. Toć ja bym z głodu padła!

– Jadłam, jadłam, ale żem chciała sprawdzić na początek, czy dobrze karmią, czy może trzeba będzie wyszukać jakiś bar mleczny w pobliżu – zmyślam na poczekaniu. Oczywiście, że opyndzlowałabym jakiego schabowego albo chociaż pajdę ze smalcem.

Wchodzimy do holu przez wysokie automatyczne drzwi. Chłodno tu, miło, pewnie dzięki klimatyzacji nad wejściem. Na szczęście nie wieje z niej za mocno, bo jużem się wystraszyła, że będzie jak w autokarze. Gdyby na dworze nie było takiego ukropu, zapewne drzwi byłyby ciągle otwarte, żeby powietrze zewnętrzne swobodnie mieszało się z wewnętrznym.

Hol swoją wysokością robi wrażenie. Może ciężko mi mierzyć w metrach, ale patrząc na mój blok, to tak ze dwa piętra by miał. Część sufitu zbudowana jest z mlecznego szkła, które wpuszcza naturalne światło. Muszę się nasmarować, bo jeszcze mi się czoło za bardzo opali.

Ściany, również te wyłożone boazerią, pomalowane są na jasne, pastelowe kolory. Oho, mam cię, stylistyko dawnych lat. Podczas renowacji budynku chyba nie chciało im się zrywać desek, więc machnęli je na biało i – o – „odrestaurowali”. Toć jakbyście i złotem przykryli tę boazerię, toby nie pomogło! Taką miał przecież każdy. Jeszcze pamiętam, jak Stasiek montował w przedpokoju, od razu się przytulniej w chałupie zrobiło, ale po latach trzeba było ściągnąć, bo robaki jakie wlazły pod spód. Wtedy też moja nieukochana sąsiadka Maślakowa wprowadziła się do bloku. Pewnie ona tę plagę sprowadziła. Małpa jedna.

Na ścianach wiszą symetrycznie całkiem eleganckie kinkiety, a u sufitu tylko jeden, za to pokaźny żyrandol, a osłonki na żarówki są imitacją topiących się świeczek. Jestem zdziwiona, że zauważyłam to bez okularów, ale zbliżony model wisi w moim kościele, więc od razu poznałam.

Kiedyś kazanie wygłaszał jakiś przyjezdny ksiądz, chyba w zastępstwie, a że nudne było jak flaki z olejem, to się nie potrafiłam skupić i jakoś żem się tak zagapiła na ten żyrandol. Żarówki sobie policzyłam w międzyczasie, aż cztery się nie świeciły. Dejta spokój, przecież tyle na tacę wrzucam co niedzielę, że by mogli kupić nowe i powymieniać. A jak jużem skończyła matematyczne harce, to tak jakoś spojrzałam i próbowałam ocenić, na kogo by ten żyrandol spadł, jakby się zerwał. No i akurat się zdarzyło, że centralnie pod spodem Maślakową w berecie dostrzegłam. Oj, gdybym ja miała jakiś laser w oczach, co by to ten łańcuch przeciął…

– Czytałam, że specjalnie ten sufit taki szklany zrobili, bo dzięki temu jaśniej i mniej prądu ciągną za dnia. – Słuszna uwaga Elwiry wybija mnie z zadumy. Kto by pomyślał, że ona taka oczytana.

Kierujemy się na lewo, do recepcji. Kontuar jest niski, pewnie z myślą o osobach na wózkach, żeby im się było łatwiej dostać do obsługi. Byłam raz w pensjonacie, w którym żeby się zameldować, musiałam na palcach stanąć, a do niskich nie należę. Dobrze, że chociaż tu pomyśleli.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – wita nas zza lady niska piegowata blondynka. Mam wrażenie, że za bardzo lubi słońce. Pewnie łazi na solarium albo wróciła co dopiero z jakiegoś Las Palmas. Bidula nie wie, że te piegi na słońcu trzeba smarować.

– Dzień dobry, tu z koleżanką żeśmy przyjechały na umówione pobyty. – Przejmuję ster i wyciągam z torebki podłużny czerwony portfel. Podczas poszukiwania dowodu zerkam na zdjęcia bliskich, które trzymam w przezroczystej kieszonce. Chyba zaczynam tęsknić.

Podaję dokument, a w moje ślady, niczym papuga, idzie Elwira, która wyciąga starą, wysłużoną portmonetkę.

– Coś ty ją z Titanica wyciągała? – pół żartem, pół serio zwracam się do kompanki, która wybucha śmiechem. – Tyś taka elegancka, paznokcie zrobione, a tu o.

Elwira wyciąga dowód, a mój wzrok ponownie wędruje do portfelowego zabytku, bo w tym właśnie momencie wypada z niego kilka karteczek. Schylamy się równocześnie, prawie żeśmy się głowami stuknęły. Podnoszę kilka kartoników, na jednym rzuca mi się w oczy numer telefonu z podkreślonym imieniem Mirek i jakąś nazwą na T. Ruda wręcz wyrywa mi wizytówki i oznajmia, że sama sobie pozbiera, żebym się nie fatygowała. Gdy to mówi, robi się czerwona jak burak i nie patrzy mi w oczy. No ładnie, pewnie Mirek to jej kochanek, a mężuś tęskni w domu. Klasyczny scenariusz.

– Oj, słusznie, kochana, trzeba trzymać ważne numery blisko siebie. Niby w komórce zapisane, ale lepiej dmuchać na zimne. Mirek to twój mąż?

Odpowiedzi nie dostaję, bo moje pytanie zostaje zagłuszone głośnym chrząknięciem recepcjonistki, która skończyła wpisywać nasze dane w komputer i pewnie pragnie już, byśmy sobie poszły. Za nami zebrała się pokaźna kolejka czekających.

– Pani Kasiu – zerkam na identyfikator Piegowatej – pani mi powie, z kim będę mieszkała. To nie będzie żaden mężczyzna, prawda?

Po dokładniejszym przyjrzeniu się zauważam, że część jej piegów – a może wszystkie? – jest zrobiona henną. Oszukistka.

Elwira odeszła na bok z broszurą. No tak, jej nie obchodzi żaden współlokator, przecież dostała pojedynczą komnatę jak jaka księżniczka.

– Nie, proszę pani, spokojnie, dostanie pani pokój z kobietą, jedyne koedukacyjne pomieszczenia to te wspólne, jak przykładowo stołówka czy basen. Wszystko ma pani w swojej rozpisce. – Piegowata podaje mi na pierwszy rzut oka identyczny informator co tej wygodnickiej Rudej.

Dziękuję i podchodzę do zaczytanej Elwiry.

– Pokaż no to. – Bierze nasze broszury i zaczyna porównywać.

– I jak, kochanieńka, spotkamy no się jeszcze? – pytam, śmiejąc się na widok jej szybko poruszających się gałek ocznych. Czyta to jedną rozpiskę, to drugą, tu

góra, tu dół, no kręci tymi oczami jak jaka jaszczurka czy kameleon. Zupełnie jak Maślakowa, kiedy sprawdza nowe klepsydry na tablicy ogłoszeń przy parafii.

– Tak, tak, coś tam razem mamy. No dobra, lecę znaleźć swój pokój, chyba mamy w innych częściach ośrodka. – Elwira wydaje się zmieszana i teraz szybko chce się pożegnać. Może niepotrzebnie pytałam ją o męża.

– Hm, to leć, zobaczymy się na stołówce czy tam gdzieś na korytarzu na ciebie wpad… – Ale widzę już tylko rudą grzywę oddalającą się w kierunku windy. Jakoś do taryfy jej się tak nie spieszyło, a teraz o, perszing. Ciekawe, co ją tak pognało.

Broszura mówi, że mój pokój jest na drugim piętrze. Obok windy dumnie prezentują się schody z ozdobną poręczą, które zapewne używane są tylko przez młody personel czy sprzątaczki. Kto by miał siłę włazić na górę, jak tu co druga osoba została dopiero co poskładana w całość po różnorakich operacjach! Cała zgraja pensjonariuszy, którą widzę w holu, wchodzi do wind i z nich wychodzi niczym jacyś biznesmeni w biurowcu. Idę w ich ślady i po chwili znajduję się w blaszanej izdebce wypełnionej lustrami. Stoimy w kilka osób, nikt nic nie mówi, słychać tylko zgrzytanie urządzenia, które, powolne niczym ślimak, wciąga nas na górę.

Nigdy nie przepadałam za windami. Ani razu nie zdarzyło mi się, dzięki Bogu, w takiej zaciąć, ale też mało kiedy jeździłam. Oczywiście nie obraziłabym się, gdybym miała w bloku windę, bo dejta spokój, włazić po tych schodach to jedno, ale dźwigać na górę torby z zakupami? Nie wiem już sama, co gorsze, odpadające plecy podczas marszu po schodach czy ryzyko zatrzaśnięcia się w takiej metalowej puszce. Jeszcze z kimś to pół biedy, no chyba że z Maślakową.

Pani lektor z windy, a może jakaś robokreatura, informuje, że jesteśmy na drugim piętrze, więc przeciskam się do wyjścia i po chwili znajduję się na korytarzu. Podłoga wyłożona jest granatowym linoleum, w którym odbijają się światła lamp sufitowych. Na chwilę oślepia mnie ostry blask jarzeniówek.

– No tak, tu już nie łaska powiesić żyrandola.

Pokoje są ponumerowane dosyć chaotycznie, bo numer 33 znajduje się naprzeciwko 42, ale pomiędzy 31 a 37. Pokój 35 porwały ufoludki czy co? Na szczęście to nie mój problem, bo tuż obok znajduję drzwi z numerem 44, do których zmierzałam. Jak to było? O, już wiem – „a imię jego czterdzieści i cztery". Zawsze lubiłam twórczość Słowackiego.

Wielka chwila, toć zaraz poznam moją współlokatorkę, która – mam nadzieję – będzie znośna. Wkładam klucz do zamka, przekręcam go i delikatnie otwieram drzwi. Skrzypią jak kościelna ławka pod Maślakową. No pięknie, oby prędko naoliwili zawiasy, bo daje po uszach. Wnętrze pomieszczenia wita mnie trochę aptecznym zapachem, ale to dobrze, znaczy, że czysto.

– Dzień dobry! – Rozglądam się w celu wypatrzenia mojej sąsiadki, ale nikogo nie widzę ani nie słyszę. W łazience się nie świeci, więc najwidoczniej współlokatorka jeszcze nie dotarła. I bardzo dobrze, bo sobie mogę wybrać łóżko.

Pokój jest całkiem spory, więc zdjęcia sanatorium w internecie, które pokazywała mi chrześnica, nie były bardzo naciągane. Ściany pomalowane są na ciepły, żółty kolor, ale nie razi on w oczy tak jak jakiś rzepak w polu czy spalone blond włosy tych panienek z Sopotu. Czuję pod butami miękkość ciemnej wykładziny, moją uwagę zwracają też wiszące nad łóżkami pejzaże morskie. Odruchowo podchodzę do tego w cieplejszych barwach, bo przypomina mi brzeg plaży w Orłowie. Siadam na łóżku, dłonią przejeżdżam po kołdrze i już wiem, z czym mam do czynienia. Pościel z kory, moja ulubiona. Jeśli chodzi o poszewki, to najbardziej lubię je kupować u takiej Lidki na rynku, bo ona to nie jakieś tam chińskie sprowadza te pościele, co to wcale nie oddychają, ale aż do samej Łodzi jedzie i kupuje, a tam najwyższa polska jakość. Przynajmniej tak mówi.

Przy łóżkach klasycznie, małe stoliki, na każdym lampka nocna i butelka wody. Ale że co, na cały pobyt ma mi to starczyć? Zaczynam się śmiać – chyba z głodu zawitał do mnie taki głupi humor! Sprawdzam szuflady, bo może kto co zostawił ostatnio, ale wszystkie puste. Przy drzwiach stoi szafa, którą będę się musiała podzielić z nieznajomą. Mam nadzieję, że jej walizka jest mniejsza od mojej. No cóż, jakby luksusowo to tutaj nie jest.

Dobrze, że przywiozłam ze sobą koronkowe serwetki. Tak coś czułam, że będzie łyso, więc otwieram bagaż i w kilka chwil dekoruję pokój.

Łazienka jest przestronna, wanna z prysznicem w jednym, nawet ma takie krzesełko, żeby się można było umyć na siedząco. Nie no, aż tak źle ze mną nie jest, żebym siadała do mycia. Jeszcze pomylę ten stołek z toaletą.

Obok znajdują się umywalka i sedes, pralki brak, ale wyczytałam, że w razie co można skorzystać z pralni na dole. Oczywiście za dopłatą, bo jakżeby inaczej. Kiedyś w jakimś hamerykańskim filmie widziałam, że ludzie do centrum miasta pranie idą zrobić. Ja tam bym się wstydziła publicznie pokazywać swoje reformy.

Nagle słyszę pukanie, więc zostawiam pralkowe myśli w łazience i zmierzam do drzwi. Może to ta współlokatorka, ale dziwne, przecież ma klucz, to weszłaby sama.

– Dzień dobry pani – wita mnie kolejna młoda osóbka z logo Bursztynka w klapie uniformu. Co tu sami stażyści amatorzy pracują? Pewnie ledwo co studia na ściągach pokończyli, przysięgam, zabiją mnie tu.

– Dzień dobry, słucham? – Gestem zapraszam dziewczynę do środka, ale ta ani drgnie.

– Chciałam tylko poinformować, że w trakcie pobytu prawdopodobnie będzie pani mieszkać sama w tym pokoju. Przynajmniej na początku, bo możliwe, że ktoś przyjedzie wtenczas na miejsce pani niedoszłej współlokatorki.

– Ojej, cóż za niespodzianka! – Aż klaszczę z radości. Nie będę się na starcie musiała dzielić toaletą. – Wasze sanatorium to jednak magiczne chyba, bo cud, nagle kobieta wyzdrowiała!

– Nie, po prostu zmarła.

– O masz. – Zamurowało mnie. Jak ta siksa może mówić o tym tak obojętnie? Znieczulica.

– Proszę zatem korzystać z wygody, a w razie jakichkolwiek planowanych zmian zostanie pani o nich wcześniej poinformowana.

Dziękuję jej za informację, zamykam drzwi i zerkam na szafę.

– Jeden zero dla mnie, Gośka.

BOŻE, BEATA!

POCIĄG SIĘ NIE WYKOLEIŁ, CZEKAM NA DANCINGI

Rozpakowanie walizki zajmuje mi jakieś dwadzieścia minut, toć wszystko trzeba starannie poukładać, żeby się nie gniotło. Na wszelki wypadek wzięłam żelazko, a nuż się przyda – choćby po to, żeby sukienkę wyprasować na potańcówkę.

W każdy piątkowy wieczór w stołówce odbywają się dancingi i chyba głównie to przekonało mnie do wybrania akurat Bursztynka. Bóg mi po coś te nogi dał, a ja pofikać na parkiecie lubię, oj, lubię. Co prawda wiek już nie ten i tego fikania pewnie za wiele nie będzie, ale z nóżki na nóżkę, z boczku na boczek można. Zdrowo, tak dla ruchu. Toć jesteśmy w sanatorium, takie rzeczy wskazane jak na receptę!

Na obiad się nie załapałam, bo posiłki wydają do czternastej trzydzieści, a już prawie szesnasta. Kto to widział, żeby tak przyjezdnych głodzić?! To już chlebem i solą uraczyć nie idzie? Dzisiejsze popołudnie mam przeznaczone na zapoznanie się z ośrodkiem i grafikiem ćwiczeń. Jestem ciekawa, gdzie mieszka Elwira. Przydałoby się porównać, czy ma lepiej ode mnie. Jak by nie patrzeć, to ma pewnie pojedyncze łóżko, a ja sobie mogę dwa w jedno złączyć. Się wyśpię jak królowa.

Wychodzę z pokoju, zamykam drzwi i na wszelki wypadek trzy razy chwytam za klamkę. Pozorny zawsze ubezpieczony.

Nagle sobie uświadamiam, żem do Beaty i Teresy nie zadzwoniła – toć przecież miałam im dać znak po zameldowaniu. Wybieram numer Beaty, ale po kilku sygnałach odrzuca połączenie i włącza się poczta głosowa. Jeszcze czego, będę się nagrywała, ona nie umi tego odtworzyć. Teresa odbiera po jednym sygnale.

– O Boże, no w końcu! – Słyszę radość w jej głosie. – Bałam się, że cię porwali albo się pociąg wykoleił, ale nic w wiadomościach nie było.

– Ano miałam zadzwonić od razu, ale wiesz, tu jakieś dokumenty, tu znaleźć pokój, rozpakować się trzeba było i o, zleciało, no, no.

– I co, czysto tam choć… Co mówisz, Kubuś?!

Odsuwam telefon od ucha, bo wydziera się, jakby z niej skórę zdzierali.

– A! Masz pozdrowienia od Kubusia!

– O, kochany! Ucałuj go ode mnie! A Beata u was?

– Tak, grają w chińczyka.

Jestem pod wrażeniem, że Kubuś był w stanie nauczyć Beatę grać w jakąkolwiek planszówkę. Przecież ona ostatnia do takich rozrywek.

– To weź jej tam przekaż, że jak dzwonię, to ma odbierać.

Zajęta rozmową, zbliżam się do schodów, kiedy nagle widzę mężczyznę w pstrokatej koszuli. Dam głowę, że gdzieś jużem taką widziała, chyba na tle zieleni… Coś przychodzi mi do głowy, łączę wątki w całość. Wzorzysty materiał, zielony samochód, wiem! To ten fagas, co nam ukradł taksówkę!

– Muszę kończyć, kochana. – Rozłączam się gwałtownie. – Halo, halo! Pan poczeka!

Szybkim krokiem zmierzam do niego, kiedy odwraca się w moim kierunku, i pierwsze, na co zwracam uwagę, to jego niebieskie oczy. Gdyby nie reszta ciała przykrytego niemodną feerią ubrań, pomyślałabym, że to Stasiek.

BOŻE, BEATA!

OSIOŁ NA WOLNOŚCI

– Tak? – odpowiada niskim, lekko zachrypiałym głosem.

– Co pan, panie dżentelmen? Nie poznajesz mnie pan? – Nie oczekuję, że mnie skojarzy, ale niech ruszy trochę tą łepetyną.

Po kilku sekundach intensywnego przyglądania mi się w końcu przemawia:

– Nie, raczej pani nie spotkałem.

– Ależ tak! – Wymachuję jedną ręką, a drugą chowam telefon do torebki. – Wsiadł pan dzisiaj do zielonej taksówki na dworcu autobusowym, prawda?

– Bardzo pani spostrzegawcza, bo nie pamiętam koloru samochodu – odpowiada, masując się po karku.

– No pewnie, że pan nie pamięta! Gnał pan do tego auta, jakby pan przed śmiercią uciekał, to nie dziwota, żeś pan koloru nie zauważył! – kontynuuję i nie zwracam uwagi na mijających nas ludzi. Dam głowę, że kiedy przechodzą obok, specjalnie zwalniają, żeby podsłuchiwać. W sumie niech wiedzą, co za arogant tu przebywa. – Pan też żeś mnie nie zauważył, bo tak się składa, że razem z koleżanką zmierzałyśmy do tej taryfy, a pan żeś się przed nami wepchał jak widły w gnój. – Krzyżuję ramiona na piersi i czekam na jego ruch.

– Naprawdę? No co pani powie. – Słyszę sarkazm w jego głosie. Ależ ma tupet! – Tak się składa, że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku i tak to jest, że się ludzie spieszą. Kto pierwszy, ten lepszy. – Rozkłada ręce na boki jak nasz ksiądz, kiedy głosi kazanie.

– A ja żem nie wiedziała, że w dwudziestym pierwszym wieku to osły jeszcze na wolności chodzą! No, że panu nie wstyd się tak przed kobietą zachowywać! –

prycham.

Żałuję, że nie ma ze mną Elwiry, boby pewnie dorzuciła od siebie jakie trzy grosze. Mam nadzieję, że ją jeszcze dzisiaj spotkam i opowiem jej o tym incydencie z Taryfowym Gburem. Nie znam jego imienia, więc tak go sobie nazwałam w głowie, a co się będę pieścić!

Z jednej strony mi ulżyło, żem się mogła wyładować na typie za ten bezczelny akt z dworca, ale z drugiej to straszny pech, że ze wszystkich miejsc w Ciechocinku trafił akurat tu. Nie było innych sanatoriów? Obym nie wpadała na niego podczas pobytu, bo to wtedy nie będzie uzdrowisko, ale męczarnisko.

– Proszę następnym razem rozejrzeć się dookoła, bo prawdziwy mężczyzna szanuje damy. – Mierzę go wzrokiem od góry do dołu, odwracam się na pięcie i po chwili jestem na schodach.

Na półpiętrze wisi lustro, w którym odbija się mój delikatny uśmiech pełen satysfakcji, ale dostrzegam też kroplę potu spływającą po czole. Żem się zdenerwowała. Co za patafian.

W holu nie ma już takich tłumów co przedtem, pewnie się kuracjusze wybrali na spacer albo biorą udział w rehabilitacjach. Podchodzę do recepcji, gdzie za ladą ponownie widzę Piegowatą, to jest panią Kasię.

– Kochanieńka, pomoże mi pani kogoś znaleźć? – Opieram ręce na zimnym blacie.

– Jasne, któregoś lekarza? – Dziewczyna odkłada wymownie książkę, bo przecież miałam czelność jej przerwać czytanie w czasie pracy.

– Nie, nie. Koleżanki szukam, Elwiry. Nie znam nazwiska, ale ruda taka. – Łapię się na tym, że gestykuluję z dłońmi nad głową, jakbym ruchem palców chciała przedstawić jej ognistą czuprynę. – Meldowała się wraz ze mną.

– Przykro mi bardzo, ale nie pomogę. RODO – odpowiada krótko i wskazuje na tabliczkę z informacją o przetwarzaniu danych osobowych postawioną na blacie nieopodal.

Pamiętam, jak kiedyś czekałam na wizytę do doktora i jakoś chwilę przed tym weszło to całe RODO. W naszej przychodni wprowadzili „system warzywny”, więc za każdym razem, kiedy pacjent chciał się zarejestrować – czy to na miejscu, czy przez telefon – dostawał nazwę jakiegoś warzywa. Byłam już sałatą i rzodkiewką, a kabaczkiem nawet dwukrotnie! Raz, kiedy dostałam bakłażana, obok mnie siedział jakiś facet, który chyba za długo przebywał na słońcu, więc był cały czerwony. Los mu zagrał na nosie, bo trafił mu się burak! Oj, żeśmy się naśmiali w poczekalni, kiedy pielęgniarka wychyliła głowę i zawołała: „Pan Burak, zapraszam!”.

– No trudno, dziękuję. – Przewracam oczami i zmierzam w kierunku głównych drzwi.

Wychodzę na zewnątrz, żeby sprawdzić pogodę. Na szczęście słońce już tak nie grzeje, gdyż schowało się za dużą, mam nadzieję nie deszczową, chmurą. Wykorzystuję moment i idę na spacer dookoła budynku.

Przede mną rozciąga się zadbany ogród w pełnej krasie. Pewnie pracuje przy tym masa ludzi, żeby był taki efektowny, trzeba pogratulować. Pokoje może mają takie se, ale ogrody – pełen Wersal. Królewskie standardy. Gdybym miała sama zadbać o ten zieleniec, tobym pewnie zdążyła dwa razy umrzeć ze starości, zanimbym wypieliła ostatniego chwasta. I nagle dostrzegam niewielką pokrzywę niedaleko hortensji.

– O masz, no nic się jednak nie starają te ogrodniki – mówię do siebie.

Tak jak myślałam, w ogrodzie roi się od ludzi; niektórzy robią sobie zdjęcia, odpoczywają na ławkach, rozciągają się. Nic dziwnego, wokół tak pięknie, że aż chce się żyć. Zastanawiam się, jak to tu wygląda zimą, kiedy wszystko przykryte jest śniegiem. Pewnie zmuszają tu do spacerów, żeby się zahartować, jak jakie morsy. Chociaż co ja plecę, toć od dobrych dziesięciu lat nie było porządnej zimy w Polsce, globalne ocieplenie i te inne dziury ozonowo-freonowe robią swoje. O masz! Przypominam sobie, że nie wzięłam lakieru do włosów, będę musiała kupić w jakim kiosku.

Już chcę zatoczyć kółko za fontanną na końcu ogrodu, gdy nagle dostrzegam rudą grzywę.

– Elwira! No wreszcie cię spotkałam, musisz mi numer wpisać w komórkę.

Idę w kierunku ławki, na której siedzi. Nie zauważyłam, że rozmawia przez telefon, ale na mój widok gwałtownie chowa go do kieszeni. Trochę to dziwne, bo przecieżbym poczekała. Dobrze, że nie wyrzuciła go do fontanny.

– No dzień dobry, dzień dobry – wita się, zmieszana. Bez sensu, przecież dzisiaj się już widziałyśmy. Człowiek chce uchodzić za dobrze wychowanego, a popełnia ta-
kie gafy.

– Przeszkodziłam?

– A gdzie tam! I tak słabe połączenie było, zasięg tu kiepski jak cholera.

– Naprawdę? Dziwne, bo niedawno dzwoniłam do bliskich i wszystko dobrze działało. – Podejrzewam, że nie chce powiedzieć mi prawdy. Może gadała z tym całym Mirkiem, co to jego numer wypadł wtedy z portfela? A jak to jednak kochanek? Toć gdyby to był mąż, toby się przyznała raczej, a tu o, tajemnicze tajemnice.

– Może inną sieć mamy, nieważne. Rozpakowana? – zmienia temat.

– No, nawet, wyobraź sobie, że sama pokój mam!

– O proszę! – Elwira klaska w dłonie na znak gratulacji. – Dopłaciłaś?

– A skąd, moja współlokatorka nie dojechała.

– A kiedy przyjedzie? – dopytuje Ruda, odganiając muchę, która siadła na jej udzie.

– No właśnie nie będzie jej już, bo zmarła, bidula. Ponoć jak ktoś się znajdzie w zastępstwie, to mi dadzą.

– Aj, życie to jednak przewrotne, co?

– Ano przewrotne, ja ci powiem, no co zrobisz? Nic nie zrobisz. Szkoda kobiety, ale patrz, możemy powiedzieć na recepcji, że jak się nikt nie znajdzie, to

się do mnie możesz wprowadzić! – Z uśmiechem proponuję zamieszkanie razem, bo wolę mieć znajomą współlokatorkę niż jakąś obcą flądrę.

– Dziękuję, kochana, ale by mi się nie chciało na nowo pakować, przenosić, rozpakowywać. – Macha rękami i teatralnie łapie się za głowę.

– Toć pewnie, rozumiem! – mówię, ale tak naprawdę myślę sobie, że pewnie Ruda planuje jakieś schadzki. Zresztą może to i lepiej, że będę w pokoju sama, bo pewnie chrapie jak traktor. Ona to wygląda na taką, co ma krzywe zagrody nosowe.

– A właśnie, słuchaj no – mówi – poznałam już kilka babek z mojego piętra, takie wiesz, znośne, do pogadania nawet.

– O, i co, zakładasz damską różę? Niby do października jeszcze daleko, ale różańca nigdy nie odmawiam!

Elwira robi wielkie oczy, a ja zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

– Znaczy nigdy nie odmawiam odmawiania różańca, o! – wybraniam się szybko.

– Nie, to nie to. Przyjdź no dzisiaj do mnie o dwudziestej, poznamy się wszystkie lepiej, w końcu spędzimy tu jakiś czas.

– O masz, a gdzie my się tam u ciebie pomieścimy? Toć te pokoje może i niemałe, ale nie dla stada kobit jak my. – Dłońmi wskazuję nasze brzuchy i biodra. Ruda ma wyraźnie większą oponkę.

– Nie bój żaby, damy radę – uspokaja mnie. – No i jeszcze mam coś specjalnego na tę okazję.

– Czyżby naleweczkę? – Nachylam się w jej kierunku i unoszę lekko brwi. Oj, napiłabym się jakiejś dobrej, najlepiej z aronii albo wiśni z mojej działki.

– To też, kochana, to też, ale więcej nie zdradzę. Widzimy się o dwudziestej, pokój numer sześćdziesiąt osiem, trzecie piętro. – Elwira wstaje i patrzy podejrzliwie w niebo. – Zaraz chyba będzie padać. Idziesz?

– Toć pewnie, że idę – mówię. Jeszcze mi zmoczy włosy i na spotkaniu będę wyglądać jak jaka mokra kura czy inny drób.

Większość ludzi również kieruje się do środka. Niepewna pogoda to jedno, ale przecież zaraz kolacja. Zmierzamy do wielkiej stołówki, która znajduje się na parterze, tuż obok nieczynnego sklepiku. Przez szybkę dostrzegam w nim między innymi różne kosmetyki i gazetki. Dobrze, nie trzeba będzie łazić gdzieś daleko po niezbędności.

Każdy stolik przykryty jest zszarzałym obrusem. Na litość boską, ludzie się nie nauczą stosować do białego prania sody oczyszczonej albo octu? Chyba trzeba wydać jakąś książkę z poradami, bo aż oczy bolą. Przy oknach stoją wózki z podgrzewaczami, a także bemar z jakąś zupą, pewnie została resztka z obiadu. Na paterach rozłożone są wędliny, sery, pomidory i ogórki, a w wiklinowych koszykach leżą pokrojone chleby, na pewno czerstwe. Pewnie przywożą z samego rana, żeby na śniadanie było, a potem leżą bez przykrycia jak jakie zwyrodnialce na plaży nudystów.

– Jużem zgłodniała od tego świeżego powietrza. – Zacieram ręce na myśl, że w końcu zjem jakiś ciepły posiłek, a nie tylko ten suchy prowiant jak jakaś kobyła.

Stajemy w kolejce. Rozglądam się dookoła i zauważam gbura od taryfy, stoi jakieś piętnaście osób za mną. Wiedziałam, że się mnie uczepi jak smród dupy. Nawet tej obrzydliwej koszuli nie zmienił, pewnie cała zapocona. Cieszę się, że nie jestem za nim, bo pewnie trąci od niego jak od owcy. Nie to co ja – elegancka bluzeczka, spódnica jak należy, komplet biżuterii. Może i teżem nie zdążyła się przebrać, ale toć niebo a ziemia. Ja wyglądam jak solidny bukiet gerber nawet po całej drodze do Ciechocinka, a on – jakby mnie miał poprosić o dwa złote pod sklepem. Że też tu takich wpuszczają.

– Patrz, Elwira, to on. – Unoszę głowę w jego kierunku, chwytając za talerz.

Dostrzega nas, a pod jego wąsem pojawia się arogancki uśmieszek. Ostentacyjnie pokazuje zegarek na lewej ręce, a paluchem prawej postukuje w cyferblat. Tik-tak.

– Ja mu się pospieszę – cedzę przez zęby i nakładam sobie cztery parówki. Niespiesznie, żeby sobie nie myślał, idę dalej i dorzucam trochę warzyw, parę

plasterków sera i kilka kromek chleba. Na talerzu lądują też dwa opakowania masełka.

Kątem oka zerkam na Rudą, która nałożyła sobie tylko dwa plastry pomidora i nie dwie, ale jedną kromkę pieczywa.

– Oj, żebyś się tylko nie przejadła! – komentuję, kiedy odchodzi od bufetu.

– Jakoś nie jestem głodna – odpowiada krótko.

Idziemy do wolnego stolika obok kolumny. Zostawiamy talerze i po chwili wracamy z filiżankami herbat, ja klasycznie z czarną, a Elwira z miętową. Dobrze, że chociaż coś pije, boby się odwodniła.

Szybko pochłaniam zawartość talerza – to dobrze, apetyt w porządku. Po tej operacji na dysk nie chciało mi się jeść, a szkoda, toć jedzenie największą przyjemnością. Nie zapomnę wzroku Teresy, jak żem jej powiedziała, że na bigos nie mam ochoty. W sumie ona zawsze przesala, to za dużo nie straciłam.

Elwira podziubała tylko tę swoją mizerną kolację, nawet nie dopiła herbaty i mówi:

– To ja dziękuję za towarzystwo. Do zobaczenia o dwudziestej.

I już drepcze do wyjścia. Po drodze odkłada naczynia na drewniany parapecik pod okienkiem, za którym jest zmywak. Przynajmniej się umie zachować, bo połowa tego pospólstwa dookoła zostawia talerze na stołach. Niewychowane toto jak nie wiem, tu prócz rehabilitacji powinni zorganizować kurs manier. O proszę, Taryfowy Gbur właśnie siorbie herbatę na całą salę. Przynajmniej jego wąsy, w przeciwieństwie do niego, zaliczyły jakąkolwiek kąpiel.

Szoruję krzesłem po podłodze, wstaję od stołu i możliwie jak najgłośniej kładę sztućce i filiżankę na talerzu, żeby te sanatoryjne flejtuchy zobaczyły, jak się po sobie sprząta. W moje ślady idzie nie kto inny jak wąsaty siorbacz. Szybkim krokiem wyprzedza mnie w drodze do okienka, a następnie specjalnie zwalnia przy wyjściu i czeka, by ponownie wepchać się przede mnie w drzwi.

– Panu znowu na łeb siada? – krzyczę za nim, ale ten bez reakcji znika za rogiem, oby na zawsze. – Ale z niego k o c o p a ł.

Wracam do pokoju. Mam jeszcze trochę czasu do tego babskiego spotkania, ale nie zaszkodzi się już zacząć szykować. Po krótkiej kąpieli nakładam lekki makijaż, ale nie przesadzam – toć to tylko siedzenie w pokoju, w piątek zrobię sobie mocniejszy. Chociaż może…

Bo co, jak się te krowy wymalują jak z okładki „Tele Tygodnia”? Jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać tak jak one. Nie mogę wyglądać gorzej niż tamte, jeszcze mnie za jaką niemiastową wezmą.

Poprawiam oczy, ciemniejszą szminką maluję usta, wzmacniam róż na policzkach. Spryskuję się obficie panią walewską, zakładam biżuterię i spoglądam na zegarek. Idealnie, za pięć ósma. Zabieram torebkę i po chwili zmierzam do windy, która zawozi mnie na trzecie piętro. Pokoje są tam ponumerowane jeszcze bardziej chaotycznie niż na moim.

BOŻE, BEATA!

ŻABIE PORTFELE ZAPŁACZĄ

W końcu znajduję drzwi z numerem sześćdziesiąt osiem, pukam trzy razy i niemal od razu otwiera mi Ruda. Myślałam, że bardziej się wypindrzy, ale tylko usta ma mocniej pomalowane. Może przesadziłam z tym makijażem.

– Drogie panie, to moja koleżanka, o której przed chwilą mówiłam, ta z pociągu. – Elwira wygląda jak jakaś pogodynka, która macha ręką na tle mapy. Różnica taka, że ja robię teraz za mapę.

Zerkam na kobitki, które zdążyły się już rozgościć, i jednak cofam, co żem wcześniej myślała. Nie przesadziłam z makijażem, bo przede mną siedzą cztery lafiryndy wymalowane jak klauny. Żal mi ich, bo te stare bidule chyba nie wiedzą, że jak się ma więcej zmarszczek, to nawet taka ilość pudru nie wypełni przestrzeni między nimi. Aż strach pomyśleć, jak będą wyglądać w piątek na dancingu.

– Dobry wieczór paniom, miło poznać. – Podaję rękę każdej i zwracam uwagę, że tylko jedna nosi obrączkę. Pozostałe trzy pewnie swoje schowały, żeby sobie zrobić sanatorium miłości. Naiwne! Przecież żaden gach nie poleci na te ich wyszpachlowane twarze, no chyba że jakiś budowlaniec.

Wpatruję się przez chwilę w swoją obrączkę, odruchowo pocieram ją palcami i zasiadam na jedynym wolnym fotelu. Dla Elwiry zabrakło miejsca, ale chyba jej to nie przeszkadza, bo stoi na środku pokoju, jakby miała zapowiadać gwiazdy na festiwalu w Opolu.

– No, kochane, skoro już jesteśmy w komplecie, to jeszcze raz chciałam was bardzo serdecznie powitać.

Rzeczywiście, udzieliła się jej Grażyna Torbicka, ale z tym „serdecznie” to się chyba pomyliła, bo gdzie jakiś poczęstunek? Wspominała też coś przecież o naleweczce, a nie widzę żadnej karafki.

– Zebrałam was tutaj, ponieważ pragnę wam pomóc zmienić wasze życie, oczywiście na lepsze. – Nagle zaczyna mówić wyższym głosem. Zauważyłam też, że wolniej i wyraźniej wypowiada słowa. – Ile razy zdarzało nam się wszystkim wstać z łóżka bez żadnej motywacji do działania, bez humoru i wigoru? Ile razy, kiedy spojrzałyśmy z rana w lustro, widziałyśmy zmęczone twarze, wory pod oczami, a przede wszystkim nieatrakcyjne, napuchnięte sylwetki?

Gdy robi pauzę i czeka na jakąś reakcję, każda z nas odruchowo patrzy na swoją oponkę. Ja co prawda nie mam jakiejś nie wiadomo jakiej, ale kobieta po mojej lewej zdecydowanie jest na diecie pączkowej. Chyba tłusty czwartek obchodzi co tydzień.

– Ile razy nie zmieściłyśmy się w swoje ulubione ubrania? – ciągnie Ruda. Do brzegu, kobieto! – Ile razy miałyśmy dość naszych talii?

Rozglądam się po pokoju i widzę cztery równo potakujące łby. Przypominają mi te pieski z kiwającymi się główkami, co się w samochodach woziło za PRL-u. Pamiętam, że mieliśmy ze Staśkiem jednego w naszej ładzie, ale co chwila mu trzeba było montować ten łebek na nowo, bo na polskich drogach to miał istne trzęsienie ziemi i co jakieś wertepy, to mu wypadał.

– Oj, bardzo często – słyszę smutny głos jednej z koleżanek. – A najgorzej, jak czasami rozmiaru nie ma na mnie w sklepie, to mi wtedy wstyd, jak ludzie patrzą.

Niby wszystkie się przedstawiały, ale już zapomniałam ich imiona, więc nazywam je w wyobraźni po swojemu. Ta, co się pierwsza odezwała, to Ropucha, nawet nie dlatego, że jest największą z żab w tym pokoju, ale dlatego, że ubrała się w jakiś dziwny bajorowy sweter. Ta obok niej to Miotła, bo jak o makijażu nie zapomniała, tak o włosach już tak. Co ona, zamiast schodami szła szybem

wentylacyjnym? Poczochrana, jakby ją piorun strzelił. W każdym razie Miotła mówi, że mąż ją zdradzał z jakąś wysportowaną trzydziestką, trenerką rumby czy tam zumby, nie dosłyszałam, bo chlipała jak Kubuś, kiedy zgubił zimową czapkę, którą mu wydziergałam na mikołajki. Dobrze, że miałam zapas włóczki, to raz-dwa zrobiłam nową! Wata Cukrowa, kobitka w jasnoróżowej trwałej, opowiada o majątku, który wydawała na za małe ubrania, bo miała nadzieję, że do nich schudnie. Część ubrań oddawała córce. I co, flądro, chwalisz się czy żalisz?

U ostatniej babki nie rzuca mi się w oczy żadna wyjątkowa cecha wyglądu. Jakaś taka niemrawa się trafiła, nie mam się do czego przyczepić. Jeszcze.

– Ja za to byłam kiedyś na obozie odchudzającym w Bieszczadach, nawet zrzuciłam kilka kilo, ale zaczęłam podkradać jedzenie innym. Byłam pod opieką psychologa, ale już mi lepiej, przysięgam! – zapewnia Niemrawa.

– Spokojnie, kochana, przecież nie jesteśmy tu, żeby oceniać – uspokaja ją Ruda.

Mów za siebie, myślę.

– Byłaś uzależniona od jedzenia? – dopytuję.

– Tak, najbardziej od mięsa. Wieprzowina, wołowina, żeberka czy tam inne kiełbasy, bez znaczenia. Raz nawet gonili mnie po ośrodku, bo ukradłam paczkę parówek i zadławiłam się jedną. Ratowali mnie na środku korytarza.

Wszystkie z przerażeniem zerkają na Niemrawą, której właśnie nadaję nowy pseudonim. Od dzisiaj, myślę, nazywasz się Parówka.

Teraz Ruda dorzuca swoje trzy grosze, a gdy kończy dzielić się wspomnieniami związanymi z walką o szczupłą sylwetkę, zdaję sobie sprawę, że w tym jakże radosnym kąciku szczupłych inaczej nie wypowiadałam się tylko ja. I jak na zawołanie wszystkie lampucery kierują spojrzenia w moją stronę. Jak wierni w kościele, kiedy komuś zadzwoni telefon.

– Co, że moja kolej?

Jednocześnie kiwają głowami.

– Toć ja się nie muszę z niczego spowiadać.

– Ależ, droga pani, przecież to nie ma się czego wstydzić – zapewnia Wata Cukrowa. – Każda z nas coś powiedziała i nie wiem, jak wy, drogie panie, ale mi tak jakoś lżej.

– Mi też.

– Oj tak.

Co one takie zgodne? Wszystkie niby do rany przyłóż, a widać, jak im źle z oczu patrzy. Jedna ocenia drugą, druga zazdrosna o trzecią i tak w koło Macieju. Się znalazły, sanatoryjne hipokrytki.

– Ale co ja mam dodawać? Nad morzem się nie wstydzę pokazać, przecież mi się z kostiumu nie wylewa. – Odruchowo spoglądam na Ropuchę. – Toć nie jesteśmy i nie będziemy modelkami, choćby nie wiadomo co miało pomóc.

– O właśnie, kochana, do tego zmierzałam – włącza się Ruda. – Każdej z nas ciężko zadbać o samą siebie. Często nie mamy chęci, motywacji albo wsparcia.

– I systematyczności – dodaje niemrawa Parówka. Macha przy tym łapą, jakby rzeczywiście miała coś ważnego do powiedzenia.

– Tak jest, systematyczności również. – Ruda sięga po dużą kosmetyczkę w kolorowe palmy i wyciąga pięć niewielkich pudełek przypominających opakowania na leki.

Może to ten poczęstunek? Nalewki brak, ciasta brak, ale chociaż jakieś landrynki przywiozła od siebie? Niby cukierki jak cukierki, ale kto wie, czy w tych jej tczewskich rejonach nie mają jakich lokalnych dziwności niczym te pańskie skórki na Wszystkich Świętych na Mazowszu? Mnie ta nazwa szczerze obrzydza, bo sobie wyobrażam, że to takie obcięte farfocle jak od paznokci czy pięt.

Ruda starannie ustawia opakowania na szafce nocnej, a jedno chwyta w dwa palce niczym delikatną filiżankę.

– Drogie panie. – Odchrząkuje. – Przedstawiam wam Dietostop Plus! – Wodzi nam tym pudełkiem przed twarzami, a flądry aż mruczą z zachwytu.

– Ale co to jest, Elwirko, powiedz no szybko! – Ropusze gałki oczne prawie wypadły od tego wytrzeszczu.

– Spokojnie, już opowiadam, ale żeby było przyjemniej słuchać, mam coś specjalnego.

No nareszcie żem się doczekała. Myślałam, że już sama będę wywąchiwać jakiej karafki po pokoju. Ruda wyciąga z szafki kolorowy termos i do papierowych kubeczków po równo rozlewa nalewkę.

– Nie spytałam, czy wszystkim wam wolno pić alkohol…

– Nie gadaj, rozlewaj – domaga się Miotła. Proszę, proszę, jaka zachłanna. Żeby ona taka chętna była do grzebienia jak do zawartości kubka.

– Nasze zdrowie! – wznosi toast Ruda.

Wszystkie się stukamy i podnosimy kubeczki do ust.

– O, nawet dobra, aroniowa. – Oblizuję wargi. – Ale moja lepsza, bo z owoców z działki, a ty to pewnie jakieś kupne, co nie? Mogłam wziąć, tobyście spróbowały, ale mniejsza, opowiadaj, Elwirko, o tym Dieto-coś tam.

– Tak więc tabletki Dietostop Plus to najskuteczniejszy na rynku środek wspomagający odchudzanie! – Klaska w dłonie, a w jej głosie słyszę wyraźny zachwyt. – Hamuje apetyt, pomaga spalić nadmierny tłuszcz i, wiecie, znikają boczki. – Ruda łapie się teraz za swoją słoninkę nad biodrami i intensywnie ją ugniata. Obrzydlistwo! Jakby miała się czym chwalić.

Przynajmniej już wiem, czemu ta małpa nic nie jadła w pociągu, a w stołówce dzióbała jak ptaszek. To już nawet myszy w kościele więcej jedzą niż ona, dejta spokój.

– Ale u ciebie te tabletki to coś chyba nie działają? – Patrzę wymownie na jej naleśniki.

Twarze żab robią się jakieś podejrzliwe i teraz każda oczekuje wytłumaczenia od Rudej. Chyba żem je wszystkie na ziemię sprowadziła.

– Ha! Wiedziałam, że któraś zapyta – mówi wesoło Elwira, jakby się miała z czego cieszyć. – Już wam pokazuję, jak to zadziałało na mnie.

Sięga do walizki i wyciąga z niej jakąś broszurę. Boże, żeby to nie były żadne wyniki badań! Co mnie obchodzą jej krwinki czy inne leukocyty?

Przewodnicząca stowarzyszenia Miały Być Przekąski, Ale Się Nie Postarałam wyjmuje z broszury kilka zdjęć i rozdaje nam po jednym. I wtedy oczy wychodzą nam z orbit. Na fotografii widzę wręcz podwójną, jak nie potrójną wersję Elwiry. Siedzi na kanapie, bo w fotelu by się nie zmieściła. Były trzy Elwiry, a jest jedna. Dejta spokój, cud nad Wisłą. Gdybym ja ten Dietostop zeżarła, tobym zniknęła z powierzchni ziemi. Nie będę ryzykować.

– No nie gadaj, że to ty – zdumiewa się Wata Cukrowa i zerka raz na zdjęcie, raz na Rudą.

Jak nie ona, jak ona! Dalej tak nieumiejętnie rysuje brwi, nawet tusza tego nie zakryje.

– A żeś schudła – rzuca Ropucha, która pewnie w środku aż kipi z zazdrości.

Mogłaby wręcz zzielenieć, ale już ma na sobie ten zgniły sweter, to dużo by jej to nie dało.

– Dokładnie, schudłam. A zgadnijcie, kiedy było robione to zdjęcie.

– Ze trzy lata temu? – podsuwa Miotła.

– Pudło, zgadujcie dalej.

– Ale wcześniej, później? – Parówka marszczy zabawnie brwi i wygląda jak Beata, kiedy w warzywniaku próbuje obliczyć, ile wychodzi za trzy kilo ziemniaków, żeby mieć pewność, że jej nie robią w bambuko. Będę do niej musiała zadzwonić z rana, sprawdzić, czy chałupy nie spaliła.

– Wyobraźcie sobie, że to zdjęcie zostało zrobione cztery miesiące temu.

Aż mnie zapowietrzyło, żaby także. Ta jęknęła, tamta zassała powietrze, owamtej wyrwało się brzydkie stęknięcie. Jak przy stole wigilijnym, kiedy makowczyka zabraknie.

– Co?! – równocześnie rzucają dwie żaby.

– Ale jak?

– Przecież to niemożliwe. – Miotła macha ręką. – Bujdy gadasz, Elwira.

– A żadne bujdy! Przecież masz w prawym dolnym rogu datę zrobienia zdjęcia, zobacz, o! – Palec Rudej ląduje na fotografii podobnie jak wtedy na mojej

krzyżówce w pociągu. No toć wszędzie te paluchy wsadza.

Sama nie dowierzam, ale zerkam na cyfry i rzeczywiście: zdjęcie zostało zrobione w marcu tego roku. Jak to możliwe? Toć dla takiego efektu trzeba by było chyba jakiejś operacji wyssania tłuszczu albo cudu najświętszego na Jasnej Górze.

– To co ty żeś zrobiła? – pyta Wata Cukrowa.

– No właśnie ja nic. To dzięki Dietostopowi Plus zrzuciłam tyle kilogramów.

– Nic, akurat! Przecież ta wysportowana laleczka, co mnie mąż z nią zdradzał, to z tych fitnessów nie wychodziła. – Miotła wydaje się strasznie zbulwersowana, ale dejta spokój, też bym była, jakbym się dowiedziała, że mój Stasiek latał na dwa fronty. – No co, wiem, bo ich szpiegowałam. Ale nieważne, sęk w tym, że bez ruchu nie idzie tak szybko schudnąć, niemożliwe.

W sumie się z nią zgadzam, bo przecież jak czytam gazetki, to tam zawsze piszą, że kluczem do wymarzonej sylwetki są dieta i ruch. Nigdy się jakoś specjalnie nie odchudzałam, zawsze żem jadła, na co miałam ochotę, i mieściłam się w drzwiach. A ruchu to ja mam codziennie od groma, bo – o! – tu pójdę do warzywniaka, tam do mięsnego, tu do totolotka, a jeszcze na mszę z rana! Pospacerować czasami też lubię, ale to jak pogoda znośna i korzonki nie bolą.

Raz czytałam artykuł o odchudzaniu i ponoć jakaś modelka się żywiła watą nasączaną octem, że to jej niby zapychało tam, nawet nie wiem co. Ja sobie nie wyobrażam, że mi się takie kłaczki zbierają w brzuchu. Parę miesięcy temu jeden kulawy kot z mojego osiedla wyrzygał takich kilka podobnych przy przystanku. Mam nadzieję, że Maślakowa w nie wdepnęła.

– Już wam mówię, kochane. – Ruda klepie Miotłę w ramię, jak matka, co chce udobruchać obrażone dziecko. – Ten lek zawiera specjalnie stworzoną mieszankę bogatą w wartościowe substancje lecznicze, a także wyciąg z zielonej kawy i z herbaty, kofeinę, guaranę, nagietka – rzuca tymi nazwami szybciej niż nasz nowy młody ksiądz słowami podczas kazania.

Szkoda chłopaka, bo przystojny, trochę się marnuje za ołtarzem, takie ładne miałby dzieci. No ale nic, toć każda para nóg i rąk się przyda w kościele, bo

przecież teraz to taki niż demograficzny w zakrystiach, coraz mniej tych powołań ludzie mają.

Tak żem się zamyśliła, że aż przestałam się skupiać na słowach Rudej, ale z reakcji żab wnioskuję, że ten cudowny lek zawiera chyba jeszcze co najmniej złoto albo diamenty. Tak się babom oczy świecą, jakby im kto kuponem z wygraną szóstką przed twarzami machał.

– Cała ta zbilansowana i skondensowana mieszanka bogactw naturalnych hamuje apetyt do tego właśnie stopnia, że po paru miesiącach przechodzicie niesamowitą metamorfozę, jak ja!

Ropucha wstaje z fotela i bije brawo, a wszystkie pozostałe idą w jej ślady, łącznie ze mną. Pierwsza przerywam, bo już po kilku klaskach bolą mnie ręce.

– Naprawdę jesteśmy pod ogromnym wrażeniem, Elwirko! – chwali Ropucha.

– Dokonałaś niemożliwego! Ale ci zazdroszczę. – Parówka uśmiecha się smutno i obciąga bluzkę na swoich fałdkach.

– Wznieśmy toast! – Ruda chwyta swój kubek, a ja domagam się dolewki, bo magicznym sposobem moja nalewka już wyparowała. – Oczywiście, kochana, komu jeszcze? – pyta Elwira i po chwili każdy kubek wypełnia się aroniową przyjemnością.

– Ale zaraz, zaraz – odzywa się Wata Cukrowa. – Za co ten toast?

– No jak to za co? – oburza się Ruda. – Ja już ciała trochę zgubiłam, teraz wasza kolej. To toast za wasze przyszłe metamorfozy!

Wszystkie żaby ochoczo stukają się kubkami, ja też, ale ostrożnie, żeby nie wylać zawartości na wykładzinę. Prędzej czy później i tak się ufajda, bo te papierowe denka długo nie wytrzymają. W sumie co ja się przejmuję, toć to nie mój pokój. Mogła zabrać kieliszki. Perfekcyjna pani domu od siedmiu boleści.

– Ja chcę pierwsza! – Miotła nachyla się do szafki nocnej, żeby pochwycić opakowanie Dietostopu Plus, a na jej ruch odpowiadają pozostałe i po chwili każda trzyma w dłoniach pudełko.

Ruda nie zdążyła nawet zaprotestować, ale pewnie taki był jej cel.

– To jest dla ciebie, kochana – mówi i podaje mi ostatnie opakowanie.

Dziękuję odruchowo i obracam je w dłoniach. Z boku coś pisze drobnym druczkiem, bez okularów nie widzę, ale to pewnie skład, który Elwira wyrecytowała nam pięknie jak Kubuś wiersz na akademii.

– Często bywam w aptece i jakoś tego cuda nie kojarzę – mówię podejrzliwie. – Od kiedy to sprzedają?

Toć już na pamięć znam układ na tych podświetlanych półkach w aptece. Zdarza się, że co jakiś czas przemieniają schemat i od nowa muszę błądzić wzrokiem. Niby te farmaceutki wszystko wiedzą, ale przez te zmiany rozstawienia to same się gubią i wtedy na łatwiznę chcą mi wcisnąć jakieś zamienniki z szuflady pod blatem. A jak mi lekarz na recepcie coś przepisał, to chcę otrzymać właśnie ten konkretny lek, a nie jakieś podróbki. Płacę, to wymagam. I co z tego, że są tańsze. Wolę przepłacić, ale żyć, to w końcu z zalecenia doktora, a on to chce dla mnie jak najlepiej. Te buble to pewnie wciskają, bo im się data ważności kończy, ale ja głupia nie jestem. Tak to Maślakową mogą oszukiwać, nie mnie.

– Ten lek nie jest dostępny w aptekach dla zwykłych ludzi. Trafia tylko do grona najbardziej pragnących zmian w swoim życiu! – Ruda znowu wchodzi w stan estrady czy tam ekstazy.

– O, to ja! Ja chcę zmiany, pragnę jej! – Ropucha tuli Dietostop do swojej olbrzymiej piersi. Ma czym oddychać kobita, nie powiem.

– Ja też!

– I ja, i ja!

– Dokładnie, moje kochane. Wy jesteście wyjątkowe. – Ruda wskazuje na każdą po kolei. – Dlatego zasługujecie na pomoc, a ja wam ją zapewnię.

Nie wiem, coś mi tu śmierdzi. Toć przecież skoro lek nie jest łatwo dostępny i trafia jedynie do, można powiedzieć, osób elitarnych, co swoją drogą chyba tylko ja w tym gronie mogę o sobie powiedzieć, to jego cena musi być kosmiczna. Jak za paprykę czy czereśnie poza sezonem.

– No a powiedz, kochanieńka, ile to cudo kosztuje – pytam najmilszym tonem, na jaki potrafię się zdobyć. Próbuję osłodzić reszcie gorzką prawdę, którą zaraz pewnie usłyszą.

– Nic się nie martwcie, pierwsze opakowanie jest w prezencie – mówi Ruda, a ja się zastanawiam, jak ją szczęki nie bolą od tego ciągłego uśmiechu.

Przez pokój przetacza się radosny chór żabich ochów i achów, do którego sama się dołączam, ale tylko na chwilę. Muszę przerwać ten radosny bal na bagnie, bo trzeba pociągnąć Rudą za język.

– A później?

– Ale co później?

– No, toć pierwsze opakowanie w prezencie, ale potem trzeba płacić. – Krzyżuję ręce. – Ile i na jak długo wystarcza jedno takie pudełeczko?

Kątem oka widzę, że wszystkie teraz czekają jak na ogłoszenia parafialne, kiedy ksiądz czyta listę zmarłych z tego tygodnia. Tylko Ropucha jest kompletnie nieskupiona na chwili, bo wizja szczupłości zamydliła jej oczy na amen. Na jej wielkim jak hangar udzie dostrzegam przygotowaną na opustoszenie portmonetkę.

– Myślę, że cena za ten produkt jest niewielka w porównaniu z korzyściami, jakie niesie jego stosowanie. Jedno opakowanie starcza na około siedem dni…

– Jak na siedem? – Miotła przerywa Rudej, a ja biorę głośny wdech i tak samo głośno wydycham, żeby pokazać swoje zirytowanie. Prędzej nas ranek zastanie, niż poznamy tę przeklętą cenę.

– Wiecie, każda z nas ma inne zapotrzebowanie, głód atakuje nas o różnych porach dnia i nocy. Niektórym jedno opakowanie Dietostopu Plus starcza na siedem dni, niektórym na pięć, a inni potrzebują wykorzystać taką dawkę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

W tym momencie wszystkie spoglądamy na Ropuchę, ale ta chyba nie zrozumiała, może i lepiej.

– Tak jak mówiłam, pierwsze opakowanie jest w prezencie ode mnie, a każde następne kosztuje sto trzydzieści dziewięć złotych dziewięćdziesiąt groszy.

Na tę wiadomość Wata Cukrowa krztusi się nalewką, a Ruda troskliwie klepie ją po plecach.

– Nie powiem, dużo jak za jedno opakowanie – mówi Parówka, a my zgodnie potakujemy. – Ale każda magia ma swoją cenę.

Ło pierunie, jaka poetka, druga Wisłocka się znalazła.

– Racja, ja wydałam już mnóstwo pieniędzy na ubrania, do których miałam nadzieję schudnąć, i co? – Wata Cukrowa chwyta się za swój pokaźny brzuch. – Wszystkie musiałam pooddawać. A mogłam zainwestować w coś obiecującego. Pieniądze produkują codziennie, a taka szansa może mi się drugi raz nie trafić. Ja się piszę!

Nie wiem, czy bardziej podziwiam teraz jej determinację, czy mi jej żal, że z taką łatwością przychodzi jej szastanie kasą. Ja staram się nie wydawać pieniędzy na prawo i lewo, ale oczywiście są sytuacje, kiedy nie należy trzymać węża w kieszeni, na przykład jak mam dać Kubusiowi na małe co nieco albo księdzu na tacę. Ostatnio na renowację schodów zbierali – toć w takich chwilach to aż grzech oszczędzać.

– Zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach każda złotówka się liczy. – Ruda kładzie sobie dłoń na sercu. – Ale pomyślcie o pieniądzach, które wydajecie każdego dnia na żywność. Ile majątku już każda z nas przejadła, bo miała ochotę na drożdżówkę albo salcesonik?

– Oj, zjadłabym salceson, ale mi szkodzi – wtrąca Parówka.

No jakbym Beatę słyszała! Wielka miłośniczka salcesonu, przed którą trzeba zamykać lodówkę na kłódkę. Toć co noc słyszę, jak człapie w kapciach do kuchni.

Pamiętam, że jak moja chrześnica Gośka była mała, to myślała, że jak się zje na przykład frytkę, to taka frytka odkłada się na brzuchu czy biodrze w formie kanciastego tłuszczyku pod skórą. Ach, te dzieci, nie brak im wyobraźni.

– Ja to przepadam, jak co roku pod cmentarzem obwarzanki sprzedają, aż mi ślinka cieknie! – mówię, na co ożywia się Ropucha:

– Ja to chyba najwięcej wydaję, jak jestem w miejscach publicznych. Jak coś mi zapachnie, to koniec, kupuję i pożeram… A portfel płacze.

Rzeczywiście, musi tracić fortunę na przekąski, toć się jednym gofrem nie najada, a pewnie jeszcze bierze z kopą bitej śmietany, różnymi polewami, posypkami, owocami. A każdy taki dodatek to sporo kosztuje, bo te zdziercy z budek żerują na takich jak ona.

– No właśnie, Czesiu – przyznaje Ruda. O, Ropucha to Czesia, ale trudno, dla mnie już zostanie Ropuchą. – Środki na nadprogramowe zakupy zostają zainwestowane w środek leczniczy, który hamuje apetyt, więc jednocześnie pomaga zapobiegać niepotrzebnym wydatkom. Koniec końców i tak będziecie wydawać mniej.

– No dobrze, nie wiem, jak wy, koleżanki, ale ja chcę spróbować – orzeka Wata Cukrowa.

To ośmiela pozostałe. Każda żaba zgadza się podjąć rzekome leczenie, sama też nie odmawiam przyjęcia podarku od Rudej. Może faktycznie zadziała, najwyżej odstawię, jak nie będę zadowolona. Przecież paktu z diabłem nie podpisywałam, nikt mnie do kupowania tego w przyszłości zmuszać nie będzie. Chociaż Ruda ma taki ognisty ten kolor na łepetynie jak w jakich czeluściach Belzebuba. Nie wiem tylko, z jaką częstotliwością trzeba brać, skoro każda ma indywidualne zapotrzebowanie. Może jak się jest głodnym albo kiedy człowieka tak dziwnie ssie w żołądku, że by się coś zjadło, ale nie wiadomo co. Takie o, jedzenie z nudów.

– Elwira, a kiedy będziemy wiedzieć, że trzeba połknąć tabletkę? – pyta Parówka i nerwowo obraca opakowanie, jakby miała się na nim pojawić instrukcja dawkowania.

Toć już trzydzieści razy to pudełko przeglądałaś, magicznie się nie pojawi, myślę. Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana, Parówko.

– Wasz organizm sam o nią poprosi – tłumaczy Elwira. – Kiedy przyjmiecie pierwszą tabletkę leku, Dietostop Plus zacznie działać. Będzie przystosowywać się

do waszego organizmu, poznawać wasze potrzeby i żołądki. Same poczujecie, kiedy trzeba będzie wziąć kolejną dawkę.

– Takie to mądre? Jak taki komputerek? – Ropucha rechocze, dumna ze swojego żartu.

– Powiedzmy. Oczywiście za wszystko odpowiedzialne są witaminy i składniki mineralne, które pomagają kontrolować zachcianki, a dodatkowo wspierają ograniczanie zapotrzebowania kalorii do minimum. Badania wykazały, że aż dziewięćdziesiąt dziewięć procent użytkowników zrzuciło zbędne kilogramy.

Na tę informację znowu klaszczemy jak w jakim teatrze czy tam cyrku. Ciekawe, co sobie myślą goście sanatorium z sąsiednich pokoi. Dziwię się, że jeszcze nikt nie przyszedł sprawdzić, co wyprawiamy, bo przecież Ruda ma tak donośny głos, że pewnie ją na recepcji słychać.

– Tak że, moje najdroższe, bardzo się cieszę, że będę mogła wam pomóc. Te opakowania nie tylko przyjmijcie jako prezent, ale też potraktujcie jako początek wspaniałej przygody. Wasze życie właśnie zmienia się na lepsze! Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, to odpowiem na nie jutro, bo już się robi późno. – Spogląda na zegarek. – Jeśli będziecie zadowolone z działania Dietostopu Plus, a jestem przekonana, że tak się stanie, to wiecie, gdzie mnie szukać. Zapas mam niemały, dla każdej starczy.

– Elwirko – mówię i wstaję. – A nie miało być przypadkiem poczęstunku?

– No właśnie – wtóruje mi Ropucha. Oho, już chyba zapomniała, że chciała schudnąć.

Ruda triumfalnie podnosi ręce.

– To był test! Właśnie udało wam się wytrzymać kilkadziesiąt minut bez objadania się, chociaż już myślicie o jedzeniu. – Spogląda na mnie znacząco. A co to ja, żarłok jakiś? – A teraz wyobraźcie sobie, że z tym cudownym lekiem będziecie mogły wytrzymywać bez podjadania znacznie dłużej. Czyż to nie cudowne?

– Cudowne, no pewnie, że cudowne. – Miotła wydaje się rozchmurzona. – Nie mogę się doczekać efektów i miny córki, jak się u niej upomnę o swoje ubrania. W końcu zmieszczę się w taką śliwkową sukienkę, co żem sobie w butiku kupiła.

– No, to już niedługo wpadniesz w tę sukienkę jak śliwka w kompot. – Ruda rozbawia wszystkie swoim żartem. – Jutro się złapiemy, teraz trzeba spać – dodaje, zbierając puste kubki.

Widać, że chce się nas pozbyć, zatem dziękujemy za gościnę, chowamy odchudzające suwenirki do torebek i wychodzimy. Żegnam się z żabami i idę do windy, a już po chwili jestem w swoim pokoju. W środku upewniam się, czy zamknęłam drzwi, i na wszelki wypadek zastawiam je fotelem. No co, toć nie wiem, czy ten Bursztynek to aby na pewno forteca bezpieczeństwa. Mało wariatów na świecie?

Nagle przypominam sobie tego wąsacza ze stołówki, Taryfowego Gbura, i wyobrażam sobie, jak łazi za babami po korytarzach. A co, jak mnie śledził? W sumie się nie oglądałam za siebie, na korytarzu było cicho, pewnie wszyscy już w łóżkach, ale moja bujna wyobraźnia nie pomaga, bo w głowie pojawia się wizja, jak Taryfowy Gbur koczuje pod drzwiami z jaką szklanką do podsłuchiwania albo próbuje wypchnąć klucz z dziurki, żeby mnie podglądać. Brrr… Po co ja se tak wymyślam? Widziałam już dzisiaj włosy Miotły, starczy mi horrorów na jeden dzień.

Uchylam okno, żeby trochę wywietrzyć przed snem, i idę do łazienki. Myję tylko twarz, toć przed wyjściem brałam kąpiel, to przecież się nie ubrudziłam nie wiadomo jak. Zęby szoruję mocniej niż zazwyczaj. Naleweczka dobra, ale przebarwienia zostawia.

W łóżku staram się okiełznać nieznośnego pilota od telewizora. Jakby nie można było stworzyć jednego modelu do wszystkich odbiorników. Ja mam inny, Teresa inny, Gośka to w ogóle ma jakiś z kosmosu, a idźta!

W końcu udaje mi się odpalić telewizję i akurat trafiam na powtórkę starego odcinka *Na dobre i na złe*, z jeszcze młodą Małgosią Foremniak. O matko, jużem

prawie zapomniała, jaki ten Żmijewski przystojny był. No, teraz też niby jest, ale jak gra Ojca Mateusza, to tak głupio, żeby się podobał. Wtedy lekarz, to rozumiem, ale ksiądz? Nie wypada!

Po kilkunastu minutach gaszę telewizor i lampkę, zamykam okno i zmawiam pacierz, tak jak zawsze. W intencji najbliższych *Ojcze nasz*, *Zdrowaś, Maryjo*, *Aniele Boży*, żeby byli zdrowi i wiadomo, i *Wieczny odpoczynek* za Staśka.

Już mam skończyć, kiedy nagle przed oczami staje mi Taryfowy Gbur i mówi: „Amen”. Dejta spokój, teraz przed snem to nawet osły przemawiają ludzkim głosem!

BOŻE, BEATA!

SANATORIUSZKI POD ROZKAZAMI DIETOSTOPU

Następnego dnia otwieram oczy koło siódmej, jeszcze zanim zegarek zacznie wydzwaniać. Wzięłam go na wszelki wypadek, bo przeważnie i tak się budzę między szóstą a siódmą, ale nigdy nie wiadomo, wolałabym nie zaspać na śniadanie, zwłaszcza że u Rudej nie pojadłam. Nawet się wyspałam, ale i tak żem się budziła w nocy kilka razy, bo łóżko takie nie do końca wygodne, a ciało do swojego przyzwyczajone. No i jak żem zmieniała pozycję, to skrzypiało jak diabli.

Po porannym pacierzu zaścielam łóżko, poprawiam się trochę w łazience i gotowa, ubrana w wygodne rybaczki i bluzkę w groszki, wychodzę z pokoju. Do śniadania jeszcze jakieś dziesięć minut, więc na spokojnie sobie zejdę. Według rozpiski swoje rehabilitacje z jakim fizjologiem, czy jak to się mówi, zaczynam o dziesiątej.

Pod wejściem do stołówki rzuca się w oczy spora kolejka kuracjuszy Bursztynka, którzy niczym wygłodniałe wilki czekają na otwarcie bram do pastwiska owiec. Cholera, muszę wstawać wcześniej. Zabiorą mi najlepsze sery. W kolejce dostrzegam bladoróżową fryzurę, więc śmiało przeciskam się przez tłum.

– No, dzięki, kochana, żeś mi miejsce trzymała. – Witam się z Watą Cukrową, która, mam nadzieję, załapała, żeby mnie wpuścić w kolejkę.

– O, cześć, cześć. Jak spałaś?

– A znośnie, ale w łóżka to by mogli lepiej zainwestować. – Demonstruję na sobie masaż dolnej części pleców. – A ty?

– Oj, ja świetnie! Powiem ci, że ten wieczór u Elwirki to mnie jakoś tak podniósł na duchu i jestem gotowa do działania!

Matko, cóż za energia z samego rana. Nawet miło popatrzeć na kobitę w takim humorze, ale te sandałki to sobie mogła odpuścić. Pewnie nowe i chce się wszystkim pochwalić, modnisia się znalazła. Ludzie tu ostatnie pieniądze z oszczędności wydają, żeby na pobyt w sanatorium starczyło, a ta się pindrzy. Ale żeby nie było, nie jestem zazdrosna. Wcale.

– Już wzięłam jedną tabletkę i rzeczywiście, kochana, jakoś mi się tak jeść nie chce za bardzo – ciągnie Wata Cukrowa. – Kto by pomyślał, że to tak od razu zacznie działać, co nie?

– A to tak można, na czczo?

– Bo ja wiem? Chyba tak. W środku nie było żadnej ulotki, to nie ma pewności, ale jak znajdę dzisiaj Elwirkę, to się dowiem.

– Tylko jak ci się nie chce jeść, to po co na śniadanie idziesz? – dopytuję podejrzliwie, ale w tym momencie obsługa otwiera drzwi i wszyscy cwałują do stołówki.

– Przecież coś jeść trzeba, obiad dopiero po trzynastej, a muszę mieć siłę na ćwiczenia – tłumaczy. – Ale nałożę sobie mniej, bo mnie tak nie ssie z głodu, więc lek zaczyna działać.

– I słusznie, bo ja to tak myślę, między nami – nachylam się bliżej jej pomarszczonej twarzy – że Elwira się głodziła, żeby tak schudnąć, przecież to niemożliwe tyle zrzucić w taki czas. Na pewno nie jadła pomniejszonych porcji, tylko jakieś mikro, dla krasnoludków.

– Wiesz, co ja będę osądzać, schudła to schudła. Działa to działa. – Kierujemy się do stanowiska z talerzami. – Nie wiem, ile jadła, ale ja głodować nie będę…

– Dobrze – kwituję, ale za wcześnie.

– …no chyba że mnie te tabletki od środka opętają.

Wata Cukrowa wybucha śmiechem, czym zwraca uwagę ludzi dookoła. Co za wstyd, pewnie myślą, że ja też jaką wariatką jestem – ale przynajmniej mam włosy w naturalnych, co prawda też farbowanych, jednak naturalnych barwach. Takiego blondu to i sama Grażyna Torbicka by się nie powstydziła.

Nakładam sobie dwa jajka sadzone, trochę pieczywa, ser, wędlinę i ogórka z pomidorkiem, a tamta tylko marną piętkę chleba i plasterek pomidora.

– Co, już ci ten Dietostop rozkazuje? Dołóż sobie chociaż mięsa, bo padniesz w ciągu dnia.

– Nie potrzebuję. Najwyżej jak się okaże, że się nie najadłam, to sobie dołożę.

– A to jak sobie chcesz – prycham.

Wata Cukrowa szybko kończy jeść i odchodzi od stołu. Zostaję sama. Nigdzie nie widzę reszty wczorajszego towarzystwa – pewnie odsypiają po tej nalewce. Tak to jest, jak się nie zna umiaru.

BOŻE, BEATA!

BRAĆ CZY NIE BRAĆ, OTO JEST PYTANIE

Po śniadaniu wychodzę na dwór i siadam na wolnej ławce niedaleko pięknego jesionu. We łbie karuzela myśli. Co mam sądzić o tym leku? Wyciągam z torebki komórkę i wybieram numer Beaty. Po dwóch sygnałach łaskawie odbiera.

– No cześć, cześć! Boże, Beata, co nie odbierasz tak długo, na zakupach jesteś?

– Nie, w domu, na zakupach wcześniej byłam – odpowiada.

No patrzcie ją, od kiedy tak wcześnie wstawać potrafi?

– I jak tam, podoba ci się w tym Ciechocinku? – pyta.

– Tak, ładnie nawet i przyjemnie.

Przez jakieś pięć, może dziesięć minut opowiadam jej o Bursztynku, o wyposażeniu pokoju, ogrodzie, podróży pociągiem i Taryfowym Gburze. Co chwilę słyszę w słuchawce „yhym”, na potwierdzenie, że słucha. Nie lubię, jak tego nie robi, bo wtedy mam wrażenie, że przerwało połączenie i będę musiała zacząć opowiadać jeszcze raz. Następnie przechodzę do historii wczorajszego wieczoru u Rudej.

– I co myślisz o tym leku? Brać czy nie brać?

Beata milczy. Jedną chwilę. Drugą. Trzecią.

– Co tak długo myślisz, jak jaki myśliwy? Powiedzże co wreszcie, bo cicha jesteś jak mysz pod miotłą!

Co prawda ona to się tak zna na lekach jak ja na zasadach tej gry, co w nią z Kubusiem czasami gram. Bo kto to widział, żeby kupować ulice w Warszawie

i jakieś motele stawiać, a potem jeszcze płacić, jak się chce stanąć pionkiem. Co ja, Wojciech Cejrowski, żeby tak łazić i łazić? Dobrze, że nie gra się na bosaka.

– Sama nie wiem, ale jak to pomogło tej… – Beata się zawiesza.

No, tak właśnie słucha. Tak się skupia na rozmowie.

– Elwirze, ale mówię na nią Ruda.

– A czemu tak?

Nie no, ręce opadają. Biorę głęboki wdech i wypuszczam powietrze.

– Beata, bój się Boga i wszystkich świętych. Jak mnie zabraknie, to ja nie wiem, jak ty chociaż dzień przeżyjesz. Ruda, bo ma rude włosy. Ale mniejsza. No fakt, na nią zadziałało, ale ciekawe, czy działa na wszystkich.

– To zobaczysz, jak tamte będą wyglądać za jakiś czas.

– No w sumie. A ty byś spróbowała na moim miejscu?

– Skoro masz w tym prosektorium tę całą Elwirę…

– Jakim prosektorium?! Boże, Beata, to sanatorium jest, weź ty się orientuj trochę!

– No, to miałam na myśli. W każdym razie skoro masz tę, co ten lek rozprowadza, to pod dobrą opieką jesteś chyba, nie? Doradzi i inne takie?

Może ma rację, może faktycznie powinnam spróbować i pójść w ślady Rudej, Waty Cukrowej i reszty płazów? A może gadów? Nie wiem, zawsze mi się to myliło. Bo taką Maślakową to akurat łatwo do gatunku przydzielić. Żmija.

– Słuchaj, znasz mnie, nie masz wrażenia, że na moje głody i zachcianki to nawet te pigułki nie pomogą?

– No skoro tamta tak dużo schudła, to wiesz. A przecież twoja oponka…

– Ty i tak masz większą! – Podnoszę głos. – Ja może i tobie bym opakowanie załatwiła, o! To jest pomysł.

– Wiesz co, ja to mam wrażenie, że ty się nie boisz schudnąć, tylko nie chcesz. Ty byś dnia bez jakiego słodycza czy innej przekąski nie wytrzymała.

Faktycznie, na myśl, że nie mogłabym się delektować herbatniczkiem, kanapeczką z serkiem, serniczkiem albo śledzikiem, to aż mnie telepie. Znaczy

mogłabym jeść, tylko mój organizm przez ten lek odrzucałby potrzebę jedzenia takich dobroci. No, w sumie na tym to polega, co się dziwić, ale przecież jedzenie to jedna z największych przyjemności na świecie. Tyle smaków, kolorów, zapachów i co? By mi kromka chleba miała starczyć? A idźta w cholerę z takim życiem!

– Nieczęsto to mówię, Beata, ale chyba masz rację. Po kiego grzyba mi te leki, żebym sobie bigosu odmawiała, jak lubię?

– No właśnie, nic na siłę.

– Dobrze, Beatko, będę kończyć, bo muszę się niedługo na te ćwiczenia przygotować, pachy podgolić.

– Pachy? A po co pachy, przecież ty operację na przepuklinę miałaś, a nie ramion?

– Ale jak mi te rehabilitanty każą ręce podnosić, to co? A poza tym dzisiaj taki upał, że i tak by wypadało. – Zerkam na niebo. Słońce niemiłosiernie świeci mi w twarz. – Jedną taką babę już tu widziałam, taka paniusia, ho, ho, spacerek w ogrodzie, elegancka taka, a jak siadła i ręce na głowie położyła, to ło pierunie! Gąszcz, normalnie gąszcz pod tymi pachami miała! Większe zarośla niż chwasty na działce u Maślakowej!

– Może tak lubi – nieśmiało broni jej Beata.

– A MORZE to jest szerokie i głębokie! Daj spokój, Beata, kto to widział, żeby kobiety w dwudziestym pierwszym wieku pach nie goliły, a tamta to w ogóle dżunglę hodowała, a wiesz, wszy i takie tam. – Aż mnie dreszcze przeszły. – Dobra, kończę ostatecznie, chyba jeszcze szybką kąpiel wezmę, bo aż mnie zaswędziało wszędzie. A kąpać się można i można, bo przecież woda w cenie! No, no, no to pa. – Rozłączam się. – Co za gaduła – prycham pod nosem.

Wracam do środka lekko mokra od potu, na wejściu zimny podmuch z klimatyzacji uderza mnie w twarz. No, tak być nie może! Miłe to było, przyznaję, ale przejdę tak kilka razy i od razu się rozchoruję, jaka angina mnie złapie i co? Do końca wakacji stąd nie wyjadę.

– Pani Kasiu! – Podbiegam do recepcji, gdzie Piegowata wyjątkowo pracuje, wypełnia jakieś druczki.

– Słucham panią. – Wyczuwam nutkę niepotrzebnej irytacji. Na siebie się irytuj, leniu jeden.

– Niechże no ktoś zakręci tę klimatyzację, bo przecież różnica temperatur…

– Klimatyzacja jest ustawiona na tryb automatyczny, sama dopasowuje się do pogody na zewnątrz, nic nie mogę zrobić. – Na piegowatej twarzy pojawia się sztuczny uśmiech, szeroki jak rogal.

– Jak to nic? Toć przecież to na pewno na jakiego pilota działa albo co!

– Klimatyzacja działa w ten sposób, żeby latem w środku było chłodniej.

– Wiem, jak działa klimatyzacja. – Teraz ja reprezentuję irytację w głosie. Co za bezczelna smarkula, co ona myśli, że ja pod jakim kamieniem żyję?

– No właśnie. Nasi goście życzą sobie, by w pomieszczeniach wspólnych była temperatura, która nie pozwala się spocić. – W tym momencie jej wzrok zatrzymuje się na ciemnej plamie pod moją pachą. – Niektórzy kuracjusze cierpią na duszności, zresztą na pewno wie pani, że starsze osoby z powodu upałów czasami mdleją i różne takie.

Patrzcie ją, usiłuje mi powiedzieć, że jestem stara.

– Wiem, jak…

– Skoro pani wie, to proszę nie wychodzić na dwór, tylko delektować się idealną temperaturą tutaj, w środku.

Nastaje cisza. Jedna nie spuszcza wzroku z drugiej, obie czekamy, aż któraś pęknie. Czuję się jak w jakimś filmie w klimacie westernu. Po podłodze powinien się jeszcze przetoczyć taki kłębek z suchej trawy i gałęzi.

– Wie pani co, pani Kasiu? Ma pani rację – odpowiadam miłym tonem. – Nie powinnam narzekać na to, że ochładzacie nam przestrzeń do życia, przecież każdy z was chce dla mnie, dla nas – poprawiam się – dobrze. I ja też chcę dla was tego samego. Zwłaszcza dla pani.

Piegowata marszczy czoło. Nie wydaje się przekonana, że mówię szczerze.

– Dlatego mam dla pani radę – ciągnę tak słodko, jak tylko potrafię. – Polecam sprawdzić, czy żadne szczury nie zostawiły odchodów w tej całej klimatyzacji, a następnie zmniejszyć nawiew, bo z tą siłą wiatru szczurze fekalia nie mają możliwości subtelnie rozproszyć się po pomieszczeniu, tylko lądują na pani twarzy. Nikt się nie nabierze, że to piegi.

Nie słyszę odpowiedzi, więc odwracam się na pięcie i odchodzę.

– Szach-mat – mówię z satysfakcją.

A teraz szybko, do pokoju. Toć muszę ogolić pachy, zanim zacznę kasłać do stetoskopu tego lekarza.

BOŻE, BEATA!

LEŻKO PONAD STO

– Dzień dobry, zapraszam – wita mnie niski, na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna. Jasnoniebieski uniform medyczny opina mu się na wystającym brzuchu.

Oho, ktoś tu sobie lubi na noc kiełbasę opyndzlować i popić piwkiem. Ruda mogła i jego zaprosić na wczorajsze spotkanie.

– Nazywam się Dariusz Jarząbek, jestem lekarzem i będę się panią zajmował podczas pani pobytu w naszym sanatorium. Co prawda ćwiczenia, zabiegi czy rehabilitacje będzie pani miała z innym personelem, ale nad wszelakimi zdrowotnymi sprawami będę czuwał ja.

Doktor wskazuje ręką na miejsce naprzeciwko biurka, więc siadam i rozglądam się po sali rehabilitacyjnej. Pełno tu przeróżnych foteli i łóżkopodobnych stelaży służących zapewne do wykonywania ćwiczeń czy tam innych masażów.

– Miło mi. Jakieś dziwne te meble, prawda? Nie wyobrażam ich sobie w jadalnianym – zagaduję i rozglądam się dalej.

Na ścianach są zamontowane drabinki, w skrzyniach pod oknem leżą różnej wielkości kolorowe gumowe piłki, a także te takie lekarskie, co to ważą więcej niż siatka kartofli. Kilka materacy ułożonych jest w kupkę przy ścianie, a w rogu, za parawanem, dostrzegam umywalkę.

– Fakt, dziwne, ale jakie praktyczne. – Jarząbek śmieje się krótko, po czym bazgrze coś w dokumentach na biurku. – Ale proszę się nie martwić, Bursztynek od lat słynie z tego, że jest wyposażony w jedne z najlepszych sprzętów do rehabilitacji. Ręczę za to.

Przyznam, że całkiem miły ten doktor, taki kulturalny, nie to co ta Piegowata Kaśka. No i zna się na żartach, to się ceni. Kiedyś żem poszła do lekarza rodzinnego i dali mi w zastępstwie jakiegoś starego zgreda, co to chyba ostatni raz się uśmiechał w przedszkolu. Ten mój lekarz był na zwolnieniu, kto by pomyślał, że doktorzy też chorują! Myślałam, że jak się człowiek poświęcił pracy medycznej, a jeszcze z powołania, to go diabli nie biorą.

– No dobrze. Już wcześniej zapoznałem się ze skierowaniem i badaniami od pani lekarza w… – doczytuje z kartki – Gdyni. Piękne miasto, zazdroszczę.

– O tak, dobrze się tam mieszka! – Rozmarzam się i spoglądam za okno. Gdyby to było w moim bloku, pewnie za moment na parapecie przysiadłaby jaka mewa. – Ja panu powiem, że najbardziej mi żal tych wszystkich ludzi, co to cały rok czekają na tydzień lub dwa urlopu, żeby nad morze przyjechać. Toć wiadomo, że żeby trafić na pogodę nad Bałtykiem, to trzeba wymodlić. Albo o, jeszcze gorzej! Turyści przyjadą, a tam sinice! Ech, szkoda gadać, ale jak człowiek mieszka na miejscu, to przez wszystkie trzysta sześćdziesiąt pięć dni ma morze dla siebie, a w podstępnym roku nawet i dzień dłużej! Dzisiaj pada? Trudno, jutro pójdę na plażę, toć morze to jakby należało do mnie, prawda, doktorze Jarząbek?

– Prawda, prawda. – Jarząbek kiwa głową, nie odrywając się od długopisu. Co jakiś czas wklepuje też coś na klawiaturze w komputer.

– Niech się pan lepiej tak blisko tego ekranu nie trzyma, bo okulary trzeba będzie nosić!

– Droga pani, ja już i tak soczewki noszę – odpowiada doktor i kilkukrotnie mruga, jakby myślał, że je dostrzegę czy co.

– A, to współczuję. Kiedyś widziałam, jak fryzjerka zakładała w salonie, to aż mnie zabolało, że tymi paluchami tam grzebie w tym oku. A u takiego fryzjera to przecież tych włosów tyle lata, aż dziwne, że sobie jeszcze żadnego pod taką soczewką nie zasadziła. Łapy pewnie w farbie miała, aż strach myśleć! No ale wracając do Gdyni, to o każdej porze roku pięknie i na bulwar na spacer warto iść.

A wie doktor – nachylam się w stronę biurka – zimą, jak człowiek zmarznie na dworze, to grzanego winka się napije i od razu lepiej na ciele i duszy.

Jarząbek zerka na mnie spod byka, jakbym co złego powiedziała, ale po chwili się uśmiecha. Założę się, że ma gdzieś w tym całym sanatorium swój prywatny gabinet, a w nim specjalną szafeczkę czy inny barek pełen trunków, które podostawał od pacjentów. Sama też potrafię się odwdzięczyć w swojej przychodni, ale celuję raczej w kawy czy słodkości.

Doktor mierzy mi ciśnienie, a potem osłuchuje mnie lodowatym stetoskopem. Dejta spokój, nie mogliby wymyślić jakiegoś podgrzewanego tego ustrojstwa, przecież za każdym razem ta blaszka to jak z zamrażarki wyciągnięta. Pewnie je przy sercu Maślakowej trzymają.

Na koniec staję na klasycznej wadze lekarskiej, takiej z szalką.

– No, i to jest waga – mówię i prostuję się, żeby Jarząbek mógł mnie zmierzyć. – A nie te jakieś cuda świata, co to moja chrześnica ma. Uwierzy pan? Stajesz pan bosymi stopami na tej cienkiej jak drut szklanej kafelce, a ona cię jakimiś prądami czy tam innymi elektrowstrząsami telepie, bo to mierzy i ci potem pokazuje, ile się ma wody, tłuszczu i innych takich w organizmie. Raz żem stanęła na tym, to aż mnie głowa zaczęła boleć od tych magnetyzmów, mówię panu.

Jarząbek niczego nie komentuje, ale spoglądam na kartkę, na której zapisuje dwie trzycyfrowe liczby. Jedna odnosi się do mojego wzrostu w centymetrach, a druga to kilogramy, co trochę mnie dziwi. Fakt, nie ważyłam się dawno, pewnie parę tygodni przed operacją. Myślałam, że przez mój słabszy apetyt po zabiegu to mi się trochę zrzuciło, a tu o. Letko ponad sto kilogramów.

– Ło pierunie! Ta waga to działa jak należy?

– Jak pani chce, może pani stanąć jeszcze raz. – Jarząbek nerwowo spogląda na zegarek.

Schodzę, by ponownie wejść na urządzenie, i podłapuję się doktora, żeby nie stracić równowagi.

– Nic się nie zmieniło, droga pani. Dokładnie sto i pół kilo.

– No ładnie, ale wstyd. – Próbuję wciągnąć oponkę na brzuchu.

Może faktycznie Ruda z tym lekiem spadła mi jak jakiś anioł z nieba? Chociaż ten jej ognisty kolor to z czeluściami piekieł idzie skojarzyć bardziej.

– Jaki wstyd, co pani mówi? – Nachyla się w moim kierunku, jakby miał mnie pocałować, na co odsuwam się minimalnie. – Pani nie wie, ile ja na co dzień ciał widzę. Spokojnie, co druga kobieta jest większa od pani, a pani dodatkowo jest bardzo wysoka, więc to też robi swoje.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście. – Jarząbek uśmiecha się pogodnie. – Niech się pani nie przejmuje, to tylko liczby, a przecież jeśli ma pani ochotę schudnąć, to nic nie stoi na przeszkodzie. Zdrowa dieta, więcej ruchu, spacery, może nordic walking?

– A co to jest? – pytam podejrzliwie. Nie wiem, co to znaczy, toć w zagranicznych językach nie mówię.

– To taka forma rekreacji, ludzie spacerują i wspomagają się dwoma kijkami – wyjaśnia Jarząbek.

– Aaa, wiem, widziałam takie kobitki czy to u mnie w Gdyni, czy niedaleko dworca, jak żem w Ciechocinku już była. I zawsze się zastanawiałam, gdzie one narty do kompletu zgubiły.

Doktor wybucha śmiechem, aż sama parskam pod nosem.

– Tego jeszcze nie słyszałem, droga pani, ale przecież nie tylko zimą chodzą z tymi kijkami. Nie zdziwiło pani, że latem też?

– Zastanawiałam się nad tym, doktorze, ale wie doktor, przecież taka Justyna Kowalczyk czy inne te sportowce to i w lato trenują, nieraz żem w telewizji widziała, jak się ślizgają po trawie. Albo o, skoczkowie narciarscy! Człowiek się uczy całe życie, a i tak głupi umiera.

– Racja, racja. – Jarząbek splata dłonie na blacie biurka. – No dobrze, z mojej strony to wszystko na dziś…

– A nie miałam mieć jakich ćwiczeń teraz? – przerywam mu, trochę zmieszana. – Tak żem miała w tej rozpisce, co wczoraj dostałam.

– Ćwiczenia będą od jutra. Pierwsze spotkanie zawsze jest przeznaczone na wizytę u lekarza.

– A, no dobrze. – Trochę się dziwię, ale z drugiej strony będę miała czas na krzyżówki w pokoju, muszę nadrobić przed nowym numerem.

– Spotkamy się jeszcze mniej więcej w połowie turnusu i na pewno pod koniec, zanim pani wyjedzie. Oczywiście gdyby coś się działo, odpukać – Jarząbek stuka trzykrotnie w biurko – to wie pani, gdzie mnie szukać. W razie czego w sanatorium dyżurują też inni lekarze, zatem zawsze ktoś będzie służył pomocą, proszę też z każdym zapytaniem czy niejasnością kierować się do recepcji, tam nasz miły personel udzieli niezbędnych informacji.

Mhm, miły personel. Ciekawe, czy po tym, jak dosoliłam Piegowatej, poszła zmyć te parchy z twarzy.

– Dobrze, dziękuję serdecznie, panie doktorze. – Wstaję i głośno zasuwam za sobą krzesło, bo przecież co ja będę dźwigać.

Otwieram drzwi na korytarz, a tam Ruda podskakuje na krześle, jakby ducha zobaczyła albo jakby jej co do majtek weszło.

– O matko! – krzyczy i komórka prawie wypada jej z rąk.

– No proszę, jakie spotkanie! – wołam do niej, a ta na mój widok szybko chowa telefon do torebki i zasuwa zamek, aż przycina sobie palucha.

Krew co prawda nie leci, ale może jej blizna zostanie. W końcu podnosi tyłek.

– Witaj, kochana, a ja się zastanawiałam, co tam za śmiechy w tym gabinecie!

Zanim zdążam odpowiedzieć, słyszymy Jarząbka, który zaprasza następną pacjentkę.

– Moja kolej, pogadamy później, lecę!

Ruda znika za drzwiami, a ja się zastanawiam, co tam miała w tym telefonie, że zareagowała tak bojaźliwie. Może przeglądała jakieś swoje zdjęcia w kostiumach kąpielowych? Na jej miejscu też bym się przeraziła.

Po zważeniu się miałam niby więcej chodzić, ale i tak wybieram windę. Wciskam guzik, a po kilku chwilach metalowe drzwi się rozsuwają i ukazują

w środku znanego mi dobrze Taryfowego Gbura. Ze wszystkich osób przebywających w Bursztynku musiałam trafić akurat na niego. To taki mój nemezis czy tam inny katharsis tego miejsca.

BOŻE, BEATA!

TARYFOWY GBUR MA PROBLEMY JELITOWE

– No dzień dobry, szanowna pani – mówi Gbur i podkręca wąsa, a następnie odsuwa się w bok, by zrobić mi miejsce.

Wchodzę, niezdecydowana, i staram się stanąć jak najdalej od niego. Wybieram przycisk i ruszamy w górę.

Nie mija kilka sekund, a rozlega się dziwny zgrzyt. Winda gwałtownie się zatrzymuje, a my staramy się utrzymać równowagę, coby na ziemię nie polecieć lub, co gorsza, na siebie. Zanim któreś z nas zdąża jakoś zareagować, gasną światła i zostajemy skazani na ciemność. Nie widzę kompletnie nic, natomiast brak widoczności wprowadza tylko może jedną pozytywną wiadomość w tej sytuacji: nie muszę patrzeć na Taryfowego Gbura.

– No to klops – słyszę jego donośny głos po mojej lewej.

– Co pan powie? – Przywieram do ściany, żeby poczuć się bezpieczniej w ciemności i oczywiście żeby nie dotknąć tego dziada. – Wyciągnij pan lepiej telefon i poświeć na te guziki, żebyśmy mogli wcisnąć jakiś alarm czy co – instruuję go.

Już od razu wiadomo, kto będzie dowodził w tej windzie, co to utonęła w arabskich ciemnościach. A mogłam iść schodami! Następnym razem muszę posłuchać porady lekarza.

Taryfowy Gbur posłusznie grzebie po kieszeniach spodni. Niewyprasowanych, jak nic! Ja niewyprasowany materiał to i z kilometra usłyszę, mam słuch jak nietoperz.

Kiedyś, jak żem pojechała do rodziny do Hajnówki, to ło pierunie! Tych bydlaków to tam latało jak komarów nad jeziorem! Na wszelki wypadek jadłam dużo czosnku, no bo wiadomo, że na nietoperze to jak woda święcona na diabła. A jeszcze one jakieś takie dziwne dźwięki wydawały, że aż w zębach bolało, do tego ten ich nadzwyczajny słuch, że jakieś fale wysyłają czy co tam. Aż strach pomyśleć o tych stworach, bo mi się od razu jakieś wampiry wyobrażają. Szkoda, że nie mam żadnego drewnianego kołka, żeby w razie co móc się obronić przed tym wąsaczem.

– Mam! – Taryfowy Gbur kieruje jaskrawe światło na panel z guzikami i wciska czerwony przycisk z wygrawerowanym dzwoneczkiem.

– I co, czemu nic się nie dzieje? – dopytuję z niepokojem.

– Pewnie nas łączy z jakąś infolinią czy czymś takim. Ma pani w swoim telefonie latarkę?

– A ja nie wiem, nigdy mi potrzebna nie była.

Przecież jak w domu korki wywali, to korzystam z klasycznej latarki, takiej na baterie. Moja mamusia mówiła na taką „bateryjka”, ale już moje pokolenie przeszło na „latarkę”. Zawsze ją trzymam w szufladzie w kuchni obok zapasu, wiadomo, baterii.

– No to niech pani sprawdzi, na litość boską! – denerwuje się Taryfowy Gbur.

– A co pan! Grzeczniej do mnie, bo zara poleję wodą z czajnika za taki ton! – odpowiadam i jednocześnie szukam po omacku komórki w torebce. – Jużeś pan popis swoich manier dał, kolejny raz nie muszę tego znosić.

W końcu wyciągam telefon i odblokowuję ekran, a jasne światło momentalnie razi mnie w oczy. Niby dopiero chwilę stoimy w ciemnościach, ale już wzrok zdążył się odzwyczaić od takiego blasku, zwłaszcza że jasność wyświetlacza mam zawsze ustawioną na najwyższym poziomie. No co? Trochę lat mam, to oczy już nie takie idealne. Starość nie radość.

– Nie wiem, gdzie to się włącza. – Klikam we wszystko, co się da, i czuję na sobie oddech Taryfowego Gbura. Do świeżych to on nie należy.

– Oj, daj pani. – Gbur bezceremonialnie wyrywa mi komórkę z dłoni i po chwili z tylnej części urządzenia, niczym płonący krzew Bożej obecności, bije jasne światło. – No, teraz, całe szczęście, lepiej się widzimy.

– Niech pan mówi za siebie – prycham i zabieram mu telefon.

– Mam nadzieję, że ktoś się w końcu odezwie z tego głośniczka, a pani niech może popuka w drzwi, zawoła kogo.

– Pan tu jest mężczyzną, pan masz więcej siły – oburzam się. Jeszcze czego, ja tu o, schorowana kobita po operacji, ledwo mam siłę, żeby karafkę otworzyć, a ten mi każe walić w metal, jakbym jaką małpą była. Co ja? Rocky Balbina jakiś?

– Dobrze, to ja będę uderzał, a pani niech dalej wciska ten guzik.

W świetle komórek widzę, jak robi krok do drzwi i zaczyna w nie walić rękami. Nie spodziewałam się, że ma tyle siły, aż żem podskoczyła.

– A może ja zadzwonię na recepcję? – Wpadam na pomysł, po czym zaczynam grzebać w kontaktach.

Na szczęście mam zasięg, więc wybieram numer i po dwóch sygnałach słyszę w telefonie znajomy głos:

– Dzień dobry, sanatorium Bursztynek, przy telefonie Kasia. W czym mogę pomóc?

Miałam nadzieję, że po naszym ostatnim spotkaniu już nigdy nie będę jej musiała o nic prosić. Mamusia mnie nauczyła, że wypada się przedstawić do słuchawki, ale toć jakbym powiedziała: „Hej, pyskata smarkulo, to ja, ta od różnicy temperatur, utknęłam w windzie, zostaw tę hennę i wezwij pomoc”, toby pewnie jeszcze jakiego gazu łzawiącego do windy napuściła. Głupia nie jestem.

Odchrząkuję, po czym delikatnie zmieniam głos na wyższy, żeby mnie nie rozpoznała.

– Dzień dobry, proszę pani. Utknęliśmy w windzie, gdzieś między pierwszym a drugim piętrem, niechże nam pani pomoże! – Ostatnie słowa wykrzykuję, bo Taryfowy Gbur daje istny koncert, łomocząc w drzwi. Może chciałby zostać jakim

perkusjonistą. – Przestań pan teraz tak walić w ten złom! – drę się na niego. – Toć rozmawiam, życie nam ratuję, a pan się rzucasz jak wesz na grzebieniu!

Taryfowy Gbur opuszcza ręce i patrzy na mnie spod byka, ale uśmiecha się przy tym pod wąsem. No chyba że mu twarz wykręciło, ciężko zobaczyć w tym słabym światełku.

– Ile osób jest w windzie? – dopytuje Piegowata.

– Dwie: ja i…

– Tadek. Tadeusz Konieczny.

– I jakiś Tadeusz Konieczny – mówię obojętnie do słuchawki.

Konieczny? Co to za nazwisko? Konieczny to jest mi ratunek z tej puszki Pandory! On to się powinien nazywać Niekonieczny! Ale skądś kojarzę to nazwisko, nie mogę sobie tylko przypomnieć, gdzie je słyszałam.

– Proszę się nie martwić, kolega już wzywa technika.

– A ile to potrwa, coś wiadomo? – pyta Taryfowy Gbur, który niepokojąco zbliżył się do mojej komórki.

– Na razie trudno mi powiedzieć, ale proszę się nie martwić, dołożymy wszelkich starań, by jak najszybciej naprawić usterkę – uspokaja nas Piegowata. – Próbowali państwo wezwać pomoc przez czerwony przycisk alarmowy?

– Tak, ale nikt się nie odzywa – odpowiadam.

– A, czyli pewnie przycisk też nie działa, trzeba to będzie zgłosić.

– Albo na tej infolinii zajmują się jakimiś pierdołami – podsuwam.

Założę się, że pracują tam osoby pokroju Piegowatej. Niewychowane, bezczelne, pyskate młodziki, co to nie mają szacunku do pracy, a co dopiero do ludzi. Kiedyś człowiek podchodził do roboty porządnie, z zaangażowaniem, nie to co teraz. A jeszcze jak wybrzydzają! Temu za mało płacą, tamten ma za daleko, tamtej nie dali służbowego samochodu. Toć Gośka co chwilę tak psioczy, a przecież we wtorki dostaje w robocie owoce za darmo. Rozpieszczone te pokolenie, jak jakieś francuskie pudle.

– Zrobimy, co w naszej mocy, żeby jak najszybciej państwa wydostać – szczebiocze Piegowata. – Ja się teraz rozłączę, ponieważ muszę zająć się gośćmi w recepcji, ale w razie potrzeby proszę dzwonić na ten numer.

– Potrzebujemy tylko, żeby pani pogoniła tego artystę naprawiacza – mówię i się rozłączam. Chociaż mogłaby jeszcze pogonić tego Gbura, co mi kradnie tlen.

W tej samej chwili moja latarka gaśnie.

– Włącz mi to pan znowu – rozkazuję Taryfowemu Gburowi. Nie musi przecież ciągle tak nasłuchiwać, nietoperz jeden.

– A umie pani powiedzieć „proszę?”. Co pani taka nerwowa?

– Panie, a jak mam nie być nerwowa? Toć stoję zamknięta w tej puszce, i to w dodatku w pana towarzystwie. Założę się, że jak nas uwolnią, to pan pierwszy polecisz na korytarz, jak wtedy z tą taryfą było. Taki z pana dżentelmen jak z koziej dupy trąba.

Już zaczyna mnie męczyć to całe stanie. Co prawda pod kapliczką na majowych to mogę stać i stać, ale wtedy to wygodniejsze buty zabieram, a poza tym jak czas w świętości człowiek spędza, to się nie męczy. A co dopiero chodzenie! O, jak człowiek po mieście błądzi, to przychodzi do chałupy cały zmordowany, a jak na jaką pielgrzymkę się wybierze czy procesję Bożego Ciała, to od razu tak więcej energii, czyż nie?

– A pani dalej o to chodzi? – Taryfowy Gbur niczym czarodziej włącza ponownie latarkę w mojej komórce. – O to pani taka wściekła?

– A o to, o to – przyznaję, oburzona. – Co pana, wilki wychowały?

– Pani nie rozumie…

– Oj, doskonale rozumiem! Pan żeś zapomniał o jakichkolwiek manierach. Żeby tak damy nie wpuścić do samochodu, zwłaszcza żeśmy z koleżanką taszczyły walizy. Jak pan ślepy, to do okulisty zapraszam!

– Pani pozwoli, że wyjaśnię…

Wystarczająco mi podniósł ciśnienie, ale w sumie i tak nie mam co robić w tej puszce złomu. Żeby jeszcze światło normalne włączyli, tobym krzyżówki

porozwiązywała, bo mam gdzieś na dnie torebki jedno wydanie panoramicznych. Pewnie zanim nas stąd wyciągną, to minie jeszcze co najmniej kilkadziesiąt minut, zatem zgadzam się, niech mówi, niech się broni, rycerzyk od siedmiu boleści.

– Widzi pani, jak przyjechałem rano do Ciechocinka, to kupiłem na dworcu kanapkę, a w automacie, co to tam koło kibla stała…

– „Toalety” się mówi – przerywam krótko i dosadnie.

– W rzeczy samej, tak, toalety – poprawia się Taryfowy Gbur. – No i w tym automacie kawę czarną kupiłem, tania była jak na te dzisiejsze ceny rzeczy na mieście, wie pani. No i jak już sobie zjadłem ze smakiem, kawą popiłem, to mówię, dobra, pójdę na jakiś transport, żeby do tego Bursztynka dojechać. No i wtedy się zaczęło.

– Ale co? – dopytuję, bo ucichł jak mysz pod miotłą.

– Zaczęło mnie gonić.

O Boże, czy on właśnie będzie mi opowiadał o swoich perypetiach jelitowych? Niepotrzebnie zapytałam, mogłam nie drążyć tematu, bym jakoś te krzyżówki na czuja wpisywała po ciemku, toć przecież hasła się powtarzają często z numeru na numer.

– Co pan, żeś do toalety na dworcu nie mógł iść?

– No właśnie poszedłem, ale były nieczynne, awaria. Już się bałem, że będę musiał błądzić po mieście, ale zobaczyłem tę taksówkę, jakby z nieba mi spadła.

Milczę. Nie wiem, czy mam to jakoś skomentować, pogratulować, nakrzyczeć czy co. Ale w sumie ciekawi mnie jedna sprawa.

– A zdążył żeś pan? – pytam nieśmiało.

– Tak, dopłaciłem temu kierowcy, żeby jechał szybciej.

Beata nie uwierzy, jak jej opowiem, że utknęłam w windzie z dziadem, który mi się zwierzał, jak to o mało w gacie nie popuścił! Muszę koniecznie do niej zadzwonić, jak nas uwolnią.

– Moja rada od kobiety. Nie opowiadaj pan podczas pierwszej rozmowy z damą o swoich, ekhm… – szukam znośnych i niewulgarnych słów – fekalnych

przygodach.

– Sama pani zapytała.

– To pan wywarł na mnie presję ciekawości, ale mniejsza. Dzwonił pan do żony opowiedzieć, jak się panu zaczął pobyt? Mogła panu spakować do walizki jakiś Srarulan – chichoczę mimo woli.

– Oj nie, nie miałem jak. Moja żona nie żyje.

Uśmiech momentalnie znika mi z twarzy.

Już za pierwszym razem, kiedy Taryfowy Gbur włączył latarki w naszych komórkach, zobaczyłam, że światło odbija się delikatnie od jego obrączki. Myślałam, że pewnie ma żonę, która po wysłaniu dziada do sanatorium delektuje się chwilą spokoju. Pieli w ogródku, opala się, czyta książkę. Wiadomo, po latach małżeństwa ludzie znają się jak łyse konie i skraca się dystans między nimi, więc ten to dopiero musi być niezłym wrzodem dla żony. Znaczy był. Co to za zachowanie w ogóle, kto to widział, żeby taki dziad się prowadził jak małpa w zoo.

No, ale trochę mi głupio, żem się tak rozpędziła. Sama noszę obrączkę na pamiątkę, ciekawe, czy Taryfowy Gbur w ogóle ją zauważył.

– Pan wybaczy, nie wiedziałam – przerywam milczenie.

– Nic nie szkodzi.

– Wie pan, zauważyłam wcześniej obrączkę i…

– Tak, tak, wiem. Widzi pani, noszę ją na pamiątkę i przynajmniej kobiety tak nie lgną. – Taryfowy Gbur wybucha śmiechem. – Przecież tyle się ich kręci wokół mnie.

– No na pewno – prycham, ale też zaczynam się śmiać. – Może dlatego takiś pan chamski, co? To nie obrączka, tylko pana zachowanie działa odpychająco.

– Niektórzy mężczyźni ściągają obrączkę, jak tylko z domu wyjdą, ale ja nie z tych – zapewnia. – Nawet w zeszłym roku mi się trochę przytyło, a jak palce spuchną, to aż krew nie dopływa, i wie pani, co zrobiłem?

– A toć pan nie wie, że masłem trzeba? Jak taka obrączka czy inny pierścionek nie schodzi, to trzeba wysmarować palca masłem, bo on to jak jaki krem czy inny

smar zadziała i łatwiej ześlizgnąć taki metal, zamiast go siłą ściągać. A jeszcze by skórę z palca przy tym zerwało, brr… a idźta! Obrzydliwe.

– A na to nie wpadłem. Widzi pani, bez żony człowiek jak we mgle…

– No więc co pan zrobił? – ponaglam.

– Poszedłem do jubilera i mi poszerzył, żebym mógł komfortowo nosić.

– O proszę, to miło z pana strony. Nie spodziewałabym się.

Ciekawe, czy jego żona została pochowana z obrączką, bo ja to Staśkowi ściągnęłam. Wiadomo, nie należy chować zmarłego w obrączce ślubnej. Taki przesąd, ale święty! O, albo na przykład grzebień, co się nim nieboszczyka czesało, należy spalić, żeby nie pozostał jad pogrzebowy. Żem pomagała w domu pogrzebowym przy ciele Staśka, to potem ten grzebień zabrałam, jak nikt nie patrzył, i spaliłam go w ognisku na działce.

Może Taryfowy Gbur zostawił obrączkę po żonie i trzyma ją w jakiejś filiżance za szybką, tak jak ja. U mnie w gablotce stoi obok moja i Staśka wspólna fotografia, a także zdjęcie, co miał do dowodu sprzed lat. W portmonetce noszę takie samo, i obrazek z modlitwą, co to zawsze rozdają na cmentarzach albo stypach na pamiątkę. Jako żona dostałam ich całą talię od zakładu pogrzebowego i potem dawałam wszystkim naokoło, a jak kogo nie było, bo za daleko miał, żeby przyjechać, to pocztą słałam. Niech się modlą za niego wszędzie, leniwe dewoty z krańca Polski.

W tym momencie nagle zapala się światło i jednocześnie z Taryfowym Gburem mrużymy oczy, jakbyśmy jakiś blask pioruna zobaczyli. Nim wzrok przyzwyczai mi się do jasności, dalej wspominam Staśka. Tak żem o nim mocno przed chwilą myślała, że chyba mi pomógł. Albo mnie chciał oślepić za karę, za te domysły o Gburze i jego żonie. Zawsze mnie hamował, jak się z obgadywaniem zapędzałam.

– No, w końcu! – odzywa się Gbur. – Proszę mi dać komórkę, to wyłączę latarkę, żeby baterii nie ciągnęło.

Posłusznie podaję mu telefon.

Tymczasem z zewnątrz dobiegają jakieś stłumione dźwięki, ktoś coś mówi, ale nijak nie idzie go zrozumieć. Taryfowy Gbur kilkakrotnie każe mu powtórzyć, drze się przy tym, że aż mi bębenki w uszach dzwonią, a winda ciągle się nie otwiera.

– Zadzwonię znowu na recepcję – mówię – niech no powiedzą, co się dzieje.

Wybieram numer i po kilku sygnałach słyszę Piegowatą.

– Dzień dobry, sanatorium Bursztynek…

– To my, z tej windy. – Wyświadczam jej przysługę i nie musi po raz setny dzisiaj wypowiadać tej samej formułki. Jednak mam serce. – Światła się włączyły, ale dalej nie możemy wyjść, jest ten naprawiacz?

– Tak, jest w trakcie pracy, jeśli pojawiło się światło, to dobry znak.

– Bo tam coś mówią do nas z korytarza, ale nie idzie zrozumieć. Może pani podejdzie tu pod windę i da kogoś do słuchawki? – podsuwam.

– Przykro mi, niestety nie mogę opuścić stanowiska, bo jestem obecnie sama, ale zaraz wyślę kogoś, żeby się dowiedział, o co chodzi, i oddzwonię do pani z informacją.

– Proszę się pospieszyć – mówię oschle i się rozłączam.

– A pani?

– Co ja?

Taryfowy Gbur wskazuje na moją lewą dłoń, a konkretnie na palec z obrączką. Kolejny zwyczaj, że jak małżonek umrze, to należy przełożyć obrączkę na drugą rękę.

Zanim zdążam odpowiedzieć, winda rusza niespodziewanie w dół, a ja piszczę jak dziecko. Jak nic rozbijemy się gdzieś w czeluściach szybu, na dnie piwnicy! Całe życie staje mi przed oczami, ale niepotrzebnie, bo ruch może i jest niespodziewany, ale powolny. Po prostu żem się już nastała w tej puszce Pandory, to się odzwyczaiłam od jej poruszania się.

Puszka zatrzymuje się ponownie, na szczęście tym razem na wysokości pierwszego piętra. Rozbrzmiewa charakterystyczny dźwięk i w końcu drzwi się

otwierają, a za nimi stoi kilku ciekawskich sanatoriuszy i najprawdopodobniej ten naprawiacz.

– Panie przodem. – Taryfowy Gbur wykonuje gest i wygląda przy tym jak policjant na skrzyżowaniu sterujący ruchem.

Nie ukrywam, zaskoczył, a nawet zszokował mnie swoim zachowaniem, cóż za postawa. Ciekawe, czy zrobił to na pokaz przed tymi wszystkimi ludźmi, bo może wewnętrznie panikował. A jednak zamknięcie w niewielkiej przestrzeni i posłuchanie rad kulturalnej osoby coś mu tam w tej pustej łepetynie poprzestawiało.

– Dziękuję. – Wychodzę na korytarz i z ulgą zaciągam się powietrzem. Mało brakowało, a zemdlałabym od tego windowego zaduchu. Co prawda teraz czuję tanie perfumy gapiów, ale to i tak zbawienie dla mojego nosa.

Kilka osób zaczyna klaskać, a ja w tłumie wypatruję Ropuchę. Też klaszcze, ale jakoś koślawo, przypomina mi przy tym fokę, tylko jej piłkę dorzucić.

– No, to koniec przygody. Dziękuję pani – słyszę za plecami głos Taryfowego Gbura.

– Za co? – pytam, zdziwiona.

– Za towarzystwo, no i że mnie pani nie zabiła w tej windzie.

– Pff… Co pan myślisz, że bym chciała pójść siedzieć za jakiego chama? – Krzyżuję ręce na piersi. – No niekoniecznie.

– Raczej koniecznie. – Uśmiecha się pod wąsem. – Pamięta pani? Ja Konieczny jestem. Tadek.

Znów to robi, znów sobie Taryfowy Gbur pogrywa. O nie, nie, nie. Nie dam mu tej satysfakcji.

– Koniecznie to musisz pan zejść do kiosku na parter, na wszelki wypadek.

– Ale po co?

Palcem wskazującym przywołuję go do siebie, a kiedy jest wystarczająco blisko, szepczę mu do ucha:

– Jak to po co? Po pieluchy.

Zadowolona, odwracam się w kierunku schodów i idę na drugie piętro. Ale mu powiedziałam!

BOŻE, BEATA!

GŁODUJĘ PRZEZ SEN!

– Boooże, Beata, no dej spokój, ale historia, co nie? – kończę mówić do telefonu i aż biorę głęboki oddech, bo żem się zmęczyła.

Kiedy wróciłam do pokoju, musiałam zadzwonić do Beaty, żeby jej opowiedzieć o tym dramatycznym utknięciu w windzie.

– No i że jeszcze na tego faceta trafiłaś, to już jest pech. – Beata w końcu dochodzi do głosu, bo podczas rozmowy nie miała kiedy się wtrącić, tak żem się rozgadała.

Toć musiałam ze szczegółami opowiedzieć, co się stało, a wolałam zadzwonić od razu, bobym o czymś zapomniała i co by to było?

To jak ze snami. Człowiek wstaje z rańca, to pamięta, co się przed chwilą w czerepie wyświetlało, chociaż czasami mam tak, że dopiero na wieczór, jak się do łóżka położę, wszystko mi się przypomina. Nie wiem, może głowa, a może nawet całe ciało, ma jakiś dar albo inny instynkt pamięci pozycji i sobie myśli: „O, tak samo żeś leżała w nocy, to ci przypomnę, co ci się śniło”. Trzeba by zapytać jakiego Einsteina czy Magellana.

– No pech, pech – przyznaję. – Muszę zadzwonić do Gośki i ją ochrzanić, co mi za niesprawny ośrodek wybrała, ale pewnie już gdzieś siedzi za granicą i dupę grzeję, a ja za połączenia międzykrajowe dopłacać nie mam zamiaru.

– A byłaś już na tych reinkarnacjach?

– Boże, Beata! Re-ha-bi-li-ta-cjach! – sylabizuję, do rytmu uderzając dłonią w udo. – Reinkarnacje to mają te, no, Indiańce chyba.

– No, no, o to mi chodziło.

Opowiadam jej w skrócie o wizycie u doktora i uświadamiam sobie, że moim następnym punktem w grafiku jest obiad. Nareszcie! Ciekawe, co dzisiaj podadzą.

Marzą mi się goloneczka, jakieś ziemniaczki, o, może kopytka. Tak, kopytka to bym zjadła. Ciekawe też, czy na stołówce zobaczę stado żab imienia Świętej Elwiry. Zastanawiam się, jak sobie dawkują ten cały Dietostop. Trzeba będzie wypytać towarzystwo.

– Dobra, kończę, Beata, zadzwonię jutro jakoś. Dbaj tam o chałupę. I pamiętaj telewizor od gniazdka odłączyć na noc, żeby prądu nie żarło. I paprotkę podlej. Pa, no, no, pa, pa, no, no, no pa! – Rozłączam się i podpinam telefon do ładowania, bo dostrzegłam mały czerwony piorunek na ekranie. Rzeczywiście, ta włączona latarka zżarła mi dużo tej baterii, Taryfowy Gbur miał rację. Kto by pomyślał.

BOŻE, BEATA!

ROPUCHA, KTÓRA POŁKNĘŁA HACZYK

Za piętnaście trzynasta jestem już przed stołówką, a chwilę po mnie pojawiają się Miotła i Parówka. Czyli jednak mają olej w głowie, żeby coś zjeść.

– No cześć, cześć, kochane – witam się.

– O, jesteś! I jak? Działa? – pyta Parówka, która niepokojąco mocno szczerzy się do Miotły.

– Ale co działa?

– No – nachyla się do mnie – Dietostop Plus, a co niby?

– A, to. Wiecie, jeszcze nie zaczęłam go brać – odpowiadam.

Żabie towarzyszki spoglądają po sobie z szeroko otwartymi oczami. Zaraz im te gały z oczodołów wyskoczą.

– Jak to?! Dlaczego? – dziwi się Miotła, która dalej nie zainwestowała w grzebień ani w szczotkę.

– A, nie miałam głowy do tego, czasu też nie, utknęłam w windzie, takie tam.

– Słyszałyśmy, Czesia nam opowiadała. Ja bym chyba na zawał zeszła ze strachu, jeszcze w takim małym pomieszczeniu – wzdycha Parówka.

Małe pomieszczenie, akurat. Dam głowę, że jakby szukali chętnych do zamknięcia w lodówce, to pierwsza by była. O, albo jakby taka winda miała w środku bufet, toby i cały dzień w niej przesiedziała, co do ostatniej parówki, jak w *Misiu* było:

– Przepraszam pana, za czym ta kolejka?

– Do ostatniej paróweczki, proszę panią.

– Eee, to już dla mnie nie starczy.

Dziwię się, że jeszcze nie zaczęły mi zachwalać jedna przez drugą tego leku, chyba czekają, aż sama zapytam.

– No a jak u was? – zagaduję. – Są efekty?

– O tak, kochana! – Parówka zaraz eksploduje z ekscytacji. – Nie zeszłam na śniadanie, bo w ogóle nie chciało mi się jeść. Wczoraj na wieczór wzięłam dwie tabletki i dzisiaj z rana też dwie. W sumie nie czuję głodu, ale już prawie trzynasta, toby się przydało coś wrzucić na ruszt.

Jak ona bez jedzenia tyle godzin wytrzymała? Mnie już rano skręcało pod stołówką, a ta małpa pewnie spała w najlepsze.

– No a rehabilitacje, zabiegi? – pytam. – Jak żeś wytrzymała o pustym żołądku? Toć pewnie siły nie miałaś – dodaję z ubolewaniem.

– A właśnie bez problemu, kochana, bez problemu. Raz mnie tylko zaczęło ssać w środku, to się wody napiłam i przeszło.

Jak żyję, nie zastąpiłam jedzenia wodą. Wiadomo, są zupy w dużej mierze oparte na wodzie, ale no przecież jak człowieka głód dopada, to nie ma co się wydurniać. Nawet kompotu lepiej z owocami się napić, bo truskawki, jabłka czy wiśnie to zawsze jakiś pokarm, da się pogryźć, a nie sama ciecz.

– No więc jestem dumna – kontynuuje Parówka – że się tak trzymam i pilnuję.

– Toć przecież to bierzesz od niecałego dnia, się tak nie podniecaj, zobaczymy, co za miesiąc będzie. Zresztą kto wie, może za kilka dni odłożysz te tabletki, bo nie wytrzymasz?

– Wytrzymam, wytrzymam – odpowiada szybko. – Po prostu mi zazdrościsz, że jestem na dobrej drodze do pięknej figury.

To ty mi zazdrościsz, małpo jedna, myślę. Zjadłam śniadanie jak jaka królowa, zaraz zjem obiad, a ty o samej wodzie, jak kuń.

– A jak u ciebie? – zwracam się do Miotły. – Jużeś schudła przez te kilka godzin?

– Oj, no aż tak szybko to chyba nie działa. Chociaż w sumie Elwira… O, o wilku mowa! – Miotła zauważa przywódczynię wczorajszego zgromadzenia i wskazuje palcem w jej kierunku.

Chyba nikt jej nie nauczył, że takie wytykanie palcami jest niegrzeczne. Byliby świetną parą z Taryfowym Gburem.

– Witam moje piękne panie! – Ruda przeciska się do nas i po chwili stoimy w czwórkę niczym ewangeliści. – I jak tam?

– Słuchaj, Elwirko, ten twój Dieto…

– Ciiii… Nie tu! – Ruda przerywa Parówce. – O tym pogadamy sobie na spokojnie przy stole, najlepiej gdzieś na uboczu.

– A to czemu? – pytam.

– Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, nie każdy zasługuje na taką szansę, przecież wybrałam was nie bez powodu, prawda? – Ruda poklepuje Miotłę po ramieniu jak jakiegoś pieska.

Wchodzimy do stołówki i zaczynamy napełniać talerze. Z wiadomych przyczyn najdłużej jem ja, tamte nałożyły sobie mikroporcje. Toć Kubuś w przedszkolu jadł więcej! Niepotrzebnie wykupywały wyżywienie, mogły się żywić sianem i wodą z fontanny.

Miotła i Parówka nie mogą się nachwalić tego Dietostopu. Zachowują się jak brzydkie siostry Kopciuszka, co to się chwalą matce, jakie piękne sukienki sobie kupiły. Nie podniecajcie się tak, bo majtek nie dopierzecie, myślę sobie.

Kiedy przyznaję się, że nie łykam tego cuda, Ruda wydaje się oburzona.

– Jak to nie chcesz schudnąć? To po co ja się tak starałam dla ciebie, dla was? Tak żeśmy się fajnie zakumplowały w pociągu. Chcę dla ciebie jak najlepiej – mówi i kładzie swoją spoconą dłoń na mojej.

Ciągle trzymam widelec, bo próbuję dokończyć sznycla, a tej się zebrało na uczucia. A poza tym jakie „najlepiej”? Znamy się za krótko, by wiedziała, co jest

dla mnie najlepsze. Toć ile z Beatą się znam, a z Teresą, o! One się tak mogą wypowiadać, chociaż z nimi to też bywa różnie.

Taka Teresa to się na przykład nie nauczy, z ilu kopiastych łyżeczek kawę lubię, czy mleka dolewam, czy słodzę. Człowiek od kilkudziesięciu lat taką samą pije, a ta się pyta. Powinna sobie zrobić rozpiskę drzewa genealogicznego z rodzajami kawy zamiast zdjęć. Powiesiłaby sobie koło planu lekcji Kubusia i byłoby jak znalazł. Bo ja to pamiętam, że na przykład Beata pije akurat z dwóch… a nie, z trzech. Dobra, nieważne!

– Spokojnie, zacznę je brać w swoim czasie, jeszcze żem się nie zdążyła w tym sanatorium zaaklimatyzować, a poza tym wiecie, co mam teraz w głowie?

– Tego faceta z windy? – Miotła porusza swoimi niewyregulowanymi brwiami i wygląda przy tym, jakby miała na czole jakieś latające gąsienice.

– Jakiego faceta? – Ruda aż podskakuje i ponownie łapie mnie za dłoń z zamkniętym w niej widelcem. Jeszcze raz tak zrobi, to ją dziabnę.

– Utknęłam w windzie, nie słyszałaś?

– Nie, nie było mnie wtedy w budynku.

Dziwne. Czyżby się migała od rehabilitacji?

– No więc utknęłam, i to w towarzystwie tego gbura od taryfy – wyjaśniam.

– Tego z dworca?! Współczuję, mam nadzieję, że to jakoś przeżyłaś.

– Jak widać – prycham. – Ale nie o tym myślałam. Jutro jest piątek, a co to znaczy?

Zaczynam nucić w ramach podpowiedzi, tak pięknie, że aż się oglądają ludzie z sąsiednich stolików:

– „W moim śnie, cudownym śnie. Tylko kocham, kocham, kocham, bawię się...”

Żaby patrzą po sobie, jakby szukały odpowiedzi na pytanie, ile waży koń trojański.

– No przecież jutro jest dancing! – wyjaśniam, a głosy żabiej trójcy łączą się w jedno melodyjne „aaa!”. Brawo, załapały. Sherlockiem Holmesem to żadna nie

zostanie. – W co się ubierzecie? – dopytuję.

Toć przecież lepiej wiedzieć, na czym się stoi, nie mogę wyglądać gorzej od nich. Co prawda trudno wyglądać gorzej niż te chabety, ale wiadomo. Kreacja, makijaż, odpowiednie upięcie włosów i człowiek nie do poznania. A tym to by się przydała jakaś wróżka chrzestna, bo jak sobie przypominam tę intensywność makijażu wczorajszego wieczoru… Szczyt bezguścia.

– Może jakąś bluzeczkę na ramiączkach i rybaczki, żeby się nie zagrzać – odpowiada Parówka.

– Ja chyba też coś lżejszego, mam taką letnią sukienkę, taką skromniejszą, przecież to nie wesele – dorzuca Miotła.

Ta to by się mogła najpierw do jakiego fryzjera zapisać, bo nie daj Boże wezmą ją za prawdziwą miotłę i dopiero będzie pozamiatane.

– Eee, ja myślałam, że jakoś się wystroimy, ale dobrze, dobrze. Ja też nie będę szaleć – kłamię w trzy pary żywych oczu.

No bo co? Nie po to przywiozłam z Gdyni całe naręcze sukienek i garsonek. Te bardziej stonowane mam na nadzielę do kościoła, a te wzorzyste to przecież jak znalazł na parkiet.

Rozglądam się dookoła i próbuję sobie wyobrazić, jak tu będzie wyglądać jutro. Wątpię, żeby personelowi Bursztynka chciało się co piątek przystrajać salę. No i co z muzyką? Oby fajna orkiestra była albo chociaż wodzirej, co by to z jakiego monitora melodie ładne grał.

Prawą nogą wystukuję rytm i nucę w głowie: „Chałupy welcome to…”. Już mnie nosi!

– Te, tancerka. – Z zamyślenia wyrywa mnie głos Rudej. – Tyś tu dla zdrowotności chyba przyjechała, co nie?

– No a co, przecież ruch to zdrowie – odpowiadam. – Taniec to, wiesz, dla zdrowia dobry, to jak ze śpiewaniem w kościele, bo kto śpiewa, ten dwa razy się modli.

– A kto fałszuje, to nawet i trzy! – dopowiada Miotła.

W końcu udaje mi się dokończyć obiad, nie powiem, najadłam się obficie. To tak na wszelki wypadek, gdybym znowu miała utknąć w windzie, ale postaram się unikać tego metalowego ustrojstwa. Najwyżej, jak nie będę miała siły iść schodami, to może mnie jaki silny sanitariusz poniesie? No właśnie, skoro już jestem przy personelu – że też ośrodek żadnego podarunku przeprosinowego nie dał? Wstyd. Mogli chociaż jaki kuferek z czekoladkami ofiarować za te chwile grozy. Przecież co jak co, ale moja opinia się liczy i raczej nie chcieliby dopuścić do tego, żebym po powrocie do Gdyni rozesłała złe wici o Bursztynku i ich awariach. A jakbym nie wyszła z tej windy, to co?

Wystarczyłoby rzucić temat koleżankom z ryneczku, zakładu fryzjerskiego i kościoła i proszę bardzo, szach-mat! Całe Pomorze do końca życia unikałoby tego ośrodka, straciliby fortunę, nawet pewnie musieliby zrezygnować z nazwy, bo nie mają dostępu do morza w tym toruńskim. Zaraz, Ciechocinek leży w toruńskim czy może kieleckim? A może ciechocińskim? Nie pamiętam, nigdy nie byłam dobra z geografii. Kiedyś było prawie pięćdziesiąt tych województw i nikt nie płakał, a tak to o, zmian se zachcieli i mi się myli.

Rozchodzimy się każda w swoją stronę. Jestem pewna, że tamte zaraz wymkną się do spożywczego po coś do jedzenia. Na pewno aż pękały z głodu. Taka Wata Cukrowa czy Ropucha jak nic też żrą. Nagle dostrzegam wielką żółtą kulę zbliżającą się w moim kierunku.

– Oho, o wilku mowa – mówię pod nosem i jednocześnie obserwuję dziwny wyraz twarzy Ropuchy. Wydaje się bardzo niespokojna, a jej czoło i żółty sweterek są mokre od potu.

– Matko, weź no to zmień na jakąś cienką bluzkę, bo przecież się ugotujesz – doradzam życzliwie.

Pewnie ubrała się tak grubo, żeby szybciej spalić kalorie. Kiedyś w warzywniaku podsłuchałam rozmowę takich dwóch małolat, co to chude jak szczypiór były. Gadały o odchudzaniu, ćwiczeniach i innych takich. Jedna drugiej poleciła patent na szybsze pocenie się podczas aktywności: zanim wyjdziesz z domu, owiń sobie brzuch folią do żywności, najlepiej kilkukrotnie. I jak już jesteś

taka zawinięta jak mucha w sieci, to idziesz sobie pobiegać, a wtedy brzuchol przez ten gurunc poci się jak świnia w lipcu. Ja tam co prawda nie jestem do tego przekonana, bo pewnie się robią jakieś odparzeliny czy inne potówki. No i spaliłabym się ze wstydu, jakbym sobie po parku latała i nagle by mi się bluzka podciągnęła, a tam bebech jak baleron! Ludzie pokazywaliby mnie palcami, dejta spokój.

– Spotkałaś może Elwirę? Muszę ją znaleźć. – Ropucha ciężko dyszy.

– Właśnie żeśmy się widziały na obiedzie, raczej poszła do siebie – odpowiadam żółtemu baleronowi.

– Uff, dzięki. – Gdy opowiada, na twarzy ląduje mi kilka kropel jej śliny, które szybko przecieram ręką. I zanim zdanżam ją zapytać, na co jest jej potrzebna Ruda, ta odbiega jak dzika kuna. Nie obrażając kun oczywiście.

Bez chwili zastanowienia ruszam za nią, przynajmniej nietrudno ją zgubić. W tej kanarkowej żółci wygląda jak wielka zabawkowa betoniarka, którą kupiłam kiedyś Kubusiowi na urodziny.

Ropucha skręca gwałtownie w inny korytarz. Zachowuje się jak pies gończy, który wpadł na trop. Kiedy ona się tak nauczyła topografii tego sanatorium? Toć tu są miejscami takie labirynty, że dejta spokój.

– O, jesteś, Elwirko – słyszę jej donośny głos. Chyba zaraz wypluje płuca! Tak to jest, jak się nie dba o kondycję.

Staję jak najbliżej krawędzi ściany i nadstawiam uszu. Dobrze, że nikt się tu nie szwenda, boby mi zagłuszali te żaby.

– Czesiu, wszystko dobrze? – pyta Ruda z przejęciem.

– Tak, potrzebuję ich więcej. Więcej tabletek.

– Zużyłaś już całe opakowanie? – Ruda wydaje się zaskoczona.

Ja za to jestem przerażona! Całe pudełko leków? W jeden dzień? Przecież tabletki, nieważne na co, bierze się maks kilka na dobę, i to w odpowiednich odstępach czasu, jak na przykład antybiotyk. Co innego leki na odporność czy witaminy, choć z nimi też nie ma co szaleć.

– Tak, czuję, że już działają. Nie myślę o jedzeniu – odpowiada przejęta Ropucha. – Ale zaczynam znowu o nim marzyć, ostatnią tabletkę wzięłam ponad godzinę temu, muszę mieć więcej.

– Spokojnie, kochana. – Ruda mówi teraz ciszej i muszę wytężyć słuch. – Jestem z ciebie dumna, wielkie brawa!

Dumna? Z czego? Że przed chwilą ta żółta beczka prawie ducha wyzionęła?

– Mam dla ciebie kolejne opakowanie.

– Daj mi – żąda Ropucha i dalej rzęzi jak po jakim maratonie.

– Oczywiście, Czesiu, oczywiście. Pamiętasz cenę?

– Tak, jasne. – Słyszę dźwięk rozsuwanego zamka. – Masz wydać dziesięć złotych?

– Oj nie, nie mam przy sobie, ale przy okazji ci dam.

Mhm, albo odejmiesz od ceny kolejnego opakowania, przecież Ropucha to zeżre do kolacji.

– Dziękuję, kochana, ratujesz mi życie.

Kto by pomyślał, że Ropucha tak się wciągnie. Dziwi mnie też, że Ruda zareagowała z takim spokojem. Na jej miejscu nie dawałabym kolejnego opakowania ledwo oddychającej kobiecie. W końcu Miotła czy Parówka tak się nie zachowywały, może to zależy od tuszy? No i pewnie tamte nie wciągnęły takiej dawki co Ropucha, tylko wdrożyły jakąś systematyczność. Mam nadzieję! Kręcę głową i wycofuję się niepostrzeżenie, jak jakiś lis albo kuna z kurnika.

BOŻE, BEATA!

SĄ JESZCZE ZACNI MŁODZIEŃCY NA ŚWIECIE

Po akcji podsłuchiwania Rudej i Ropuchy decyduję się spędzić czas w zaciszu swojego pokoju. Co prawda dzwonię do Beaty, ale gadamy tylko przez chwilę. Chwalę się jej, że na szczęście dalej nikogo mi nie przydzielili, więc chociaż tu mam spokój.

Po krótkiej drzemce szykuję się na rehabilitację, tym razem nie ma zmiłuj. Żadnych badań czy pogawędek z Jarząbkiem, skupiamy się na rozruszaniu starych kości! No chyba że mi je wycięli podczas operacji i zastąpili jakimś złomem, może zostałam terminatorem.

Ubrana w ciemne getry i koszulkę z krótkim rękawkiem, zjeżdżam na dół i wchodzę do salki, a tam stoi młody, przystojny facet. Przedstawia się jako Dawid. Tego to Bozia obdarowała urodą, bo wygląda, jakby go dłutem w jakim marmurze rzeźbili. Przechodzimy do ćwiczeń. Zgina mnie, kręci, nakazuje podnosić ręce, schylać się, no tak mną telepie na tych zajęciach, aż mi błędnik wariuje! Ło pierunie, jaki on zaangażowany w tę robotę! Czemu całe jego pokolenie nie może być jak on? Pewnie jest w wieku tej Piegowatej z recepcji albo Kawalera Pępka z pociągu. No przepaść między nimi niesamowita, niebo a ziemia.

– Bardzo dziękuję, mój drogi. – Z torebki wyciągam krówkę i wciskam mu w dłoń. – Masz, tak na osłodę dnia.

– Ojej, ale mi miło! Moja babcia też tak robiła. – Chłopak się uśmiecha, aż mu się robią dołeczki w policzkach. – Z tego, co pamiętam, widzimy się dopiero

w poniedziałek, w weekend nie prowadzę rehabilitacji. Ale ma pani jeszcze dzisiaj masaż, proszę się nie spóźnić.

Otwiera mi drzwi jak prawdziwy dżentelmen, Taryfowy Gbur powinien przychodzić do niego na lekcje manier. Kiedyś Gośka oglądała taki program z Rozenkową, co to takie niewychowane dziewuchy się uczyły zasad rezer-wuar w jakimś pałacu. Mogliby zrobić taki program dla starszych dziadów kradnących taryfy na dworcach. O, to bym oglądała, Beacie by się pewnie też podobało. Żegnam się z Dawidem, życzę mu miłego weekendu i udaję się kilka drzwi dalej na ten cały masaż. Na korytarzu roi się od sanatoriuszy. Skołowane toto i pogubione jak koledzy Kubusia, którzy szu-
kają swojej klasy.

Nigdy nie zapomnę, jak Stasiek sprezentował nam na rocznicę masaż azjatycki. Pojechaliśmy do salonu w centrum miasta, a w środku czekały na nas dwa umieszczone koło siebie łóżka z otworami na twarz. Pachniało jaśminem, a dookoła były pozapalane dziesiątki świeczek. Przysięgam, nigdy nie byłam na takim masażu, więc bardzo się ekscytowałam, czułam się, jakbym się przeniosła do innej krainy. Kazano nam się rozebrać do rosołu i położyć. Masowały nas dwie panie z Azji, które nic nie mówiły, więc delektowaliśmy się ciszą. Masażystki wręcz zbawiennie miętosiły nasze ciała, jakby nam Jezusek gołymi nóżkami chodził, tak delikatnie, z wyczuciem, aż tu nagle słyszę trzask i huk! Podnoszę głowę i widzę, że Stasiek leży na podłodze, tuż obok przewróconego łóżka z ułamaną nogą. Od razu się podniósł, burknął, że nic mu się nie stało, po czym wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, kiedy koślawo starał się zakryć ręcznikiem. Dobrze, że mu się ta połamana noga od łóżka nigdzie nie wbiła, boby wyglądał jak Pinokio. W ramach przeprosin dostaliśmy kupon na następny masaż. Nie zdążyliśmy wykorzystać tego zaproszenia, termin realizacji minął.

Na kolacji nie spotykam żadnej ropuchy z kółka wzajemnej adoracji, pewnie się głodzą, bidulki. Zjadam kilka kanapek z wędliną, serem i pomidorem, a także dwie parówki na gorąco. Co będę sobie żałować!

Kiedy odnoszę naczynia do okienka, do stołówki wchodzi Taryfowy Gbur gadający przez telefon. Niech to szlag. Staram się przemknąć pod ścianą, niezauważona, ale nieskutecznie.

– O, dobry wieczór! – krzyczy do mnie przez pół sali.

A mogłam wziąć ten Dietostop, tobym tu nie przyszła i go uniknęła.

– Kończę, siostra, trzymaj się tam, pozdrawiam, pa – mówi do telefonu, po czym chowa go do kieszeni i rusza w moim kierunku.

– Już zjadłam – informuję krótko.

– A miałem nadzieję, że usiądzie pani ze mną przy stoliku, byśmy się napili herbaty. – Wzdycha.

– Herbaty? – Unoszę brwi. – A nie woli pan czarnej kawy z automatu?

– Pani chyba mi tego nigdy nie zapomni? – Taryfowy Gbur uśmiecha się pod wąsem i gładzi go palcami, podobnie jak robił Stasiek.

– Może zapomnę, może nie – droczę się. Niech to będzie moja karta przetargowa albo jakiś szantaż, żeby mi typ z oczu zniknął.

– Ma pani plany na wieczór?

Spoglądam na zegarek.

– Coś pan, przecież jest wpół do siódmej, to już wieczór.

– Dla mnie wieczór to jak ciemno się robi – tłumaczy.

– Aha, czyli o szesnastej w grudniu to już do spania się idzie, tak? Nieźle ma pan ten swój zegar biologiczny poprzestawiany – dogryzam mu. – Na dworcu widziałam reklamę zegarmistrza, może niech się pan wybierze. Zejdź mi pan z drogi.

– Co panią ugryzło? Proponuję tylko spacer po ogrodzie, już tak nie grzeje jak przedtem.

– Grzeje, nie grzeje, ja z panem nigdzie nie idę, chciałam iść do siebie, położyć się trzeba, sił nabrać przed… – Przerywam, bo prawie bym się wkopała na minę.

– Przed czym? – Gbur drapie się po głowie, jakby był jakim mózgowcem na pokaz, ale ja myślę, że to przez wszy. – Aaa, no tak! Jutro piątek, czyli, rozumiem,

pani też się wybiera na dancing?

No i wpadłam. Miałam nadzieję, że jakimś cudem nie wiedział o piątkowych potańcówkach albo chociaż jest z tych nietańczących.

– Teraz to już sama nie wiem, czy iść, czy nie.

Już sobie wyobrażam, jak Taryfowy Gbur, cały spocony, podchodzi do mnie w kółeczku i próbuje wyrwać na środek parkietu do piosenki Krzysztofa Krawczyka. Ten wąs to jak znalazł do wykonawcy, ale co to, to nie, ja za nim na bal szła nie będę.

– Niech pani nie żartuje.

– Nie żartuję – odpowiadam krótko. – Proszę sobie jutro nie robić nadziei i nie czekać na mnie. Miłej zabawy.

Z boku słyszę zdawkowe oklaski jakiejś kobiety, pewnie podsłuchała naszą rozmowę i chciała mi pogratulować asertywności. Co jak co, ja sobie na głowę wejść nie dam, ale toć oczywiście, że przyjdę. Nie przegapię pierwszego dancingu.

W pokoju otwieram szafę i zaczynam przeglądać starannie rozwieszone sukienki i garsonki. Mimo to wciąż gryzą mnie wątpliwości. Może powinnam ubrać się jednak w coś zwykłego, prostego, żeby Taryfowy Gbur nie zwrócił na mnie uwagi. Pewnie z niego taki kobieciarz, że jak zobaczy u którejś spódnicę nad kolano, to poleci na to jak pies na mielonkę. Na dancingu będzie miał prawdziwą rewię mody. Wszystkie babki wystroją się jak stróż w Boże Ciało, a ja będę taka o, zwykła. Jak nigdy.

O tak, to dobry pomysł. Jak zobaczy wystrojone sanatoriuszki, to da mi spokój. Może któraś z żab Rudej, chociaż wątpię, oczaruje go na tyle, że będę mogła się swobodnie bawić. Najwyżej wystroję się za tydzień w piątek, jak ten dziad już się odczepi. Trochę szkoda, ale toć jeszcze kilka dancingów tu zaliczę, zanim wrócę do domu.

Ciekawe, czy jakbym nie przerwała rozmowy i sobie nie poszła, to spytałby, czy chciałabym mu towarzyszyć. Jak on by tak mógł? Jego żona się pewnie w grobie przewraca.

Krzątam się jeszcze trochę, odmawiam pacierz i zasypiam, a we śnie tańczę ze Staśkiem na naszym weselu lata temu, Anna Jantar śpiewa *Przetańczyć z tobą chcę całą noc*. Nagle odbija mnie Taryfowy Gbur. Próbuję się wyrwać z jego objęć, ale jego twarz zmienia się w twarz Staśka, po czym z powrotem staje się twarzą Gbura.

Budzę się zlana potem. Co z nim nie tak, że człowieka w snach nawiedza, babiarz jeden?

BOŻE, BEATA!

GOŁE I WESOŁE

W nocy budziłam się kilka razy, wierciłam się jak kornik w starym konfesjonale i w dodatku duszno mi było. Chyba pierwszy raz cieszyłam się, że kołdry tutaj nie grzeszą grubością, bo jakbym miała spać pod taką puchatą pierzyną, co to mamusia miała… a idźta! Bym pod przykryciem chyba z dziesięć kilo wypociła, szybciej osiągnęłabym cel niż Ruda. Oczywiście nie otworzyłam sobie okna, bo jeszcze by jakie komary naleciały i bym musiała polować z kapciem. Wietrzyć trzeba przed snem, wtedy jak coś wleci, to łatwiej się pozbyć, niż żeby ci koło ucha podczas śniącego się wesela z ukochanym mężem coś bzyczało. Szkoda snów.

Śniadanie, tak jak wczoraj, zjadam w towarzystwie Waty Cukrowej, która ponownie siada do stolika z prawie pustym talerzem. Przynajmniej zachowuje się i wygląda w miarę normalnie, nie to co Ropucha. Ciekawe, czy goniła już dzisiaj Rudą po nowe opakowanie.

– Powiem ci, że się dzisiaj po przebudzeniu zważyłam na tej wadze, co w holu stoi. – Wata Cukrowa ekscytuje się jak małe dziecko. – Kilo czterysta w dół, wyobrażasz to sobie?

– O proszę, a zostały ci jeszcze jakieś tabletki? – pytam.

– Tak, oczywiście, dawkuję jak trzeba. Czemu pytasz?

Opowiadam jej o podsłuchanej rozmowie Ropuchy z Rudą.

– Naprawdę? – Wata Cukrowa robi oczy jak pięć złotych.

– Tak. Dziwne, prawda?

– Ano wiesz, kochana, jak się człowiek tak napala na sukces, to może i ześwirować, ale skoro Elwirka mówi, że to bezpieczne, to co się może stać? Przecież wie, co robi – zapewnia mnie i uśmiecha się przesadnie.

Oj, nie byłabym taka pewna, myślę sobie. Nawet jeśli ten lek można dawkować częściej, to czy przynosi lepsze efekty? A poza tym nawet nie o efekt tu chodzi, przecież Ropucha zachowywała się jak jakaś nawiedzona, pragnęła tego Dietostopu bardziej niż ja michaszków w Wielkim Poście. A to właśnie wtedy najbardziej chce mi się słodkiego i pewnie mam podobny obłęd w oczach, gdy przechodzę obok barku.

Po śniadaniu idę na zabieg, a pani masażystka ponownie raczy mnie swoim ciężkim dotykiem. Kiedy jestem już wymasowana za wszystkie czasy, wychodzę do ogrodu, żeby zadzwonić do Beaty. Na niebie pojawiło się sporo chmur, trochę też wieje, ale wiaterek jest lekki, przyjemny, więc da się wytrzymać. Siadam na ławce w cieniu wysokiego, starannie przystrzyżonego krzewu.

– Myślałam o tej Rudej – mówi Beata na powitanie. – Rude to zawsze fałszywe, zobaczysz.

– Ty już, Beata, nie bądź taka do przodu. Sama żeś się kiedyś na rudo przefarbowała i byłaś fałszywa jak zawsze. A teraz słuchaj.

Opowiadam jej szczegółowo o spotkaniu z Taryfowym Gburem na stołówce.

– Jak on jest wdowiec, to mu już nie zależy i teraz szaleć się zachciewa – kończę. – Pewnie uznał, że w sanatorium wybawi się jak dziki. Amorów mu się zachciało.

– No ale nie psuj sobie wieczoru i idź na te tańce, przydałaby ci się jakaś zabawa, bo od jakiegoś czasu jesteś taka…

– Jaka?! – podnoszę głos.

– Spięta – kończy cicho.

– Ja spięta?! Co ty gadasz, Beata, jestem luźna jak twoje rajtuzy – odszczekuję się. – Poza tym to ja miałam operację, a nie ty, więc mi tu o spiętościach nie gadaj.

A jeśli chodzi o wieczór, to coś ty, oczywiście, że pójdę! Nie przegapię dancingu z powodu tego dziada.

– Może nie przyjdzie – mówi.

– Kto nie przyjdzie? On? Oj, przestań, Beata, toć mówię, że on babiarz kobieciarz, będzie miał na parkiecie jak pączek w ulęgałkach. Zleci się jak ćma do lampy, ale ja nie będę tym razem świecić.

Robię pauzę, dumna ze swojej metafory. Byłaby ze mnie niezła poetka.

– No dobrze, jak sobie chcesz. Kończę, bo się woda gotuje.

– Tylko gaz porządnie zakręć! Pa, no, no, pa.

BOŻE, BEATA!

TAJEMNICZY MIREK WYPŁYWA NA JAW

Przypomina mi się zalecenie doktora Jarząbka, więc podnoszę tyłek i spaceruję po ogrodzie, krótko, ale dobre i to. Pamiętam, jak przed laty spacerowaliśmy brzegiem morza ze Staśkiem. Mogliśmy tak iść kilometr, albo i dwa. Ach, młodość!

– O, tu jesteś! – Z refleksji wyrywa mnie głos Rudej.

– Cześć, Elwirko – witam się ze sztucznym uśmiechem.

– Już po ćwiczeniach? Ja przed chwilą skończyłam zabiegi, przejdziesz się jeszcze ze mną?

Próbuję się wymigać:

– Wiesz co, chciałam wrócić do pok…

– Oj, chodź! – Ruda nagle łapie mnie pod ramię i ciągnie w kierunku granicy ogrodu, a ja jej ulegam. – Powiedz no, jak tam twoje odchudzanie, są efekty?

– I to jakie – kłamię, bo nie chce mi się słuchać jej kolejnego wywodu, jak to tracę wspaniałą szansę. – Ale wzięłam na razie tylko jedną, żeby nie przesadzić.

Ruda podnosi brwi, a następnie je marszczy, jakby coś podejrzewała, ale ostatecznie się uśmiecha.

– Cieszę się bardzo. Widzisz, niedługo twoje boczki znikną. – Szczypie mnie lekko w oponkę. Jak jeszcze raz sobie na to pozwoli, to tak ją szczypnę, że zapiszczy jak gumowa zabawka dla psa.

– A jak tam nasze drogie koleżanki ze spotkania sobie radzą? – podpytuję z nadzieją, że powie coś o Ropusze.

Matko, jak ja nie cierpię słów typu „ropucha”, „blacha”, „mucha”. Toć one się tak dziwnie odmieniają, zawsze się zastanawiam, czy mam powiedzieć „ropuszce”, bo to dla mnie bardziej naturalne. Mogłam jej jakieś inne przezwisko nadać, ale już się nie przestawię, przepadło.

– Bardzo dobrze, już widać efekty, przede wszystkim nie jedzą na potęgę, zmniejszył im się apetyt, a to dobrze rokuje – odpowiada, ale mnie to nie wystarczy.

– Rop… Czesia też? – pytam niby niezobowiązująco.

Na twarzy Rudej nie pojawia się nawet cień zmiany. Czyli Beata miała rację, rude to fałszywe.

Teraz zauważam, że z tym kolorem włosów mogłaby być jakąś królową kier. Wyobrażam sobie, że każe mi przemalować róże dookoła na czerwono.

– Och, wszystko dobrze! Radzi sobie świetnie, jest bardzo wytrwała w postanowieniach.

– Zamierzałam ją znaleźć, bo wiesz, jest największa z nas,
więc ma najtrudniej, nie chciałam, żeby była sama – przymilam się. – Niestety nigdzie jej nie spotkałam, nie rzuciła mi się w oczy.

Chcę dodać, że z tą figurą nietrudno ją zauważyć, ale daruję sobie, jeszcze Ruda pomyśli, że jestem jakaś wredna.

– O, kochana jesteś! Nie przejmuj się, w razie czego Czesia wie, że może na mnie liczyć, a poza tym…

Wypowiedź zostaje przerwana przez dźwięk jej komórki. Ruda wyciąga telefon, patrzy zakłopotana na ekran i momentalnie odrzuca połączenie. Mimo to udało mi się zauważyć nazwę dzwoniącego. „Mirek TowarCiech”. A to ciekawe!

– Nie odbierasz? – pytam, zatroskana.

– A, to nieważne, potem oddzwonię. Widzimy się dzisiaj wieczorem? – Ruda szybko zmienia temat, co trochę mnie dziwi, bo jeszcze wczoraj zarzucała mi, że nie powinnam się skupiać na tańcach, tylko na zdrowiu.

– Oczywiście, mam nadzieję, że wszystkie będziemy się dobrze bawić. Oby wodzirej wybrał jakie ładne kawałki.

Gawędzimy sobie miło jeszcze przez jakiś czas o przepisach kulinarnych, roślinach, ubraniach i polityce.

Wypogadza się, a słońce ponownie zaczyna grzać, więc decydujemy się wrócić do ośrodka. Korzystamy z wejścia do stołówki, bo nie zamierzam znowu spotkać się z klimatyzatorem, a – co gorsza – z tą całą Pyskatą-Piegowatą.

– Będziesz na obiedzie? – dopytuję. Nawet chętnie zjadłabym w jej towarzystwie, może wygadałaby coś o tym tajemniczym Mirku.

– Nie no, coś ty, jadłam śniadanie i nie potrzebuję więcej. – Przybliża się do mnie. – Ty też nie potrzebujesz, wystarczy, że weźmiesz kolejną tabletkę.

Gdybyśmy nadal były w ogrodzie, to czułabym się jak Ewa, którą wąż wodzi na pokuszenie. Diablica jedna. Co jej do tego, czy wezmę te tabletki, czy nie.

– Zobaczę, bo te stołówkowe zapachy kuszą, dzisiaj piątek, to i rybka. Ale tylko skubnę, żeby się przed tańcami nie przejeść – staram się wybrnąć.

– Lepiej wziąć, niż nie wziąć – rzuca lekko Ruda. – Tak czy owak, przed dancingiem zapraszam do mnie, podzielę się swoim nowym pomysłem. – Puszcza mi oko, a tymczasem jej komórka znowu zaczyna dzwonić. Wyciąga telefon, przeprasza i mówi, że teraz to już musi odebrać. – Do potem! – woła i znika na schodach.

Chcę iść za nią, ale wpadam na doktora Jarząbka, który pyta mnie o samopoczucie. No przecież lekarzowi nie wypada odmówić odpowiedzi, zwłaszcza że jest moim doktorem kierującym.

Pewnie tym razem tracę możliwość podsłuchania kolejnej rozmowy, ale przynajmniej częściowo zaspokoiłam ciekawość. Teraz pozostaje mi się dowiedzieć, kim jest ów tajemniczy Mirek i co oznacza to całe „TowarCiech”. Toć przecież nie nazwisko!

Dorsz, ziemniaki i surówka z kiszonej kapusty migiem znikają z mojego talerza, a wszystko popijam rozwodnionym kompotem – pewnie została im resztka,

to chcieli przyoszczędzić. Ziemniaki za to mogli trochę bardziej posolić, ale cóż, nie można mieć wszystkiego.

Na obiedzie nie spotykam żadnej z żab, pewnie całe stado powstrzymuje się od nawet najmniejszego okruszka, żeby wcisnąć się w kreacje na wieczór. Ciekawe, czy Wata Cukrowa spróbuje się wbić w jedną ze swoich za małych kiecek. Toć przecież nie schudła trzydziestu centymetrów w pasie, żeby się nagle zmieścić w eskę.

Jednakowoż trzeba te baby pochwalić, że jednocześnie zafundowały sobie pobyt w sanatorium i ośrodku odchudzającym, choć patrząc po cenie tego całego Dietostopu, to mogą wrócić do domu gołe i wesołe. Ropucha to i pewnie nerkę sprzeda, żeby mieć na ten lek. Nie mogę się doczekać, jak zobaczę ją w jakimś prześcieradle na parkiecie. Cokolwiek włoży, i tak będzie wyglądać gorzej ode mnie. Szkoda, że nie mogę się odstroić, ale muszę się pozbyć Taryfowego Gbura raz na zawsze.

Ruda zamiast tabletek na odchudzanie mogła przywieźć jakiś środek odstraszający mężczyzn. By się popryskało delikwenta jak jakiego komara i rach-ciach, po problemie. A jakby nie pomogło, to gazetę zrolować i trzask. Ariwederczi, Gburze.

– Ciekawe, czy będzie ten sam grajek co tydzień temu – mówi jedna z trzech babek przy stoliku obok. – Ten to dobre piosenki włączał, co nie?

– Jak on się nazywał?

– Czarek chyba.

– A, tak, tak!

Kiedy zmieniają temat i zaczynają gadać o aptekach i przychodniach, wstaję i wracam do pokoju. Ja nigdy nie rozmawiam publicznie o sprawach zdrowotnych. No, chyba że z Beatą.

BOŻE, BEATA!

CIEPŁE POSADKI W DIETETYCZNYM ZAKĄTKU RUDEJ

Przeszukuję szafę i wybieram strój na wieczór: brązowe rybaczki, granatową bluzkę i ciemne sandały. Aż mnie skręca, kiedy patrzę na te wszystkie kwieciste i wzorzyste ubrania, które wręcz proszą się, by je założyć. Ale dzisiaj trzeba być zwykłą jak nigdy. Nie wolno mi przykuwać uwagi, więc biżuterię też dobieram skromną. Toć przecież mogę się wybawić i bez królewskiej sukni.

Wkładam wybrany zestaw i spoglądam w lustro. Wyglądam jak siedem nieszczęść. Żem się ubrała, jakbym miała ziemniaki wykopywać. Serce pęka, ale cóż, święty spokój wymaga poświęceń.

Za kwadrans szósta jestem gotowa. Pomalowałam się jeszcze, ale letko, żebym nie spłynęła na parkiecie, no i oczywiście nie chciałam być za ładna, a to trudno zrobić.

W pokoju Rudej intensywnie pachnie tanim lakierem do włosów. Ach, te kobity, zabierają się za sylwetki, a o włosach nie myślą. Tylko patrzeć, jak wyłysieją jedna z drugą.

Jesteśmy już wszystkie prócz Ropuchy. Spoglądam po każdej i nie ukrywam, zazdroszczę im, że mogły się wystroić. Choć niestety wyglądają niekorzystnie.

– Co tak skromnie? – pyta Wata Cukrowa, która ubrała się w przyciasną sukienkę w kolorze rzygów kota.

– Żeby gbur z dworca się odczepił – uprzedza mnie Ruda.

– Dokładnie – potwierdzam. – Więc szykujcie się dzisiaj na towarzystwo nachalnego wąsatego piernika. Żal mi was będzie.

Robię smutną minę, ale tak naprawdę nie jest mi ich żal. Każdy swój krzyż nieść musi, prawda?

– Byś się odstroiła jak ten, no, Kopciuszek i o! Byłby cały twój! – Miotła wybucha śmiechem, a pozostałe idą w jej ślady.

Patrzę teraz na jej fryzurę, którą nieudanie próbowała ułożyć.

– I niczym Kopciuszek mogłabym pozamiatać cały ośrodek! Użyczyłabyś mi tych swoich kołtunów? – Patrzę jej w oczy i uśmiecham się radośnie.

Pozostałe żaby łapią żart i wręcz ryczą ze śmiechu, a zawstydzona Miotła stara się przygładzić fryzurę rękami. Jeden zero dla mnie, koczkodanie.

– No dobrze, żarty żartami. – Ruda ociera łzę. – Żeśmy się pośmiały, to teraz opowiedzcie mi o rezultatach stosowania niezawodnego Dietostopu. Dalej czekamy na Czesię, mam nadzieję, że niedługo przyjdzie.

Wata Cukrowa, Miotła i Parówka zaczynają zachwalać tabletki, opowiadają o braku głodu i zachcianek. Są wniebowzięte, podlizują się Rudej jedna przez drugą. Może obiecała im jakąś zniżkę czy coś.

– A ty co tak milczysz? – zwraca się do mnie Parówka. – Ty to w ogóle bierzesz?

– Tak, mówiłam Elwirce, że jedną wzięłam z rana i fakt, nałożyłam sobie mniej na obiedzie – kłamię.

– No, to już coś. Ale wiesz, lepiej się sprężaj, bo nas nie dogonisz.

– Jakbym się zawzięła, tobym cię dogoniła szybciej niż ci ludzie w ośrodku, co żeś parówki ukradła – prycham.

Chyba się zapędziłam, bo wszystkie patrzą teraz na mnie surowo. Aj, bo już mnie denerwują, trajkoczą o tych lekach, jakby innego tematu nie było. Z Rudą tak miło się gawędziło w ogrodzie, teraz tak z nimi nie można?

– Prawie się wtedy udusiłam – mówi smutno Parówka. – Te tabletki ratują mi życie.

– Wybacz, nie chciałam cię urazić. – Głaszczę ją po ręce, szorstkiej jak papier ścierny.

Ta, nie chciałam, oczywiście, że chciałam. „Parówkowym skrytożercom mówimy nie!”

– No dobrze, drogie dziewczęta, mniejsza z tym. – Oho, „dziewczęta”, Ruda nas odmładza. – Mam dla was bardzo ciekawą propozycję…

Wtem rozlega się pukanie do drzwi.

– To na pewno Czesia – mówi Wata Cukrowa.

Ruda otwiera i do środka wchodzi Ropucha. Ma na sobie ciemnobrązową sukienkę za kolano, która odkrywa jej obfite łydy. Moją uwagę przykuwa jej rozbiegany wzrok.

– Wszystko dobrze? – pytam.

– Tak, jest super, wszystko super, będę chuda, leki działają – odpowiada niewyraźnie, a następnie zajmuje miejsce. Pozostałe żaby nie zwracają na nią szczególnej uwagi, są wgapione w Rudą, która szykuje się do kolejnego przemówienia.

– Jak wszystkie wiemy, dzisiaj odbędzie się dancing, na który przyjdzie pewnie wiele kobiet, no w końcu czasem trzeba potańczyć, prawda?

Żaby kiwają głowami, a Ropucha klaszcze trzy razy.

– Każda z nas i każda z nich chce wyglądać pięknie, nie tylko tego wieczoru. Niestety nieważne, jak pięknie się ubierzesz, jak pięknie się wymalujesz, nie zawsze dobrze wyglądasz ze względu na swoją figurę.

Spoglądam na reakcję pozostałych. Tak jak myślałam, każda zerka teraz na swoje uda, ręce, oponki. Mam wrażenie, że Ruda trochę przesadza, bo zamiast nam wszystkim powiedzieć, że świetnie wyglądamy, to podkreśla nasze niedoskonałości. Znaczy ich, bo ja to jestem doskonała, jakby mnie jakiś Leonardo DiCaprio wyrzeźbił, a w ogóle to jestem odporna na krytykę. Przeważnie.

Co ona, wieczór chce im popsuć? Babki się postarały, a ta je, bezduszna, próbuje zdołować.

– Przed każdą z was jeszcze długa droga, ale pamiętajcie, że z Dietostopem oraz siostrzaną więzią – Ruda łapie za rękę siedzącą najbliżej niej Miotłę – możemy osiągnąć wszystko. Zatem wpadłam na pomysł, byśmy podzieliły się naszym sekretem z innymi kobietami.

– Ja nikomu moich tabletek nie oddam! – wykrzykuje nagle Ropucha, czym zwraca uwagę wszystkich wokół.

– Och, Czesiu, nie o to mi chodziło – uspokaja ją Ruda. – Pomyślałam po prostu: czemu by nie pomóc innym kobietom, które tak samo jak my zmagają się z tuszą? Pamiętajcie, wybrałam was nieprzypadkowo. Mam wrażenie, że to przeznaczenie, a może nawet sam Bóg połączył nas tutaj, gdyż widzę w was kogoś więcej niż tylko uczestniczki turnusu w sanatorium. Każda z was jest wyjątkowa, piękna i dobra.

Ruda chyba brała jakieś szkolenia z przemawiania w głąb duszy, bo gdy zerkam na Parówkę, ta właśnie ociera łzę. Do brzegu, Ruda, do brzegu, bo się spóźnimy na dancing!

– Każda z was ma w sobie potencjał, by szerzyć wiedzę i techniki, które prowadzą nas prosto do zwycięstwa w tej odchudzającej drodze. Kto, jak nie wy, będzie w stanie pomóc innym?

Ruda robi przerwę, by napić się wody, a żaby – teraz już wszystkie – chlipią jak na jakiej *Modzie na sukces*. Usłyszały właśnie więcej miłych słów i pochwał niż przez ostatni miesiąc. Parówka to zaraz wyschnie, tak jej oczy przeciekają, że dejta spokój.

– Pomyślałam, że fantastycznie sprawdziłybyście się jako moje asystentki, które znalazłyby potencjalne panie, którym, tak samo jak wam, przydałby się, a nawet należał, nasz cudowny Dietostop Plus.

Ach, więc o to jej chodzi. Przymila się żabom, żeby je wykorzystać do wzrostu sprzedaży. No proszę, kto by pomyślał, że ma taki łeb do interesów.

– Asystentki? – pyta nieśmiało Wata Cukrowa.

– Tak, asystentki – potwierdza Ruda. – Chciałabym, żeby więcej kobiet zaczęło przygodę z Dietostopem, ale sama nie dam rady poznać wszystkich pań w sanatorium. Dlatego tak się cieszę, że trafiłam na was!

– Ja bardzo chętnie! – wyrywa się mokra od potu Ropucha. – Tylko co mam robić?

– Drogie koleżanki, to nic trudnego. Chciałabym, żebyście rozglądały się po ośrodku i zapoznały inne puszyste panie.

„Puszyste”? Wypraszam sobie! Ja jestem co najwyżej dobrze odżywiona.

– Opowiedzcie im o Dietostopie, o jego zaletach, wpływie na apetyt i tak dalej. Tylko najpierw koniecznie wspomnijcie mi, kogo wytypowałyście. Wiecie, nie wszystkie zasługują na takie szczęście, jakie was spotkało.

Dowartościowane żaby wzdychają i ślą jej uśmiechy. Ciekawe, gdzie jest haczyk.

– Elwirko – przerywam jej – powiedz mi, proszę, kochanieńka, co ty z tego będziesz mieć?

– Ja? Oj, kochana, raczej co wy będziecie mieć – kontynuuje, nie odpowiadając na moje pytanie. – No przecież nie będziecie poświęcać czasu za darmo.

Żaby prostują się jak na komendę, jakby im to miało pomóc w lepszym usłyszeniu. Wyglądają jak jakie lamy czy inne alpaki w zoo, kiedy ludzie wyciągają do nich siano.

– Do rzeczy. Jeśli poznacie kobietę, której waszym zdaniem przydałaby się pomoc w schudnięciu, opowiedzcie mi o niej. Jeżeli jej historia wyda mi się równie warta uwagi co wasze historie, to zaprezentujemy jej Dietostop Plus. I teraz najważniejsze: za każdą pozyskaną panią otrzymacie wynagrodzenie.

– Wynagrodzenie? – Oczy Miotły świecą się jak żyrandol w kościele.

– Nie inaczej. Pierwsze opakowanie jest oczywiście gratis, ale od każdego kolejnego zakupionego pudełka dostaniecie dwadzieścia procent.

Ach, więc tak to sobie wymyśliła, ruda lisica!

– Chyba do końca nie rozumiem – żali się Ropucha.

A to nowość.

– Wyobraźcie sobie, że Czesia przyprowadza do mnie potencjalną koleżankę, która dostaje ode mnie opakowanie leku. Jeśli po zużyciu jednego pudełka wróci do mnie, by wykupić następne, to Czesia dostaje dwadzieścia procent za każde opakowanie. Teraz jasne?

– Tak! – Ropucha, jak i pozostałe, aż promienieją, bo wreszcie do nich dotarło. No jak dzieci, trzeba tłumaczyć prosto jak chłop krowie na rowie. Na pewno nie radzą sobie w krzyżówkach.

– A tak zapytam – zabieram głos. – Naszą piątkę, jak by to powiedzieć, też ktoś polecił?

Staram się dobrać słowa tak, żeby nie zabrzmiało to, jakbyśmy były towarem, ale chyba inaczej się nie da.

– Och, moja droga, ależ nie – zaprzecza Ruda i kręci głową. – Przecież mówiłam, że sama się na was poznałam. I proszę bardzo, jakie mam wspaniałe koleżanki! No, to co wy na to? Chciałybyście trochę zarobić podczas pobytu? I przede wszystkim pomóc innym schudnąć?

– Ja chcę!

– Ja też!

Przekrzykują się jak jakie przekupy, tylko ja nie staram się o posadę w dietetycznym zakątku Rudej. Po co mnie te łażenie, szukanie, poznawanie innych? Już się napracowałam za życia. Ja żem się tu przyjechała podreperować, a nie harować jak wół. Co prawda z moim gadaniem tobym Rudej pół Ciechocinka przyprowadziła, ale dejta spokój. Na waciki i krzyżówki jeszcze mam.

– I tak o, po prostu dostaniemy pieniądze? – dopytuje Parówka. – A co z jakimś rozliczeniem, podatkami i tak dalej? Moja kuzynka pracowała w urzędzie skarbowym i…

– Oj, spokojnie, moja droga – przerywa jej Ruda. – Przecież nie podpisujemy żadnej umowy, wszystko będziecie dostawać ode mnie pod stołem. Po co ktoś

miałby zabierać część należnych wam pieniędzy? Za miesiąc nas tu nie będzie, więc nie musicie się o nic martwić.

– No a gdyby mi się spodobało i gdybym okazała się w tym dobra, to mogłabym dorabiać po powrocie do domu? – docieka Parówka.

Patrzcie ją, zarabiać się zachciało! Wyobrażam ją sobie, jak łazi w obcisłej spódnicy po domach… albo nie, lepiej! Mogłaby rozprowadzać Dietostop w tym ośrodku, w którym prawie zeszła na korytarzu, i miałaby akcję promocyjną typu „kup dwa opakowania, a w prezencie dostaniesz paczkę parówek”. Powiedziałabym to na głos, ale już jej wystarczy przytyków ode mnie. Przynajmniej na dzisiaj.

– Powiem szczerze, że przewiduję taką możliwość, ale jeszcze za wcześnie, by o tym myśleć. Na razie skupmy się na najbliższej przyszłości. Pamiętajcie, by wpierw poznać kandydatki, zanim zaczniecie wprowadzać je w fantastyczny świat odchudzania.

Zastanawiam się, czy Ruda zajmuje się tym na stałe w tym swoim Tczewie. Może tam też organizuje spotkania, motywuje babki, a potem werbuje je do swojej rudej kompanii. Ciekawi mnie też, dlaczego nie można mówić o tym leku na starcie. Przecież jakby tak ktoś podszedł do Beaty albo Teresy i powiedział coś w stylu: „Mam cudowny lek, który pomoże pani bardzo szybko zrzucić kilogramy”, toby poleciały na to jak ćmy do lampy albo jak mucha do gów… no, do kupy.

Może Ruda czegoś się boi? Od razu myślę o tej skarbówce, co to Parówka mówiła, może o nią chodzi. To dlatego tamte muszą wybadać teren i poznać co nieco kandydatki, dowiedzieć się, czym się zajmują, i inne takie. Założę się, że Ruda nie zaprosiłaby do kółeczka żadnej wysoko postawionej persony, która mogłaby coś namieszać. Potrzebne są jej zwykłe kobiety, które nie stwarzają podatkowego zagrożenia.

– Słuchajcie – Elwira zerka na zegarek – najważniejsze już wiecie. Więcej szczegółów możemy przedyskutować jutro, jeśli oczywiście będziecie

zainteresowane. Tymczasem zbierajmy się, żeby nam miejsca na parkiecie nie pozajmowali.

Odruchowo patrzę na Ropuchę, która sama zajmie pół sali.

– Tylko może najpierw weźmy po tabletce, żeby nas nie kusiły przekąski i słodkie napoje podczas zabawy.

Ruda wyciąga z szuflady opakowanie Dietostopu i po chwili każda trzyma w dłoni tabletkę. Ropuchę wręcz skręca, więc nie czeka na inne i połyka lek.

– Na zdrowie! – woła Ruda.

Wszystkie odpowiadamy to samo, stukamy się kubkami z wodą i przyjmujemy po tabletce.

– No to co? Czas na dancing! – Ruda daje znak ręką i wszystkie żaby kierują się do drzwi. Ja wychodzę przedostatnia.

Na korytarzu, gdy tylko Elwira się odwraca, by zamknąć drzwi na klucz, dyskretnie wypluwam gorzką tabletkę na rękę i wrzucam ją do najbliższej doniczki.

– Cieszę się, kochana, że w końcu przekonałaś się co do Dietostopu – słyszę głos Rudej, która właśnie uporała się z zamkiem.

– Ja też, Elwirko, ja też.

Dyskretnie rzucam okiem na pastylkę leżącą samotnie pod liściem fikusa. Mam nadzieję, że nie wyrośnie z niej drzewo odchudzające.

BOŻE, BEATA!

WYCHODZI SZYDŁO Z RUDEGO WORKA

Stołówka wygląda teraz zupełnie inaczej niż podczas posiłków. Stoliki ustawiono pod ścianą, a z krzeseł powstały dwa równe rzędy przy oknach. Już wiadomo, gdzie się rozsiądą te wszystkie baby, z którymi nikt nie będzie chciał tańczyć.

Drzwi do ogrodu są szeroko otwarte, więc w razie duchoty będę mogła się wyjść przewietrzyć. Przy wejściu do kuchni zauważam dwa duże, przykryte śnieżnobiałymi obrusami stoły, na których piętrzą się przekąski typu zimna płyta. Najchętniej to już bym poszła sobie nałożyć jakiej galaretki albo chociaż koreczka, ale muszę uważać – Ruda i jej żabia banda są pewne, że połknęłam tabletkę, tak że nie mogę się rzucać w oczy przy bufecie.

– No i proszę, jesteśmy jednymi z pierwszych – mówi Wata Cukrowa i poprawia fryzurkę. – O, to chyba wodzirej.

Zerkamy na niewysokiego faceta ubranego w pasiastą koszulę z krótkim rękawem. Majstruje coś przy kablach na stanowisku do puszczania muzyki. Na blacie ustawił przenośny komputer i jakieś nieznane mi technologiczne sprzęty, służące pewnie do didżejowania. Z boku stanowiska stoją dwa duże głośniki, a na ścianie za nim rozwieszono pstrokaty baner z napisem DJ CZARUŚ.

– No, ciekawe, czy nas zaczaruje piosenkami – komentuję ze śmiechem. – Ale mogli jakoś bardziej przystroić tę salę, prawda? Bo tak licho trochę.

– Ale patrz tam. – Parówka wskazuje palcem jakieś lampy w rogu, których wcześniej nie zauważyłam. – Pewnie świecą się na różne kolory, jak na dyskotece.

Ludzi zbiera się coraz więcej, więc przesuwamy się bliżej okien, za którymi dostrzegam kilku pracowników sanatorium. Pewnie pilnują, żeby jakie miejscowe kloszardy się nie wprosiły na dancing.

– Raz, raz, raz – mówi do mikrofonu didżej Czaruś i poklepuje go kilkukrotnie. – Panie i panowie, czy dobrze mnie słychać?

Przez salę przetacza się jednogłośne „taaak”, a ktoś nawet bije brawo.

– Drodzy panowie, co tak prędko, oklaski to dopiero po zakończeniu imprezy, jak już zmęczycie panie na parkiecie. – Didżej Czaruś zaśmiewa się z własnego dowcipu. Porusza przy tym brwiami jak stary wujek na weselu.

Trochę się bałam, że to będzie właśnie taki pajac, co to żarty ma gorsze niż Teresa przepis na makowczyk. Mam nadzieję, że nie będzie za dużo gadał do tego mikrofonu, tylko się zajmie muzyką jak trzeba.

Skoro już o pajacach mowa, to rozglądam się dyskretnie po sali i staram się wypatrzeć Taryfowego Gbura. Ciekawe, czy wytropił już jakąś nieszczęśnicę i zawraca jej głowę. Niestety nigdzie nie dostrzegam jego niewyparzonej wąsatej gęby.

– No dobrze, panie i panowie, dosyć gadania, czas się zabawić! – Wodzirej odkłada mikrofon, coś klika i rozbrzmiewają *Kawiarenki* Ireny Jarockiej.

– No, ma szczęście. – Uśmiecham się na dźwięk pierwszych nut piosenki, gdyż trafił w moje gusta.

Niektórzy dobierają się w pary, ale że większość dancingowiczów to kobiety, tworzy się kilka kółeczek, między innymi naszej szóstki. Tylko ja z tego grona znam na pamięć cały tekst, więc podśpiewuję i bujam się z nóżki na nóżkę. Toć się było ze Staśkiem na koncercie Jarockiej przed laty, poza tym jej piosenki często w radiu słyszę, a mnie słowa łatwo wchodzą do głowy.

– Nie zapominajcie o dzisiejszym zadaniu, kochane. – Ruda uśmiecha się do każdej po kolei.

Didżej Czaruś puszcza *Sing-Sing* Maryli Rodowicz, a ja zawieszam wzrok na całkiem niebrzydkiej garsonce jakiejś babki tańczącej właśnie koło filaru. Patrzę na

swoje skromne rybaczki i aż mnie skręca – też bym taką ładną kreację założyła, gdyby nie Taryfowy Gbur. No właśnie, gdzie
on jest?

Przecież tylko przez wzgląd na niego się nie wystroiłam. Powinien tu przyjść, zobaczyć mnie i się wycofać w trybie natychmiastowym. Może kręci się gdzieś na tarasie i czeka, aż się zmęczę i do niego wyjdę. O nie, nie. Ja się w podchody bawić nie będę.

Podczas tańca do *Nic nie może wiecznie trwać* Anny Jantar zaczynam odczuwać lekką zadyszkę, w końcu nie pląsałam po parkiecie dobrych parę lat, a poza tym przydałoby się trochę odsunąć od Ropuchy, bo zdążyła się już spocić.

– Idę się przewietrzyć – informuję.

– Doskonały pomysł, ja także – mówi Ruda.

Na tarasie wychodzącym na ogród stoi kilka osób zajętych rozmową z personelem. Nie dostrzegam pośród nich Taryfowego Gbura.

– I co, kochana, gdzie ten twój wąsaty książę z bajki? – naśmiewa się Ruda.

– A dej spokój, Elwirko. Z jednej strony to wiesz, nie chcę, by się w ogóle pojawiał, jeszcze mnie zaczepiać będzie i wieczór popsuje. Ale z drugiej…

– Żeś się nie wystroiła – zauważa.

– No właśnie. Niech no lepiej przyjdzie, bo mi plany popsuje, gamoń jeden.

– Kochana, cierpliwości, pewnie musiał gdzieś smołę kupić, żeby tego wąsa przykryć – mówi, a my wybuchamy śmiechem. – Założę się, że jak wrócimy do środka, będzie bajerował jakąś sikoreczkę i za tydzień będziesz się mogła w spokoju wystroić.

– Nie wiem, co on się tak na mnie uwziął. – Kręcę głową.

– Jak tylko facet z domu wyjedzie, od razu wychodzi z niego babiarz – stwierdza Ruda tonem znawczyni.

– Ale, Elwira, on wdowcem jest – mówię tylko.

– No to przecież on jak i ty. – Ruda klaszcze w dłonie.

– Oj, wypraszam sobie. – Co za bezczelność, nie jestem żadnym wdowcem.

– To znaczy no wiesz, kochana, o co mi chodziło. No, ale zmieńmy temat. Masz już na oku potencjalną kandydatkę do odchudzenia? Widziałam, że się rozglądałaś na parkiecie, to dobrze, nie próżnujesz. – Uśmiecha się. – Szczerze mówiąc, mam przeczucie, że ściągniesz najwięcej pań i, wiadomo, zarobisz najwięcej. – Ostatnie słowa wypowiada konspiracyjnym szeptem.

Zanim zdążę odpowiedzieć, zaczyna jej dzwonić telefon.

– Wybacz mi. – Elwira zerka na ekran i znowu reaguje, jakby została na czymś nakryta.

– To ja wracam na parkiet, do potem – rzucam i odchodzę w kierunku wyjścia, ale raz po raz zerkam na Rudą, która staje za wysokim żywopłotem niedaleko tarasu.

Kiedy jestem pewna, że mnie nie widzi, zakradam się i chowam po drugiej stronie żywopłotu. Dobrze, że mam na sobie te sandałki, to przynajmniej mogę się przemieszczać bezszelestnie. Spoglądam na ludzi stojących na tarasie, ale nikt nie zwraca na nas uwagi. Pewnie są zajęci gadaniem o lekach i polityce.

Przysuwam ucho blisko gałązek, by sprawdzić, czy przypadkiem nie kryje się między nimi jaki pająk czy inna zwierzyna. Kiedy odganiam komara, słyszę głos Rudej.

– …jak dobrze pójdzie, to na poniedziałek potrzebuję więcej opakowań, musisz mi dowieźć – mówi cicho, ale stanowczo. – Te ze spotkania załatwią kolejne klientki. A, i bardziej się postaraj przy pakowaniu, bo tę ostatnią partię jakąś pogiętą przywiozłeś. I nie dzwoń do mnie co chwilę, bo mi przerywasz owijanie ich sobie wokół palca. A pamiętaj, że nie lubię wychodzić z roli.

Wychodzić z roli? Owijanie wokół palca? Powiem szczerze, że jestem zszokowana. Czy ona jest dla nas miła, bo po prostu chce nam wciskać ten lek? To może dlatego podczas rozmowy z Ropuchą na korytarzu nie przejęła się jej obłędem, tylko podsunęła jej nową dawkę?

– Pobyt w ośrodku zapowiada się obiecująco, tych kilka głupich połknęło haczyk od razu, z jedną mam większy problem, ale ją naprostuję. A ma gadane,

skubana, więc naciągnie nam chętnych, że zobaczysz. Jak ją wkręcę, to może Mariola ją weźmie pod swoje skrzydła tam u siebie, nad morzem, bo ona jest, zdaje się, z Gdańska albo z Gdyni…

Głupich? I kogo niby chce naprostować? Że niby mnie? Sama się prostuj, rudy kaszalocie! Ma na myśli Watę Cukrową, Miotłę i tak dalej? Czy mówi teraz o jakichś innych kobietach, które zwerbowała podczas pobytu? Jeszcze o jakiejś Marioli wspomina, co za czort? Może w Polsce jest więcej takich Elwir, które odchudzają kobiety tym całym Dietostopem.

Jak to było? Ach tak, „Mirek TowarCiech". Teraz już wszystko wydaje się jasne. „Towar" to Dietostop, a „Ciech" – Ciechocinek, bo od czego może być ten skrót, jak nie od tego? Przecież nie od Grzegorza Ciechowskiego, dejta spokój.

– …muszę wracać do środka…

Momentalnie się prostuję i oddalam na paluszkach. Przeciskam się między ludźmi na tarasie, wchodzę na stołówkę i odnajduję niepełne grono niczego nieświadomych żab. Parówka i Ropucha odpoczywają na krzesłach, a Miotła z Watą Cukrową bujają się do rytmu. Didżej Czaruś puścił właśnie *Serduszko puka w rytmie cza-cza* Marii Koterbskiej, więc tanecznym krokiem dołączam do kółeczka i nie zwracam na siebie większej uwagi.

– A Elwirka gdzie? – pyta Miotła.

– A nie ma jej tutaj? – Udaję zaskoczoną. – W łazience byłam. Myślałam, że jest z wami.

– Pewnie zaraz przyjdzie. – Miotła kupiła moje kłamstwo. Zapewne była zbyt zapatrzona w Czarusia, więc nie zauważyła, że wchodzę z zewnątrz, a nie z korytarza.

Rozglądam się po sali. Taryfowego Gbura jak nie było, tak nie ma, zaczynam się denerwować. Jak on śmie? Psuje mi cały plan pozbycia się dziada.

Z zamyślenia wyrywa mnie głos Rudej:

– I co, macie kogoś na oku?

– Ja się zaraz wybieram pogadać z tamtą kobitką. – Wata Cukrowa wskazuje na stojącą przy bufecie babkę, która ma włosy w podobnym, różowawym odcieniu.

– Proszę, proszę, spryciula! Wybrałaś specjalnie, prawda? – zauważa Ruda i poklepuje tamtą po ramieniu.

– Mamy coś wspólnego, więc będzie można łatwo rozpocząć rozmowę. – Wata Cukrowa wręcz pęka z dumy. Ciekawe, czy będzie taka kreatywna, jak się dowie, że ją Ruda za plecami od głupich wyzywa.

A taka była miła i towarzyska wtedy w pociągu, jak się w moje krzyżówki wtrąciła. Tu pogaduszki o pogodzie, tam o pierdołach, tymczasem, proszę, wyszło szydło z worka. Słodka żmija. Szlag by ją. Na cholerę żem na nią trafiła. Teraz prócz troski o swój stan zdrowia jeszcze to mam na głowie, a przecież nie spocznę, póki się wszystkiego nie dowiem, zwłaszcza że to coś o wiele większego niż jakaś tam osiedlowa ploteczka. Będę miała co opowiadać Beacie!

– A ty, kochana, do kogo zagadasz? – Teraz Ruda zwraca się do mnie i rozgląda się przy tym po sali. Wyszukuje potencjalne ofiary jak jaka modliszka. A żebyś dostała skrętu szyi, toby ci ten rudy łeb odpadł i byłby spokój.

Nie mogę dać po sobie poznać, że coś jest nie tak.

– Wiesz co, Elwirko – mówię słodkim głosem – jak byłam w toalecie, to widziałam taką jedną babę, co się kręciła przy recepcji, jej to by się też przydał Dietostop. Pójdę, pogadam z nią, ale potem już do pokoju wrócę, bo mnie coś ćmi. – Kładę sobie dłoń na czole.

– Tak, koniecznie tak zrób. Powodzenia!

Żegnam się z żabami, odwracam i kieruję do wyjścia, a w tle rozbrzmiewa Bajm i ich niezapomniana piosenka *Piechotą do lata*. Piechotą to ja dojdę do odpowiedzi na pytania, kim tak naprawdę jest Elwira i jaki ma plan.

BOŻE, BEATA!

RUDE CHOLERY NIE DAJĄ MI ŻYĆ

Wpadam do pokoju, lekko zdyszana, bo chcę jak najszybciej zaszyć się pod kołdrą, z dala od tej rudej cholery. Ten wieczór miał wyglądać zupełnie inaczej. Zamiast tanecznego piątku, podczas którego spławiam Taryfowego Gbura, trafiam na plan dreszczowca, w którym robię za główną bohaterkę. O zgrozo, toć przecież zawsze chciałam zostać gwiazdą ekranu, ale nie o to mi chodziło. Miałam być drugą Marilyn Monroe albo chociaż Grażyną Szapołowską, a nie detektywem Monkiem, dejta żyć!

Od razu łapię za telefon i dzwonię do Beaty, ale nie odbiera. Pewnie już poszła spać, a przecież ta jak zaśnie, to i trzęsienie ziemi by jej nie obudziło. A jakbym miała właśnie zawał, to co? Na nią by potem było, że nie odebrała, kiedy powinna. Jak tak zrobi w godzinę mojej śmierci, to ją później będę nawiedzała do końca jej żywota.

Próbuję zasnąć przez dobrą godzinę, bo ciągle napływają mi do głowy przeróżne myśli związane z dzisiejszą sytuacją.

Nagle wybrzmiewa głośny jak jaki dzwon Zygmunta dzwonek telefonu. Beata oddzwania, ale tak późno? A może by się odegrać i też nie odebrać? Nie no, lepiej odbiorę, przynajmniej się podzielę swoimi przemyśleniami.

– Siku byłam i komórkę sprawdziłam, mówię: oddzwonię – informuje.

– To w takim razie słuchaj, jak jużeś mnie ze snu wyrwała – kłamię. A niech ma wyrzuty sumienia, że nie odebrała wcześniej.

– No mów!

Szybko streszczam jej podsłuchaną rozmowę.

– I tak się zastanawiam – ciągnę – od jak dawna Ruda planowała ten wyjazd. Przecież żeby się dostać do sanatorium, trzeba mieć specjalne skierowanie, poza tym widziałam, jak wychodzi z rehabilitacji, więc w kwestii zdrowia nie blefuje.

– Może jaką łapówkę daje?

– Komu? Jarząbkowi? Toć to dobry człowiek, dej spokój. Ale pytanie, skąd oni biorą ten Dietostop. Może razem z tym Mirkiem tworzą jakie mieszanki, które się sumują na lek odchudzający? Mieszają wyciągi z karczocha i zielonej kawy. Ciekawe, czy mówiła prawdę na temat składu.

– Może w aptece zapytaj? – sugeruje. Słyszę, jak przy tym ziewa.

– No właśnie tego jeszcze nie ma w aptekach. Ale pokazywała nam przecież zdjęcia, więc skoro to działa, to czemu tego nie wprowadzi na rynek apteczny?

– Farmaceutyczny.

– Fa… co? No mówię, apteczny. Żeby normalnie kupić można było, a nie na jakichś potajemnych spotkaniach przy nalewce w papierowych kubkach. Może nie chodzi tylko o te podatki, co to Parówka wtedy wspomniała, tylko za tym wszystkim stoi coś więcej? Czy ty chrapiesz?!

– Co? Ja?

– Lepiej mnie słuchaj, bo dwa razy powtarzać nie będę, a i tak od tego myślenia aż mnie zaczęła głowa pobolewać, toć to temat rzeka.

– To idź spać, ja też idę, może ci się przyśni odpowiedź. Dobranoc.

I rozłącza się, małpa jedna, zanim zdążę odpowiedzieć.

Układam się wygodnie pod kołdrą. Mogę sobie gdybać i gdybać, ale jedno jest pewne: nie mogę powiedzieć o tym, co podsłuchałam, żadnej z wielbicielek Rudej – bo przecież one są w nią zapatrzone jak cielęta w narysowane wrota. Nie uwierzą mi. Staną po jej stronie. Muszę działać sama.

BOŻE, BEATA!

TARYFOWY GBUR TOPI LODY

W sobotni poranek budzę się później niż zwykle i jestem całkiem wypoczęta. Żem się wczoraj trochę bardziej poruszała, to od razu się lepiej spało, jak po spacerze nad morzem albo w jakim lesie.

Dzisiaj, ze względu na weekend, czekają mnie tylko dwa zabiegi, więc będę miała więcej czasu, żeby zbadać wiadomą sprawę. Mam cichą nadzieję, że był to tylko jakiś pokręcony sen, ale choćby mnie wszystkie szczypawice świata oblazły, to i tak bym się nie obudziła, bo to była prawda.

Zaraz śniadanie, więc szykuję się do wyjścia i schodzę do stołówki, która przybrała pierwotną formę. Didżej Czaruś wyparował jak wczorajszy kompot, a stoły i krzesła wróciły na miejsce. Sprawili się pracownicy Bursztynka, kto by pomyślał. Nie zauważam żadnej z żab, więc nakładam na talerz solidną porcję pieczywa, warzyw, sera i wędlin.

Zasiadam do stołu przy oknie, bo niebo zachmurzone, więc nie świeci po oczach. Nim biorę pierwszy kęs kanapki, rozlega się zgrzyt odsuwanego krzesła.

– Witam piękną panią – słyszę znajomy głos.

No tak. Teraz się zjawił. A już myślałam, że chociaż podczas śniadania zaznam trochę spokoju.

– Czy ja pozwoliłam się panu dosiąść? – Patrzę prosto w oczy Taryfowego Gbura, który bez mojej aprobaty zaczyna jeść posiłek.

– Jak się pani bawiła? – zmienia temat i bierze łyk herbaty. – Wczoraj, na tańcach.

– A skąd pan niby wie, że poszłam na tańce? Ja pana jakoś nie widziałam – precyzuję.

– O proszę, czyli rozglądała się pani za mną. – Wyczuwam w jego głosie nutkę satysfakcji.

– Rozglądałam się za panem jak za potencjalnym szkodnikiem na działce, takim jak ślimak, mszyca albo inny turkuć podjadek. Na szczęście insekty się nie zalęgły, więc nie trzeba było stosować żadnych specyfików.

Przecież mu nie powiem, że liczyłam na jego przybycie, żeby go zbyć. Co ja, durna?

– Z jakiegoż to powodu nie raczył się pan zjawić na dancingu? – pytam jeszcze z przekąsem i biorę gryz kanapki.

– Z pani powodu.

Pokasłuję kilkakrotnie, a kiedy się uspokajam, kończę kanapkę i popijam herbatą. Taryfowy Gbur chyba się domyśla, że potrzebuję chwili na przetrawienie tej informacji, bo nie dodaje już nic więcej.

– Jak to mojego? – Marszczę brwi.

Nic z tego nie rozumiem. Bał się, że mu przyłożę albo wbiję w oko wykałaczkę z koreczka?

– Sama pani wcześniej mówiła, że nie życzy sobie mojej obecności albo że pani nie pójdzie, jak ja będę. No to stwierdziłem, że nie będę pani psuć wieczoru – odpowiada.

Zamurowało mnie. Faktycznie, jak żeśmy ostatni raz rozmawiali, to rzuciłam coś takiego. No ale nie sądziłam, że potraktuje to poważnie!

Nie taki był plan, więc czuję się jakaś taka zmieszana. Z jednej strony nie powinno mnie obchodzić, czy był na dancingu, czy nie, czy tańczył, czy może umarł w pokoju.

Ale z drugiej strony zachował się, można powiedzieć, podobnie do sytuacji w windzie, kiedy puścił mnie pierwszą i okazał przy tym jakąś kępkę dżentelmeństwa. Ta sytuacja jest jednak trochę bardziej nietypowa, bo zrezygnował z zabawy na rzecz mojego samopoczucia.

– I co pan robił w tym czasie? – pytam, bo sama nie wiem, czy mam mu jakoś podziękować, czy co.

– Ano wie pani, trochę telewizji pooglądałem, na spacer krótki poszedłem, z siostrą rozmawiałem i o, wieczór zleciał. – Bierze kęs kanapki. – Nawet słyszałem muzykę, co tu grali, i sobie pośpiewałem pod nosem.

– Racja, ten wodzirej wspaniałe piosenki puszczał.

– Szkoda, że potańczyć nie było jak, ale jeszcze będzie okazja, oczywiście jeśli pozwoli mi pani przyjść następnym razem – odpowiada i uśmiecha się przy tym jak jaki lis.

Teraz to nie wiem, czy zrobiło mi się go żal, czy po prostu tak mnie zmanipulował, że mam ochotę go przeprosić. Nie no, oczywiście nie mogę mu dać satysfakcji, ale w duchu przyznaję, że, no, no, zarobił u mnie małego plusika.

– Panie, przecież panu nie zabronię łazić na dancingi – rzucam tylko. – Ale to miłe, żeś się pan tak zachował.

No i pękłam. Czemu to powiedziałam? Powinnam być twarda i stanowcza, zamiast mu dziękować, jakby był bohaterem w pelerynie. Chociaż w sumie gdyby moja licha stylizacja nie pomogła go spłoszyć i przez jego nachalną osobę wróciłabym do pokoju, to nie miałabym okazji podsłuchać Rudej. Na coś się jednak przydał, wszystko jest po coś.

– Dziękuję – dodaję, tylko i wyłącznie z myślą o tym, że w jakimś stopniu przyczynił się do takiej, a nie innej kolei wydarzeń w ogrodzie.

Taryfowy Gbur na moje słowa otwiera oczy szerzej niż kościelny drzwi kościoła w czerwcu. Ło pierunie, wtedy to taki zaduch, że przeciąg zbawieniem jest. Z reguły nie lubię wiatrów, ale w kościele nigdy mnie nie zawiało, bo tam

strzeżonego Pan Bóg strzeże, toćby nie dał się nikomu rozchorować w swoim domu.

– No proszę, proszę. Potrafi pani być uprzejma. – Uśmiecha się do mnie. – Takie to trudne?

Zamiast odpowiedzieć, wbijam zęby w kanapkę. Znów zaczynam myśleć o Rudej.

– Coś pani dolega? – dopytuje Taryfowy Gbur, a ja marszczę brwi. Co niby ma mi dolegać? – Taka pani markotna, co panią trapi?

Odnoszę wrażenie, że jego dzisiejszy ton jest… sama nie wiem, naturalny, prawdziwy? Zdaje mi się, że naprawdę przejmuje się moim samopoczuciem, a nie, że się zgrywa lub mnie zaczepia.

Ogółem dzisiaj ten dziad wydaje się inny niż dotychczas. Na początku zachował się jak chamski pacan, który nie zwraca uwagi na kobiety, później na stołówce też się nie popisał. Następnie irytował mnie w windzie, no ale na koniec wreszcie nauczył się manier. To znaczy ja go nauczyłam.

Przed dancingiem wydawał się nawet do strawienia, ale i tak by siedział w żołądku jak jaki smalec, jeszcze by człowiek zgagi dostał czy innego pieruństwa.

Ale dzisiaj zaskoczył mnie swoją osobą. Nie dość, że się wydaje schludniejszy, nawet wąsa wyczesał, jak Stasiek, to jeszcze ta sytuacja z dancingiem. A przed chwilą to się nawet szczerze zatroszczył. To miłe, przyznaję, choć i tak muszę mieć oczy szeroko otwarte. Niejednego takiego gacha poznałam, co to z początku dżentelmen pierwsza klasa, a potem wychodzi szydło z worka i o, nie ma żadnej klasy.

– Wie pan, różne się rzeczy dzieją, ale to już moja sprawa – odpowiadam zdawkowo, choć szczerze aż mnie korci, żeby mu się wygadać z tego wszystkiego.

– Jakby trzeba było, szanowna pani, to chętnie wysłucham – proponuje Taryfowy Gbur.

Może powinnam już myśleć o nim „Tadek”? Nie no, chyba z drzewa spadłam, nie będę taka pieszczotliwa. Tadeusz wystarczy. Ale jeden jego dziadowski wybryk,

to wróci do bycia Gburem szybciej, niżby zdążył przeprosić.

– Nie trzeba, mimo to dziękuję.

O masz, no znowu żem to zrobiła, jeszcze kilka podziękowań i będzie wychwalony jak nigdy.

– Pozwoli pani, że zapytam…

Oho, zaczyna się. Pewnie chce wrócić do tematu obrączki. Na szczęście wtedy uratowała mnie naprawa usterki i mogłam się wymigać od odpowiedzi, ale teraz nie mam jak. To znaczy mogłabym wstać i wybiec, ale przecież śniadania nie skończyłam. A mamusia mnie nauczyła, że to niełądnie marnować jedzenie.

– …ma pani plany na jutrzejszy dzień?

– A co pan, znowuż mnie pan chcesz zaprosić na tańce? Toć jutro się przecież tu nic nie będzie działo – odpowiadam i zaraz zasłaniam sobie jedno ucho, bo jakaś baba wstała od stołu, szurnęła krzesłem po podłodze, a pisk był taki, jakby świniaka zarzynali.

– Nie, ja nie o tym. Wie pani, wybieram się z rana na mszę, nawet niedaleko stąd. Niby w ośrodku jest kaplica, ale ja przecież nie umierający, żeby w niej siedzieć. Siłę mam, to się przejdę do najbliższego kościoła, i tak sobie pomyślałem, że może i pani by się chciała wybrać?

Zanim tu przyjechałam, zastanawiałam się, jak będą wyglądać niedziele. Wiedziałam, że rehabilitacji wtedy nie ma bądź są jakieś pojedyncze, może w zależności od stanu zdrowia pensjonariuszy albo w nagłych wypadkach. Sama planowałam iść do kaplicy, ale Tadeusz ma rację, tam pewnie atmosfera jak w takich szpitalnych, co to kaszlą, psioczą, gadają, gapią się jak na telewizor, grzeszą i Bóg wie co jeszcze. Kiedyś, jak byłam w Częstochowie, to tam kaplica była nawet na dworcu kolejowym, ło pierunie. Zaszłam tam, ale w środku na ławce spał jakiś menel, to żem go pogoniła parasolką. Kto to widział, żeby tak bezcześcić kolejowy Dom Boży.

– Powiem panu, że chętnie pójdę, do spowiedzi muszę się wybrać przy okazji – odpowiadam i widzę, że Tadeusz uśmiecha się pod wąsem. – No co? Zdążyłam

trochę za dużo powiedzieć, i to przez pana! Pan żeś powinien stanąć w kolejce do konfesjonału zamiast mnie. Trzeba będzie sprawdzić, o której msze są.

– Wczoraj sprawdziłem, bo przy recepcji wisi tablica z ogłoszeniami i tam wywiesili rozpiskę z pobliskiej parafii.

– I o której te z rana? – Muszę go ciągnąć za język, jakby się prosił, żebym go ciągle pytała. Atencjusz jeden.

– O siódmej, ósmej trzydzieści i dziesiątej trzydzieści, a ta ostatnia właśnie dla kuracjuszy – odpowiada i bierze łyk herbaty. Ciekawe, czy boi się pić kawę po incydencie na dworcu, zwłaszcza w obecności kobiety.

– To na dziesiątą trzydzieści możemy iść, żeby na spokojnie z rana zjeść śniadanie.

– To śniadanie też razem zjemy? – pyta, zaskoczony.

– Tego nie powiedziałam – ściągam go na ziemię. Co, jeszcze mu mało? I tak zaznał łaski, żem mu pozwoliła do mojego stolika zasiąść. Niech się poza tym tak nie przyzwyczaja.

– I tak tutaj będę, tak w razie co – zapewnia.

– Do kościoła pójdziemy razem, ale nie obiecałam, że siądziemy w jednej ławce – droczę się. – Jeszcze by mnie pan podsiadł albo całą ławkę zajął i co by to było?

Tadeusz śmieje się nisko.

– Pani nie odpuści z tą taryfą, prawda? – pyta i gładzi wąsa mokrego od herbaty.

– Nie odpuszczę. A przy okazji weź pan chusteczkę i wytrzyjże się pan pod tym nosem. Ludzie pomyślą, że panu gile wypływają.

Tadeusz dopija herbatę i posłusznie wykonuje polecenie. Kto by pomyślał, że go sobie tak wychowam. I to w parę dni. Oj, żeby tak Beatę się dało do pionu postawić, bo z nią to mam dopiero krzyż pański, a przecież ta już tyle lat po tym świecie chodzi i nic. Dejta spokój.

Kończę jeść i zanim wstaję, Tadeusz zbiera wszystkie naczynia ze stolika i bez słowa odnosi do okienka, a następnie wraca.

– Dziękuję pani za towarzystwo, lepiej smakuje, jak się z kimś siedzi przy stole – stwierdza. To akurat prawda, toć jak człowiek zasiądzie z rodzinką do stołu, to od razu obiad smaczniejszy.

– Fakt, ale pan to co? Czemu pan z tutejszymi innymi nie jada? Takiś pan rozgadany i żadnego kolegi żeś pan sobie nie znalazł? – zastanawiam się głośno.

Rzeczywiście, chyba nie widziałam, żeby dłużej z kimś gadał. Dzikus aspołeczny.

– Ano wie pani, człowiek nie z każdym jest w stanie złapać wspólny język, a te tutejsze chłopy to tylko o sporcie, polityce i piwsku. Nie powiem, sam lubię te tematy, ale niech pani powie, ileż można gadać o jednym i tym samym? – Tadeusz wskazuje dłonią na wyjście i czeka na mój ruch. Proszę, proszę, znowu mnie przepuszcza. Wychodzę ze stołówki, a on idzie za mną.

– To co? O dziesiątej w holu? – pyta.

– Może być.

– W takim razie miłego dnia i do jutra. – Tadeusz żegna się i lekko pochyla głowę. Mam nadzieję, że umyje ten łeb na niedzielę. – Ja uciekam, bo mam niedługo zabieg. Miłego dnia pani życzę.

– Również.

Tadeusz odchodzi i znika na schodach. Może zaczął unikać windy po naszym zamknięciu.

– Proszę, proszę, kochana, świetny pomysł! – słyszę znajomy głos, który brzmi znacznie milej niż wczoraj wieczorem.

Odwracam się i zauważam iskierki w oczach Rudej.

– O, Elwirka! – Udaję entuzjazm.

– Myślałam, że będziesz chciała odchudzić tylko kobiety, ale ten facet z dworca też może być! Jak, twoim zdaniem, nada się? No i jak ta babka z wczoraj? – dopytuje.

Zapomniałam przygotować jakąś wymówkę. Przecież nikogo wczoraj nie próbowałam wkręcić do tej dietostopowej sekty.

Kątem oka zauważam doniczkę stojącą pod ścianą.

– Ceramika, proszę ja ciebie – rzucam. – Tak, tamta kobieta była wicedyrektorką firmy ceramicznej, chyba gdzieś w Opocznie, nie pamiętam, w czym się specjalizowali, ale…

– Nieważne – przerywa mi Ruda i przybiera rozczarowaną minę. – Grube ryby to nie są bezpieczne klientki dla naszej działalności.

Uff, wybrnęłam, kupiła to.

– A jak z tym facetem? – docieka.

– Oj nie, nie gadaliśmy, znaczy zaczepił mnie, ale chciał się tylko dowiedzieć, jak było na dancingu – kłamię i zmieniam temat: – A ty jak się bawiłaś?

– Wczoraj? Bardzo dobrze, ale muszę już lecieć, bo mam spotkanie z… – Zawiesza głos. – Kuzynem. Przywiezie mi kilka rzeczy, których nie wzięłam z domu. Skleroza nie boli, prawda?

Ruda żegna się krótko i wychodzi na dwór.

Mhm, no na pewno, a pod okiem czołg mi jeździ i strzela. Gdybym wczoraj nie podsłuchiwała zza żywopłotu, to jeszcze bym kupiła tę bajeczkę, ale pamiętam, że przecież mówiła coś o dostarczeniu towaru na poniedziałek. Może ten dostawca nie pracuje w niedziele, więc dostarczy towar dzisiaj? Ciekawa jestem, co to będzie, więc biorę głęboki wdech, odczekuję trochę i wychodzę na zewnątrz za Rudą.

Po ogrodzie spaceruje całkiem dużo osób. Co prawda słońca nie ma, bo chmury dalej zakrywają całe niebo, ale nie pada i jest przyjemnie. Żałuję, że nie mam stroju kamuflażowego jak jacy wojskowi, żeby się nie rzucać w oczy. Mam nadzieję, że Ruda nie zwróci na mnie uwagi. Muszę być niezauważalna, inkoguto.

Na wszelki wypadek przypatruję się pensjonariuszom uważniej, ale nie dostrzegam wśród nich nikogo z kółka adoracji. Zastanawiam się, czy żaby zostały do końca dancingu, czy może wróciły wcześniej. Przecież jakbym jadła tak mało

jak one, tobym siły nie miała ustać na parkiecie. Bym do Anny Jantar padła po pierwszym refrenie.

Ruda dziarskim krokiem zbliża się do głównej bramy, przy której stoi całkiem ładny czarny samochód. Założę się, że jakby ta sytuacja miała miejsce kilkadziesiąt lat temu, toby podjechała czarna wołga, co to się nią straszyło dzieci. Podjeżdża taka i raz-dwa, dziecko porwane.

Ruda zatrzymuje się przy samochodzie, kiedy nagle otwierają się drzwi, a ja momentalnie się cofam i chowam za pobliskim krzewem róży. Kierowca wysiada i bierze Rudą w ramiona, a następnie całuje ją tak, jak na pewno nie całuje się kuzynki, co to, to nie!

BOŻE, BEATA!

W SIECI FAŁSZU I BUJD

Czyli Ruda znów mnie okłamała. Jest jak pająk, który wabi żaby niczym muszki!

Niestety stoję za daleko, by podsłuchać, o czym gadają fałszywi kuzyni, ale przynajmniej wszystko dobrze widzę.

Mirek, jeśli faktycznie tak ma na imię, wreszcie odsuwa się od zaślinionej jak buldog Rudej i wyciąga z bagażnika wielką torbę. Razem zaglądają do środka, coś tam jeszcze gadają, wreszcie wtedy Ruda wyjmuje kopertę, którą Mirek chowa do kieszeni marynarki. Dam głowę, że w kopercie nie ma uroczej kartki z życzeniami, tylko gotówka od klientek. A torba zapewne skrywa zapas Dietostopu.

Rozglądam się dookoła i zastanawiam, jak to możliwe, że nikt nie zwraca na to uwagi. Toć dwoje ludzi, niezbyt ładnych przy okazji, przekazuje jedno drugiemu jakiś towar i nikt nie reaguje?

W tym samym momencie przed bramę podjeżdża zielony samochód i parkuje koło auta Mirka. Ze środka wysiada młody chłopak, a mnie mija jakaś babka. Podbiega radośnie do chłopaka – może to jej syn? – i odbiera od niego reklamówkę z owocami. No tak, już rozumiem. Toć jesteśmy w sanatorium, a to prawie to samo co szpital. Goście przywożą pacjentom jedzenie czy ubrania, więc to normalny widok.

Cwaniaki z nich, myślę sobie. Zamiast kryć się po kątach, to realizują swój plan w blasku dnia. Tylko chyba im do końca nie wyszło, bo co widziałam, to

widziałam. Oj, Ruda, mogłaś się chociaż obejrzeć, sprawdzić, czy cię nikt nie śledzi, małpo jedna.

Mirek wsiada do auta, więc najwyższa pora się zwinąć, ale po szybkiej analizie otoczenia dochodzę do wniosku, że krzew róży jest akurat najlepszą możliwą kryjówką w promieniu kilku metrów. Dookoła same niskie rabaty i krzaczki, a Ruda już wraca do ośrodka. Jak się stąd wychylę, to po mnie. Zapytałaby wtedy, co robię w tej róży, i co bym jej miała odpowiedzieć? Że się musiałam wysikać? Toć to nie pole kukurydzy podczas pielgrzymki na Jasną Górę.

Kucam z wysiłkiem i pewnie przy tym wyglądam jak pokurczony rosomak. Jeszcze jak na złość kolce robią mi dziury w podkolanówkach i wbijają się w skórę.

Ruda przechodzi ogród i wraca do sanatorium. Pewnie zaraz znów zacznie polować na babki do odchudzenia.

Wstaję z wysiłkiem i oglądam pokłute nogi. Podkolanówki do wyrzucenia, na szczęście z zadrapań nie sączy się krew. Jeszcze bym tu zemdlała i co by było?!

Wracam do środka i jak najszybciej przechodzę pod ziejącą lodowatym powietrzem klimatyzacją. Zerkam na recepcję, bo spodziewam się złośliwego uśmiechu Piegowatej, ale dziś jej nie ma, pewnie poszła na solarium. Mam nadzieję, że się spali jak sernik Beaty na każde święta.

W pokoju wygrzebuję z kosmetyczki wodę utlenioną i przemywam ranki. Dezynfekcja to podstawa, cholera wie, kto się jeszcze nadział na te kolce.

BOŻE, BEATA!

MAFIA DIETOWA, CZYLI MARNE SKUTKI NADMIARU SERIALI

W pokoju na wszelki wypadek zamykam okno, żeby nikt mnie nie podsłuchał. Wybieram numer Beaty i przez następne kilkanaście minut opowiadam jej o śniadaniu z Tadeuszem i tej akcji z kuzynem przy bramie.

– Boooże, Beata! Jak żyję, tak nie miałam, żeby się tyle rzeczy naraz działo – mówię do słuchawki. – Toć to przecież jak jakiś film!

– Masz rację, ale proszę cię, nie wpakuj się w żadne kłopoty – ostrzega mnie. – Nie wiadomo, co ten Mirek ma za uszami.

– Przecież ich nie będę jakim motocyklem ścigała, no co ty. Tak się akurat złożyło, że usłyszałam, o czym mówią – bronię się.

– Ciebie ta ciekawość kiedyś do piekła zaprowadzi. A jak to jaka mafia?

– Mafia dietowa? Boże, Beata, tyś się za dużo tych seriali naoglądała!

Ciekawe, czy któraś z żab będzie na obiedzie. Od rana ich nie widziałam, nie przyszły na śniadanie, nie spacerowały po ogrodzie, na żadną nie natknęłam się na korytarzu. Może miały zabiegi, ewentualnie Ropucha pożarła pozostałe.

– To co, idziesz do kościoła z tym facetem? – Beata zmienia temat. I niby to ja jestem ta ciekawska?

– No chyba pójdę. I tak się wybierałam, niedzielną mszę bym miała opuścić? No coś ty – odpowiadam. – A tak to przy okazji będzie do kogo usta otworzyć, bo z Rudą to ja już nie chcę mieć do czynienia, na złą drogę mnie sprowadzi jak jaki Lucyfer. Rokowała na dobrą koleżankę i co? Sama jestem jak palec.

– No a ta twoja współlokatorka?

– No toć ci mówiłam, że sama mieszkam! Boże, Beata. Uszy to się myje, a nie płucze zalewajką i trzepie o wannę. – Wzdycham głęboko, bo przecież ona mnie wykończy.

– Do bankomatu nie zapomnij zajść.

– Spokojnie, wypłaciłam pieniądze przed wyjazdem – mówię. – Nie wiedziałam, czy tu jaki bankomat blisko ośrodka znajdę, a ja się po mieście szlajać nie będę. Jak myślisz, ile dać na tacę?

– Tyle co zawsze?

– Nie no, jak? Toć to obce miasto, obca parafia, to mniej trzeba dać. Nie będę sponsorowała tutejszych remontów –
prycham. – Na renowację schodów w naszym kościele trzeba dużo wrzucać, a tu to o! Pięćdziesiąt wystarczy.

– Może ty powiedz o tym doktorowi?

– Doktorowi? – dziwię się. – Po kiego grzyba mam mówić lekarzom, ile na tacę wrzucam?

– Nie o tacy, tylko o tych lekach – wyjaśnia Beata.

– A, o tym! No bo zmieniasz te tematy co chwilę jak brudne gacie. Weź ty się, Beata, zdecyduj.

Przecież nie polecę naskarżyć jak mała dziewczynka, że koleżanki z przedszkola mają podejrzane cukierki. Muszę w pierwszej kolejności zdobyć jak najwięcej informacji. Taki Dawid to by mi może i uwierzył od razu, ale doktor Jarząbek jest zbyt wysoko postawioną personą, żeby mu teraz głowę zawracać.

– A jak się czujesz tak ogólnie? Dobrze?

– A dej spokój.

Paplamy jeszcze przez jakieś dziesięć minut o wszystkim i o niczym, a następnie się żegnamy – zaraz obiad.

Jak zwykle schodzę wcześniej, żeby nie stać Bóg wie ile w kolejce. Mam nadzieję, że nie trafię na Rudą, bo będę musiała sobie nałożyć minimalną porcję,

żeby utrzymać ją w przekonaniu, że zażywam Dietostop.

Na szczęście obiad jem w spokoju, a kiedy na stołówkę wchodzi Wata Cukrowa, na moim talerzu zostaje już tylko trochę buraczków.

– O, już zjadłaś? – Wata dosiada się do mojego stolika. Zerkam, co tam sobie nałożyła: garść sałatki, dwa liche ziemniaczki i malutki kawałek mięsa. – Trochę przesadziłam, pewnie miałaś mniej.

– Nie, nawet podobnie – kłamię i zmieniam temat. – Nie miałam okazji spytać: jak się bawiłyście?

– Oj, świetnie, ci powiem! A co więcej – nachyla się bliżej – udało mi się poznać dwie urocze kobitki! Tylko Czesia wróciła wcześniej do pokoju, nie widziałam jej dzisiaj.

Pewnie właśnie opycha się zawartością torby od Mirka. Po co Rudej werbowanie nowych klientek, skoro Ropucha to źródełko bez dna?

– O masz. A to coś się stało?

– Chyba źle się czuła, jakaś taka blada była – odpowiada, niezbyt przejęta. – Ale co ty? Kompot pijesz? Za dużo cukru tam. – Wata Cukrowa wskazuje palcem na resztkę czerwonawego płynu w mojej szklance.

– A wiesz, coś mnie ćmiło i chyba mi cukier spadł, to sobie nalałam naparsteczek. – Macham ręką. – A Czesia to może z głodu taka słaba? – podsuwam jej myśl.

– Czesia? E tam, twarda babka, pewnie była zmęczona od tańców.

Albo zasłabła od pustego żołądka, bałwanico z cyrkową przekąską na głowie.

– Powiedz lepiej, jak tobie idzie – zagaduję.

– Bardzo dobrze, chudnę przyzwoicie, jeść mi się nie chce. Zużyłam już prawie całe opakowanie, później jestem umówiona z Elwirką, ma mi sprzedać kolejne. Kto by pomyślał, że nam taka manna z nieba spadnie tutaj, prawda? – Wata Cukrowa ekscytuje się jak małpa na widok banana.

– No manna, manna – powtarzam po niej.

– A co więcej! Udało się zapoznać kandydatki do sprzedania leku! Zarobimy, że hej! Może sobie nową suszarkę kupię…

– A kiedy Elwirka ma zaakceptować i przedstawić nam te nowe koleżanki?

– Tego nie wiem – mówi z pełną buzią. Na litość boską, toć jak pies je, to nie szczeka. – Ale zastanawiam się, czy w ogóle będzie jak się spotkać w większym gronie, w końcu tyle ludzi się nie zmieści w jej pokoju. Choć w sumie nie muszę iść tam drugi raz, przecież wiem już wszystko, co potrzeba.

Nagle doznaję olśnienia. Jeśli Ruda zorganizuje kolejne spotkanie, na którym zaczaruje gości ckliwą historyjką o nadwadze, to wśród uczestników na pewno znajdzie się – przypadkiem albo nie – ktoś, kto chociaż w połowie będzie dorównywał mi inteligencją i nie łyknie tego wszystkiego jak rybka haczyk. Może taki Dawid? Zyskam drugą osobę, która coś podejrzewa, a jak dodamy do tego moje zeznania z podsłuchań w ogrodzie, to wtedy doktor Jarząbek na pewno mi uwierzy. Pytanie tylko, skąd wezmę w tym ośrodku kogoś rozgarniętego. Prócz Rudej, żab i Tadeusza nie znam tu nikogo. Dawid po weekendzie kogoś mi wskaże. W końcu dałam mu krówkę, a wiadomo, że słodycze to najlepsza łapówka. Mi nie odmówi.

Po obiedzie Wata Cukrowa wybiera się do ogrodu, żegnam się więc i idę w kierunku schodów, mijam nieszczęsną windę. Dowiodę, że Ruda coś knuje, jak bum-cyk-cyk w pacierzu! Muszę ją wkopać, zanim namiesza w życiach innych tym swoim Dietosrarulanem. Trzeba tylko poczekać na Dawida, żeby mi pomógł, a wtedy szast-prast. Doktor Jarząbek zgłosi sprawę gdzie trzeba i Elwirkę wyrzucą z Bursztynka, a ja w końcu będę się mogła skupić na zdrowiu. A jeśli o skupieniu mowa, to mam nadzieję, że jutro Tadeusz nie będzie za głośno oddychał na mszy, bo się nie skupię podczas modlitwy.

Nagle w głowie kiełkuje mi pewna myśl. Pewnie sam diabeł mi ją podsunął, ale skoro Tadeusz tak się mnie uczepił, to może zechce mi pomóc przyłapać Rudą?

BOŻE, BEATA!

JAKIE CUDNE TE ROKOKOKO I REZONANSE

Następnego dnia wybieram na śniadanie jajecznicę z solidną porcją kiełbasy z cebulką. Do tego pomidor i dwie małe bułki. Gośka lubi jajecznicę z ketchupem, ale dejta spokój, ta to zawsze ma jakieś wymysły. Ketchup na kanapkę czy do frytek pasuje, ale tak na jaja? Ach, gdyby to kury widziały, oj, wydziobałyby jej oko.

Dzisiaj ponownie na szczęście nie muszę się kryć z jedzeniem, bo Rudej i żab ani widu, ani słychu, a trzeba się najeść przed spacerem do kościoła. Niby nie aż tak daleko, ale siły muszę mieć. Może śpią w najlepsze albo poszły do kościoła na siódmą. Rudej to spowiedź nie pomoże, z niej taka diablica, że tylko egzorcyzmy coś dadzą.

Po śniadaniu wracam do pokoju, zmywam twarz i na nowo nakładam makijaż. No co, toć nie będę tak samo wyglądała wtedy i teraz! Oczy maluję jasnymi cieniami i tuszuję rzęsy. Usta smaruję szminką w koralowym odcieniu. Król Karol kupił królowej… Lakieruję loki, żeby nie skapcaniały na upale, a policzki przykrywam różem. Wybieram perłowe klipsy wraz z naszyjnikiem do kompletu. Co jak co, ale do kościoła zawsze się trzeba ładnie ubrać, więc wyciągam z szafy elegancką beżową garsonkę.

Wkładam podkolanówki i wygodne buty na niskim obcasie, a do torebki na wszelki wypadek chowam parasolkę. W telewizji nie zapowiadali na dzisiaj deszczu, ale nigdy nie wiadomo. Przecież nie zliczę, ile to razy człowiek prognozę

oglądał i obiecywali na przykład deszcze, a przez tydzień susza jak w jakim kanionie w Koloradio.

Za chwilę powinnam być na dole, więc spryskuję się jeszcze perfumą i zamykam pokój. Ostrożnie schodzę po schodach – jeszcze tego by brakowało, żeby mnie do kościoła na noszach zanieśli.

Siadam na fotelu niedaleko recepcji i spoglądam na zegarek. Jeszcze dwie minuty i Tadeusz się spóźni. Mogłam się tego spodziewać, bo nie nauczyłam go jeszcze punktualności, na razie tylko przepuszcza mnie w drzwiach. A niech przyjdzie chociaż minutę po czasie, to znowu zostanie Taryfowym Gburem. Albo nie! Zegarkowym Gburem! Tak!

Szczęśliwie dla niego zjawia się punktualnie, a wraz z nim zapach wody kolońskiej. Nawet ładny. Na pewno nie kosztowała tyle, ile ta, którą pryskał się Stasiek, ale i tak jest nawet przyzwoita.

Przyglądam się jego ubraniu w obawie, że przyniesie mi wstyd. Ale nie, o strój też zadbał. Pod ciemną marynarkę założył jasnożółtą koszulę i ciemnofioletowy krawat. Spodnie ma do kompletu, a na nogach skórzane, świeżo wypastowane czarne pantofle. Nie powiem, wygląda całkiem, całkiem. Kiedyś Gośka zwróciła mi uwagę, że na eleganckie skórzane męskie buty mówi się „półbuty”, a nie „pantofle”, że niby pantofle to kapcie. A gdzie tam! Toć u nas od pokoleń pantofle to te, co na wesela czy do trumny nieboszczykowi się wkłada, a kapcie to te, co się po domu w nich ciunta. Mam takie wygodne z Zakopanego, podszyte futerkiem, w sam raz na jesień i zimę. A latem noszę takie przewiewne, abażurkowe.

– Dzień dobry. Wygląda pani bardzo ładnie – mówi Tadeusz. – Aż żałuję, że nie widziałem pani na dancingu.

– Dzień dobry… i dziękuję. – Przyjmuję komplement, bo wiem, że dobrze wyglądam, to raz, a dwa: dawno nie usłyszałam komplementu od mężczyzny. – Pan też.

Oczywiście codziennie słyszę od Kubusia, jaką to jestem najwspanialszą ciocią na świecie, a jak pysznie gotuję, a jak cudownie śpiewam w kościele i takie tam.

Ale tak żeby dorosły mężczyzna mnie pochwalił za wygląd, to już jakiś czas nie słyszałam, a to miłe.

– To jak? Ruszamy? – Tadeusz wskazuje na wyjście. – Nie wiadomo, jak dużo mają ławek, a stać niewygodnie.

– A klękać jeszcze gorzej. Też pana denerwuje, jak ludzie kładą buciory na klęcznikach? No toć co mszę muszę kolana otrzepywać z piasku.

Wychodzę pierwsza i po szybkiej analizie temperatury jestem pewna, że Tadeusz się zgrzeje w tej marynarce, zwłaszcza że ciemne przyciąga słońce.

– Jakoś nigdy nie zwracałem uwagi, no chyba że zimą, bo wtedy śniegu nanoszą i wszystko mokre.

– Może niech się pan rozbierze, bo pan się nie doczłapiesz do tego kościoła – radzę. – Jeszcze pan cały mokry będziesz i pot tę pana wodę kolońską zabije.

Tadeusz posłusznie ściąga marynarkę, składa na pół i przewiesza przez odkryte przedramię, bo koszula ma krótki rękaw.

– Czuje pani?

– Cały Ciechocinek pewnie czuje, żeś się pan tak wypachnił.

Spokojnym krokiem opuszczamy teren sanatorium i zmierzamy do kościoła, a ja rozglądam się po okolicy. Ładnie tu, nie powiem. Podziwiam donice z kwiatami i witryny sklepików z pamiątkami, a w pewnym momencie dostrzegam za drzewami krzyż na jednej z dwóch wież świątyni. Do kościoła jeszcze kawałek, bo krzyż wydaje się drobny, ale dojdę bez problemu.

Rozmawiamy o rehabilitacjach, uprawie warzyw, wysokich cenach prądu i ogółem o zdrowiu. Jestem pod wrażeniem, że Tadeusz nie wchodzi mi w słowo i daje dokończyć wypowiedzi. Toć mało kto się taki znajduje, żeby słuchać grzecznie i uważnie, a nie jak przekupy na targu – wtrącać się i przekrzykiwać.

Zastanawiam się, z czego się ten gach utrzymuje. W sumie nie miałam kiedy zapytać, a z początku to nawet nie zamierzałam go poznawać jakoś bardziej.

– A jeśli mogę zapytać, co pan robi w życiu? Pan pracuje?

– Tak. Znaczy teraz mam przerwę, bo wiadomo, człowiek sobie szkód narobił w robocie, a ja się zajmuję budowlanką – odpowiada, kiedy wyprzedza nas jakaś parka z wózkiem. Pewnie też idą do kościoła, może powinniśmy przyspieszyć, żeby tych ławek starczyło. Patrzę jednak na zegarek i jeszcze dużo czasu do mszy. – Poza tym wykończenia wnętrz, tu kafelki położę, a tam jakie kable podłączę, rurę wymienię i takie różne. Jak się robota znajduje, to łapię.

– Czyli złota rączka – podsumowuję.

– Można tak powiedzieć. Kiedyś mnie ojciec do mechaniki przekonywał, nawet dobrze mi szło, ale jak zdałem prawo jazdy, to jakoś miesiąc później miałem wypadek, niegroźny na szczęście, ale odechciało mi się zajmować samochodami – wyjaśnia.

– Ach, rozumiem.

– Więc poszedłem do roboty, do której miałem smykałkę. Nawet z bratem kiedyś firmę mieliśmy, ale zmarł jakieś dziesięć lat temu, więc odpuściłem. – W jego głosie wyczuwam pewien smutek. – Zatem mówię: jak wpada mi jakieś zlecenie, to biorę.

– A nie myślał pan kogoś zatrudnić? – Nie znam się na tym, bo nigdy nie miałam własnej firmy, ale na jego miejscu tak bym właśnie zrobiła.

– Po śmierci Waldka trochę się podłamałem i nie miałem głowy do tych wszystkich papierów – tłumaczy. – Wolałem zamknąć interes i mieć spokój, tak mi też siostra doradzała.

– Toć jasne, spokojna głowa przede wszystkim.

Przez resztę drogi Tadeusz opowiada o śmiesznych sytuacjach, które spotykały go w pracy, a także o różnych miejscach, w których musiał wykonać zlecenia. Okazało się, że czasami jeździł do Niemiec czy Francji i tam na przykład wykańczał pokoje w drogich hotelach albo wykładał kafelki w łazienkach nowych mieszkań. Jakbym to ja miała coś takiego zrobić, tobym pewnie stanęła i załkała. Toć to Stasiek był od napraw i usterek. Ja miałam zdolności do innych manualnych robótek, jak wyszywanie.

Muszę przyznać, że nawet mi nie przeszkadza (o dziwo), że tak się rozgadał. Widać, że potrzebował się komuś zwierzyć.

Droga zleciała nie wiedzieć kiedy, bo właśnie wchodzimy na teren kościoła.

– O, jesteśmy, ale szybko – zauważa Tadeusz, chyba nieświadomy, że to jego gadulstwo „przyspieszyło" spacer.

Przed nami stoi dumna kolegiata Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Nazwa od razu przywołuje mi na myśl tych Mroczków z *M jak miłość*. Piotr i Paweł to chyba najpopularniejsze imiona dla bliźniaków, toć co druga matka wybiera ten komplet. Ale to dobrze, to tak po bożemu przynajmniej.

W środku wita nas miły chłodek. Klękamy i żegnamy się, a Tadeusz podziwia wnętrze.

– To neogotycki styl – szepcze do mnie.

– Neo… co? – Nie rozumiem.

– Styl, w którym została zbudowana ta kolegiata, określa się jako neogotycki. Tak jak są barokowe, gotyckie…

– A tak, i te rokokoko, i rezonansowe takie, coś kojarzę, ale nigdy nie byłam dobra z geografii.

Tadeusz parska śmiechem, co przyciąga spojrzenia wiernych siedzących w ławkach. Szturcham go łokciem, żeby się uspokoił.

– Renesans, droga pani, nie rezonans. O tym akurat się nie uczyłem.

Wybieramy pustą ławkę z przodu, po prawej stronie.

– Uczył się pan o architekturze? – pytam szeptem.

– Tak, poza tym także trochę o historii sztuki, a w wolnym czasie coś zmaluję.

– Ja też lubię raz na jakiś czas ściany odświeżyć, zawsze to człowiek się lepiej czuje, jak nowe kolory do chałupy zawitają.

– To też, ale nie o takie malowanie mi akurat chodziło. Maluję pejzaże – odpowiada, a ja nadstawiam ucha. – Głównie morskie, ale zdarza się też, że maluję lasy albo łąki.

No proszę, a nie wygląda! Kto by pomyślał: wąs jak u jakiego budowlańca, a tu lasy, łąki…

Siedzimy w milczeniu, a po kościele roznosi się tylko echo obcasów, kaszlenia i smarkania w chusteczki. Patrzę na czysty sufit i zastanawiam się, czy gdyby tu postawić rusztowanie, to Tadeusz namalowałby jakie freski jak w kaplicy Sykstyńskiej.

Oj, marzy mi się, żeby tak kiedyś kto na suficie nad moją wersalką jakie *Stworzenie Adama* namalował. Tylko bez jabłka, bo mi się jeść w nocy będzie chciało, no i bez węża kusiciela, bo jak się przebudzę i takiego gada zobaczę, to krzyknę wniebogłosy. No i żeby ten Adam goły nie był, bo jakby ksiądz proboszcz przyszedł poświęcić ten fresk, toby się za głowę złapał, że ja nagusieńkich absztyfikantów nad głową umieszczam.

– Zaskoczyłem panią? – dopytuje Tadeusz.

– Owszem – przyznaję. – Nie spodziewałabym się po panu takich zdolności. Myślałam… – Ściszam głos.

– Że jestem jakiś niedorajda albo inny cymbał?

– Nie to miałam na myśli… – próbuję się bronić, ale toć nie moja wina, że zrobił tak złe pierwsze wrażenie.

– Oj, miała pani. Dlatego teraz staram się pokazać z lepszej strony.

Tadeusz jakby czeka na moją odpowiedź, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Z opresji na szczęście ratuje mnie dźwięk dzwonków na znak rozpoczęcia mszy.

Eucharystia przebiega całkiem sprawnie, a tutejszy ksiądz wygłasza kazanie z sensem, chociaż mógłby iść do jakiego logopedy, bo sepleni jak Kubuś, kiedy mu mleczne zęby wypadły. W tym czasie wymykam się do spowiedzi i zdanżam wrócić przed zbieraniem ofiary.

Tadeusz robi wielkie oczy na widok banknotu, który powoli i dostojnie wrzucam na tacę, kiedy on wyciąga z kieszeni monetę pięciozłotową.

– Powodzi się pani, widzę – szepcze do mnie.

– Nie ma co oszczędzać na zbawieniu – odpowiadam głośno, żeby inni dookoła usłyszeli.

Tadeusz wyciąga do mnie rękę na znak pokoju i delikatnie ją ściskam. Jego dłoń jest ciepła, a także wydaje się silna i taka jakby… muskularna? Sama nie wiem, czy można tak powiedzieć. Czy dłonie w ogóle mają mięśnie? Żyły to wiem, bo widać pod skórą. Pewnie sobie wyrobił te dłonie na budowie, bo przecież to jego narzędzia pracy. Taki Robert Korzeniowski to ma przecież łydki
ze stali.

Może i Tadeusz ma jakiś talent do malowania, ale do śpiewania jest ostatni. Staram się śpiewać głośniej niż zwykle, by trochę przykryć to jego pianie.

Przyjmujemy błogosławieństwo, msza się kończy i wychodzimy na placyk przed kościołem. Intensywne słoneczne światło każe nam zmrużyć oczy.

– No, msza zaliczona – komentuje Tadeusz.

– Od razu lepiej na duszy. To jak, wracamy?

– Wie pani, tak sobie pomyślałem, że skoro taka piękna pogoda się zrobiła, to może byśmy się przeszli kawałeczek? Tu niedaleko jest ładny park i fontanna, a chętnie odpocznę od tego sanatoryjnego powietrza, dobrze czasami zmienić otoczenie – proponuje.

– Sama nie wiem, trochę już żeśmy dzisiaj kroków narobili…

– To naprawdę niedaleko – zapewnia. – Zahaczymy jeszcze o ławeczkę Mieczysławy Ćwiklińskiej, bo po drodze.

– Tej aktorki?

– Tak, ponoć to była jej ulubiona ławka tutaj – wyjaśnia Tadeusz, który chyba zauważył, że zaczynam się przekonywać.

– No dobrze, możemy pójść – zgadzam się. – Ale żebyśmy zdążyli wrócić na obiad, bo jak jestem głodna, to się robię zła.

– Ma pani moje słowo. – Kładzie rękę na klatce piersiowej. Swojej oczywiście.

– Dobrze, zatem niech pan prowadzi.

Miał rację, bo droga do ławeczki zajmuje dosłownie kilka minut. Trochę się bałam, że jak powiedział „niedaleko”, to się okaże dalej niż spod Jasnej Góry do Ciechocinka. Toć wiadomo, że faceci mają inną prospektywę. No ale upiekło się Tadeuszowi, że miał rację co do odległości, bo inaczej musiałby mnie targać na barana.

Metalowa ławeczka okrąża piękną sosnę. Umieszczona jest jakby dookoła drzewa, co przypomina mi te takie ogrodzenia, żeby psy nie podchodziły za potrzebą.

– Myślałam, że jest bardziej efektowna – mówię do Tadeusza, który wygląda, jakby się bał podejść do miejsca pamięci.

– Ano wie pani, ma kopę lat – odpowiada i odsuwa się trochę, by nie zasłonić widoku jakiemuś facetowi, który robi zdjęcie. – Usiądziemy?

– Nie no, jak? – prycham. – Toć to jak eksponat, nie powinno się chyba. Jeszcze się jakie rysy porobią czy co, trzeba szacunku trochę.

– To tylko ławka – wtrąca facet z aparatem. – Wszyscy siadają.

– Pytał kto pana o zdanie? – rzucam do intruza. I mówię znów do Tadeusza: – Chodźmy już, bo tu kultury nie idzie zaznać, sami ignoranci.

– Nie musiała pani tak mówić, dopiero co z kościoła wyszliśmy – zwraca mi uwagę Tadeusz, kiedy oddalamy się od ławeczki.

– Musiałam, poza tym to w słusznej sprawie. Ćwiklińska się pewnie w grobie przewraca, jak widzi te mokre od letniego ukropu kupry, które bezczeszczą jej ukochane miejsce – wyjaśniam, jakby to nie było oczywiste. – Jak do niej kiedy dołączę – wskazuję palcem w niebo – to na pewno mi podziękuje.

Droga do słynnej fontanny w kształcie grzybka (mam nadzieję, że to nie taki z gatunku maślaków) jest dłuższa niż spod kościoła do ławeczki, ale nie ma tragedii. Rzeczywiście, w tym Ciechocinku ma się wrażenie, że wszystko jest blisko siebie.

Na środku skwerku dumnie prezentuje się owa wodna atrakcja, którą otacza właśnie motłoch kuracjuszy. To pewnie taki tutejszy znak rozpoznawalny, jak ta

blaszana wieża Bajgla w Paryżu.

– Mam prośbę – zwracam się do Tadeusza. – Zrobiłby mi pan zdjęcie na tle tej fontanny? Miałam robić zdjęcia, ale jak zawsze zapomniałam, a przecież bliskim trzeba pokazać, a potem się do albumu jakiego wywoła.

– Oczywiście. Niech mi pani da swoją komórkę i się pani ustawi, o tam. – Pokazuje.

Sięgam do torebki.

– Tylko niech mi pan jej nie ukradnie, toć wiem, gdzie pan teraz mieszkasz – zaśmiewam się, ale gdzieś w głębi duszy się boję, bo cholera wie, czy mi nie zwieje z tym telefonem.

– Bez przesady. To co, robimy to zdjęcie?

– Tak, tu masz pan aparat. – Zaczynam odblokowywać telefon, kiedy Tadeusz mi go zabiera.

– Przecież już pani latarkę w windzie włączałem, wiem, jak ten model działa.

O proszę, jaki wszechzdolny. Budowlaniec, architekt, malarz, telefonista. Wierzyć się nie chce, że wolny.

Czekam, aż dwie babki odejdą wreszcie od fontanny, i staję w bezpiecznej odległości. Toć to nie pora na bycie mokrą, śmigus-dyngus już dawno za nami.

– Uśmiech! – słyszę krzyk Tadeusza, więc szczerzę się niczym aktorka na czerwonym dywanie. Nie widzę za bardzo pod słońce, ale jestem pewna, że wszyscy dookoła spoglądają na mnie jak na najjaśniejszą gwiazdę. O! Patrzcie, jaka gwiazda przyjechała do tego waszego sanatoryjnego Paryża.

Przecieram oczy i wracam do Tadeusza, który pokazuje mi zdjęcia. Nawet ładnie zrobione, nie powiem.

– Co? Fotografem też pan jest? Ja takich równych tych zdjęć nie umiem robić – dziwię się.

– Nie, wystarczy prosto trzymać ręce.

– A bo wie pan, na stare lata się telepią, ale panu chyba to nie dolega?

Domyślam się, że jakby mu się ręce trzęsły, toby nie mógł za bardzo z jaką szlifierką pracować, czy co to tam mają. To tak samo jak chirurdzy, bo przecież nie wyobrażam sobie, że jakbym leżała na jakim bloku operacyjnym, to mój lekarz by skalpela nie był w stanie utrzymać. Tadeusz to z takim problemem najwyżej by gwóźdź koślawo wbił, ale taki chirurg to wbiłby gwóźdź do trumny.

– Nie, nie trzęsą się.

– Może siądziemy? – proponuję. – Tam się właśnie ławka zwolniła, a jużem się trochę zmęczyła tym spacerem.

Siadamy na jedynej wolnej ławce, a ja dostrzegam, że jakiś facet z papierosem w ręce ewidentnie zmierzał do tej samej. Na szczęście byliśmy szybsi, ale kiedy gość się odwraca i odchodzi, przeszywa mnie dreszcz.

– Mirek. – Łapię się na tym, że wypowiadam jego imię na głos zamiast w myślach.

Mirek na szczęście jest już daleko, więc nie ma jak mnie usłyszeć. Opuszcza park szybkim krokiem.

– Jaki Mirek? Znała pani tego faceta? – W głosie Tadeusza wyczuwam ciekawość… a może i nutkę zazdrości?

– A nikt taki. – Żałuję, że nie zmilczałam. Mam wrażenie, że teraz Tadeusz mi nie odpuści.

– Nie umie pani kłamać – stwierdza, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Co pan, fotoradar jakiś? Mierzysz mnie pan tymi oczami… – Nie kończę, bo nagle czuję się speszona.

– Może mi pani powiedzieć, śmiało. – Tadeusz ma teraz łagodny głos, przez który mam ochotę mu się wygadać z tych całych ceregieli z ostatnich dni.

Niby trzymałam te wszystkie opowieści dla Dawida, bo Beacie jużem opowiadała przez telefon, ale przecież z niej taka słuchaczka jak z Maślakowej Miss Polonia.

Tylko co niby miałabym mu powiedzieć? Że podejrzewam kuracjuszkę o jakieś nielegalne handle dziwnymi lekami na odchudzanie? Jeszcze by mnie za wariatkę

jaką wziął, chociaż z początku pewnie i tak o mnie myślał w ten sposób.

Mam teraz mętlik w głowie, bo co, jeśli – tak hipnotetycznie – Tadeusz pracuje dla Rudej? Albo nie, gorzej! Ruda to jego siostra? Przecież z nią gadał, a imienia nie znam. A może on jest z nią w związku i tylko udają, że się nie znają, a on próbuje mnie przekabacić na jej rude bagno? A co, jeśli… Nie, stop. Robię wdech i wycieram kroplę potu ze skroni. Chyba się za dużo naoglądałam tureckich telenowel.

– Dobrze, powiem panu – decyduję się. – Ale musimy znaleźć trochę mniej tłoczne miejsce i musi mi pan przysiąść na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, że nikomu pan o tym nie powie.

– Dobrze – przytakuje Tadeusz, którego chyba zaskoczyły moje słowa, ale przybrał poważną pozę. – Jakieś jeszcze wymogi?

– Tak, tylko jeden. Nie weźmie mnie pan za wariatkę.

– Może być ciężko. – Tadeusz się uśmiecha, przez co kąciki ust same mi się podnoszą.

Zwalniamy ławkę i kierujemy się do mniej tłocznej części parku, gdzie ktoś przechodzi tylko co jakiś czas. Większość ludzi osacza fontannę, więc jest tu w miarę pusto.

Wybieram ławkę, siadamy, a następnie robię głęboki wdech.

– No więc tak: mamy do czynienia z mafią żab, to znaczy żaby nie wiedzą, że należą do mafii… No niech pan tak nie patrzy, już tłumaczę. Tylko niech się pan lepiej skupi, bo to historia rodem z *Ojca Mateusza*!

BOŻE, BEATA!

BOŻYSZCZE CIECHOCINKA

Nie wiem, co mam teraz myśleć. Z jednej strony czuję, że spadł mi z serca kamień wielkości Pałacu Kultury. Tak trudno mi było trzymać język za zębami i milczeć jak grób, jak grobowiec!

Jednakże z drugiej strony może niepotrzebnie się wygadałam. Bo co, jeśli Tadeuszowi też nikt nie uwierzy? No ale ostatnio sprawia wrażenie osoby, której można zaufać. Albo przynajmniej się wygadać. Muszę przyznać, nie przerwał mi ani razu, zadał tylko kilka krótkich pytań i słuchał uważnie jak ja podczas mszy listopadowej – kiedy czytają wypominki za zmarłych – żeby nikogo nie pominęli.

– I co pan myśli? Zwariowałam?

Tadeusz bierze wdech, poprawia wąs i patrzy w ziemię.

– Nie, ale musimy to gdzieś zgłosić – odpowiada poważnie. – Któremuś z lekarzy albo policji.

– Ale tłumaczyłam panu, że nie mam innych świadków. Tamte babki są tak zapatrzone w ten lek, że nie pójdą naskarżyć jak do jakiego pryncypała.

– Ja mogę być świadkiem – oferuje Tadeusz.

Chyba zdurniał!

– Jak świadkiem? Nigdzie żeś pan nie był, nic żeś pan nie widział.

– Ale razem moglibyśmy coś zdziałać.

– Tak, ale nie może pan kłamać. Jeszcze nas wezmą wszystkich na policję i podepną pod te radioaktory, co to wykrywają, że ktoś łże. Chajzer kiedyś taki

program prowadził.

– Tak, pamiętam. – Zamyśla się, po czym siedzimy chwilę w ciszy.

– Zróbmy tak – mówię w końcu, a Tadeusz prostuje się nagle, jakby usiadł na pinezce. – Wstrzymajmy się do jutra i razem pójdziemy do tego Dawida. On mi uwierzy i na pewno mi pomoże.

– Nam – poprawia mnie. – Nam pomoże, bo nie zostawię teraz pani z tym samej.

Gdzie się podział Taryfowy Gbur sprzed kilku dni?

– Dziękuję, naprawdę…

– Ależ nie ma za co. Cieszę się, że mogę jakoś pani pomóc. – Uśmiecha się szczerze i dyskretnie spogląda na zegarek. – No, nie chcę nic mówić, bo bardzo miło się spędza tę niedzielę na świeżym powietrzu, ale jeśli nie chce się pani spóźnić na obiad, to powinniśmy się zbierać.

– Faktycznie, zasiedzieliśmy się.

– Niech się pani nie obwinia, przynajmniej mogła się pani wygadać. – Tadeusz odpycha się rękami od ud, swoich oczywiście, i wstaje, a ja idę w jego ślady.

W drodze powrotnej do Bursztynka opowiadam mu trochę o sobie, ale jakoś tak zdawkowo, chyba dlatego, że już mu monolog długi jak diabły wcześniej strzeliłam.

W ogrodzie przed ośrodkiem tłumnie jak przy tej grzybowej fontannie. Nie dziwię się, pogoda rzeczywiście piękna. Założę się, że połowa tych ludzi nawet nie pomyślała o pójściu do kościoła albo chociaż do tej obskurnej kaplicy w sanatorium. Bezbożniki jedne. Ja to nawet jak na wakacjach w Czechosłowacji byłam, to w niedzielę do kościoła poszłam. A co z tego, że nic nie rozumiałam, ale przynajmniej byłam. Do dzisiaj pamiętam, jak się witali tym ich „ahoj”, jak Krecik.

Zdążyliśmy idealnie, bo za pół godziny kończy się pora obiadu.

– Umieram z głodu, oby był rosół. – Tadeusz wznosi oczy ku niebu.

– Jakby były kuchnie w tych pokojach, to sama bym ugotowała, bo co tu mówić, robię najlepszy. – Podnoszę dumnie głowę i dodaję ze śmiechem: – No ale

tu musiałabym chyba w czajniku elektrycznym.

– Może mi pani kiedyś ugotuje?

Nie odpowiadam, bo czuję, że robię się czerwona jak pazury Gośki.

Na stołówce jest stosunkowo pusto, zajęty jest co trzeci, co czwarty stolik, pewnie wszyscy rzucili się na jedzenie, jak tylko zaczęli tu wpuszczać. Rosołu niestety już nie ma, więc zostajemy przy kapuśniaku i kotletach schabowych w grubej panierce. Do tego mizeria i ziemniaki, które wręcz pływają w koprze, ale to dobrze, koperek zdrowy. Sama mam w domu dwulitrowe pudełko po lodach, w którym mrożę zieleninkę, głównie właśnie koperek albo natkę pietruszki. Jak odwiedza mnie Kubuś, to zawsze się nabiera, że tam w środku to lody znajdzie. Tak samo jak z barkiem. Mam w nim takie blaszane pudełko po ciastkach, bodajże ze świątecznym obrazkiem na wierzchu, i trzymam tam nici. Kiedyś łapczywie włożył rękę i o! Na pogotowie trzeba było jechać, bo mu się igła w serdeczny palec wbiła. Taki łasuch.

Tak mi ta niedziela sympatycznie mija, że prawie zapomniałam o jedzeniu. Przecież jakby ta ruda małpa wpadła teraz na stołówkę, tobym się musiała gęsto tłumaczyć. Ale kto wie, może poszła do swojego „kuzyna” Mirka obcmokać się przy fontannie. A poza tym mogłabym odpowiedzieć, że dzisiaj mam dzień oszustwa dietowego. Kiedyś Gośka stosowała taką dietę, że od poniedziałku do soboty jadła ściśle określone rzeczy i trzymała się limitu kalorii, a w niedzielę ucztowała jak jaki rzymski utracjusz. Wszystko mogła wtedy jeść, nieograniczenie, jakby to była ostatnia wieczerza. Oj tak, pamiętam, jak po całym tygodniu przyjeżdżała do mnie i lodówkę opyndzlowywała w chwilę, a jeszcze jej ciasta piekłam. A czy schudła? Cóż mogę rzec, niby teraz szczupła, ale modelką z żurnala to ona nigdy nie będzie, zwłaszcza z tymi krzywymi nogami.

– I jak? Najadła się pani? – Tadeusz wyciera wąs serwetką.

– Jeszcze jak – opowiadam i dopijam resztkę kompotu z kilkoma rozmemłanymi owocami.

Tadeusz bez słowa odnosi naczynia i zaraz siada z powrotem, po czym nachyla się do mnie.

– To jaki teraz plan?

– Plan? – Prawie zapomniałam, że mam z nim pewnego typu sanatoryjny sojusz. Namyślam się chwilę. – Musimy poczekać do jutra. Po śniadaniu mam rehabilitację u Dawida, to z nim porozmawiam. Potem się możemy spotkać przed obiadem, to wszystko panu opowiem i będziemy myśleć.

– A jeśli chłopak nie uwierzy? – martwi się.

– Mam nadzieję, że uwierzy. Dobry z niego dzieciak, ma olej w głowie.

Wychodzimy ze stołówki i wpadamy na Watę Cukrową w towarzystwie Miotły.

– O proszę, minęłyśmy się na stołówce! – mówi z udawanym żalem Wata Cukrowa i podejrzliwie mierzy wzrokiem Tadeusza.

Oho, teraz se pomyślą.

– Ile zjadłaś?! – Miotła od razu przechodzi do rzeczy. Pewnie będzie chciała nałożyć sobie jeszcze mniej, niż jej powiem, żeby być lepszą. Ot, wyścig szczurów. Poprawka, żab.

– Trochę mizerii i małego schabowego – zmyślam.

– Panierkę oddała mi – wtrąca Tadeusz. – Oj tak, dobra była, tłuściuteńka, panie to pewnie takiej nie jedzą, z takimi figurami.

Wata i Miotła wręcz bordowieją. Ostatni raz słyszały komplement pewnie ze trzydzieści lat temu.

– Też bym kiedyś chciał trochę brzucha zgubić. – Tadeusz łapie się teatralnie za pas i poklepuje w okolicach pępka. – Mają panie jakiś sposób, żeby tak dobrze wyglądać? Jakąś dietę cud?

Co on kombinuje? Myślałam, że po prostu unikniemy ich towarzystwa, a ten teraz czaruje je jak jakiś wróżbita. Nie wiem, co irytuje mnie bardziej: jego poza księcia czarusia, bożyszcza Ciechocinka, czy wzdychanie i chichoty tych dwóch brzydkich sióstr Kopciuszka, których nie stać na fryzjera.

– Jest pewien sposób. – Wata Cukrowa splata dłonie w koszyczek.

Teraz do mnie dociera, co Tadeusz próbuje osiągnąć.

– Przykro mi, drogie koleżanki – odzywam się, wchodząc w rolę – ale pan Tadeusz jest już pod moją opieką. – Wyraźnie akcentuję „moją”, żeby się odczepiły.

Na twarzach Miotły i Waty pojawia się zrozumienie, ale i rozczarowanie.

– Tak że nie martwcie się, kochane, pan Tadeusz najprawdopodobniej również pozna nasz – teatralnie przykładam dłoń do ust – szczupły sekret.

Żaby chichoczą jak podfruwajki, a następnie oznajmiają, że muszą już lecieć, gdyż pora obiadu niedługo dobiegnie końca. Kiedy znikają z pola widzenia, spoglądamy na sie-
bie i staramy się stłumić śmiech.

– Pan masz fanki jak Krawczyk normalnie.

– Wąs się zgadza. – Tadeusz się czerwieni.

– Kto by pomyślał, że pan tak potrafisz udawać amora.

– A kto powiedział, że udawałem? – droczy się, ale gdyby naprawdę kiedykolwiek miał poczuć miętę do którejś z tych dwóch, tobym mu współczuła. On to się jeszcze broni, ale tamte żaby? A idźta, takie brzydkie kijanki by z tego wyszły.

– A wracając do planu, to zrobimy tak. – Ciągnę go za marynarkę w kąt recepcji, by nikt nas nie słyszał. Siadamy na niewielkiej kanapie. – Jutro po śniadaniu spotkam się z Dawidem i przekonam go, by nam pomógł.

Tadeusz marszczy czoło i kiwa głową. Pewnie gdyby mógł, toby wyciągnął teraz kajecik i zaczął notować.

– Spotkamy się przed obiadem i wszystko panu opowiem, a następnie postaramy się złapać Rudą – kontynuuję.

– Elwirę znaczy się? – precyzuje Tadeusz.

– Elwirę. Wtedy opowiem jej, jak to pana zwerbowałam, i wycisnę z niej termin spotkania dla nowych ofiar. Kiedy dostanie pan pudełko leków, pójdziemy z nimi do doktora Jarząbka.

– No właśnie, ale skoro pani ma już te leki, to nie może pani iść z nimi sama? – zastanawia się.

– Mogłabym, ale co będzie, jak naopowiadam na Rudą, pokażę te dziwne tabletki, a tamte się wyprą? Pomyślą, że to ja je rozprowadzam i próbuję kogoś wrobić. Toć mówiłam, im więcej świadków, tym lepiej.

– Racja, racja… Dobrze, zatem tak zróbmy.

Jego determinacja i zaangażowanie dalej mnie zaskakują. Czemu takiemu staremu dziadowi chce się latać po sanatorium i rozwiązywać zagadki? I to w towarzystwie młodszej?

– Dlaczego mi pan pomaga? – decyduję się zadać to pytanie.

– No cóż, jestem jedyną tu osobą, której się pani wygadała, więc tak jakby nie mam wyjścia – odpowiada ze śmiechem. – A poza tym ten pseudolek może być niebezpieczny. Te dwie panie, cośmy spotkali przed chwilą, nie wydają się głupie, są tylko zagubione.

Polizemowałabym, ale nie będę się kłócić. Jeszcze stracę sojusznika.

– Chcą schudnąć, ale nie potrafią się do tego zabrać, jak Pan Bóg przykazał, tylko idą na łatwiznę, a przecież nie tędy droga – ciągnie Tadeusz. – Jak się chce do czegoś dojść, to trzeba sumiennie i powoli.

– Toć nie od razu Watykan zbudowano.

– Rzym – poprawia mnie.

– Rzym też – przyznaję.

– Moja świętej pamięci żona Hania była zakochana we Włoszech. – Patrzy teraz na swoje buty i bierze głęboki wdech. – Pamiętam, jak zaczęła się odchudzać. Mówiłem jej, że niepotrzebnie, była najpiękniejszą kobietą pod słońcem – wyznaje ze smutnym uśmiechem. – W końcu po kilku miesiącach zastopowała z dietą, ale chudła dalej. Ja, jej brat i koleżanki wysyłaliśmy ją na badania, ale nie chciała iść. Mówiliśmy, że to trochę dziwne, że wróciła do normalnych porcji jedzenia, a dalej traci na wadze. Była taka dumna i zachwycała się swoją sylwetką, gdy stała przed lustrem. Pewnego dnia zaczął boleć ją brzuch, a zwykłe leki nie pomogły.

Pojechaliśmy na badania i okazało się, że Hania cierpi na nowotwór jelita grubego. Nikt z nas nie był świadomy, że niezauważenie zabierał ją rak…

Widzę przez zaszklone oczy, jak po jego policzku spływa łza, która następnie rozbija się o podłogę.

Ta chwila łapie mnie za serce. Nie licząc Kubusia, nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam łzę u mężczyzny. Kiedyś sąsiad kroił cebulę na działce, to może wtedy, ale to nie to samo.

– Dlatego nie możemy pozwolić, by tamtym paniom coś się przydarzyło. A niby chłopaki nie płaczą. – Wyciera łzę rękawem. – Nie wiadomo, jakie powikłania może nieść to, proszę wybaczyć słowo, gówno.

W normalnej sytuacji zwróciłabym uwagę, ale teraz niech klnie do woli. Właśnie zdobył się na prawdopodobnie najtrudniejsze dla siebie wyznanie. Niech mu ulży.

– Przykro mi. – Łapię go za rękę.

Spogląda mi w oczy i się uśmiecha. Patrzymy się na siebie jeszcze przez chwilę, aż w końcu puszczam jego dłoń.

– Dziękuję, lżej mi – mówi Tadeusz. Podnosi się z kanapy i wyciąga rękę, by pomóc mi wstać.

– Ależ nie ma za co. To jutro o wpół do pierwszej? – proponuję. – W tym samym miejscu?

– Tak, będzie idealnie.

– No dobrze, to idę do siebie, muszę się zdrzemnąć po tych ciechocińskich wojażach.

– I po panierce – śmieje się Tadeusz.

– Dobrze żeś pan kłamał – chwalę. – Byłby z pana niezły detektyw Sherlock.

– Może, ale jemu najlepiej wychodziło w duecie. Musiałaby pani być Watsonem.

– Kto to widział, żeby się baba za chłopa przebierała – prycham.

– Ale chłop przebrany za babę w kabarecie to już zabawny, prawda? – Tadeusz bierze mnie pod włos, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. – Ha, jeden zero dla mnie.

– A idź pan z tą matematyką. – Macham ręką i ruszam w kierunku schodów, kiedy słyszę za sobą Tadeusza:

– A może windą?!

Odwracam się i odbijam piłeczkę:

– A może czarnej kawy?

Tego się nie spodziewał, bo robi się czerwony jak burak, ale uśmiecha się szczerze.

Wołam za nim:

– Jeden do jednego!

BOŻE, BEATA!

ZASTAWIAM SIDŁA NA FAŁSZYWĄ MAŁPĘ

Następnego dnia budzę się strasznie niewyspana, mimo że po tych ciechocińskich wojażach powinnam lulać jak dzieciątko w kołysce. Wielokrotnie budziłam się w nocy, gdyż nie mogłam przestać myśleć o planie działania, który już dzisiaj trzeba będzie zacząć realizować, nie ma odwrotu. Poza tym wszystkiego wydaje się dużo. Nie dość, że odważyłam się zaufać Tadeuszowi i wciągnąć go w tę śmierdzącą sprawę Rudej, to jeszcze on otworzył się przede mną i powiedział o swojej żonie.

Pora jest wczesna, ale dzwonię do Beaty, żeby wylać trochę emocji z przepełniającej się czary mojej duszy. W końcu zasługuję na to, żeby pierwszy posiłek tego dnia zjeść we względnym spokoju.

– Ta Ruda to pewnie jego siostra. Głowę bym dała, że tak jest – podsumowuje moje zwierzenia Beata.

– Też tak przez chwilę myślałam, ale Boże, Beata, dej spokój, to tylko Ciechocinek, a nie opera mydlana!

– A co ty myślisz? A jak w telewizji jest? Wszystko idzie jak trzeba, każdy bohater jak należy, a potem się okazuje, że rodzeństwo albo małżeństwo morduje z zimną krwią!

– Ty mi nie mów o krwi, bo przed śniadaniem jestem, to jeszcze zasłabnę – ostrzegam. – Już za dużo tych pomysłów, kto jest kim, muszę jakie drzewo geograficzne tego sanatorium rozpisać. Strach się bać ufać komukolwiek.

– Sobie też!

– Sobie to ja nie ufam, odkąd się zgodziłam z tobą zamieszkać, ale cóż. Dobra, lecę, bo padnę z głodu!

Gdy schodzę na śniadanie, zauważam, że na recepcję wróciła Piegowata, opalona znacznie bardziej niż przed weekendem. Pewnie wszystkim nagadała, że poleciała na jaką wyspę, a tak naprawdę to była w solarium. Pewnie wydaje na to fortunę, już by jej taniej było stanąć w tej budce z kurczakami z rożna.

Na stołówce, na moje nieszczęście, spotykam Parówkę, więc raczę się tylko dwiema małymi kanapeczkami.

– No mówię ci, waga leci jak z bicza strzelił, kochana! – zachwyca się Parówka, ale ja nie podzielam jej entuzjazmu, bo jej wory pod oczami mówią same za siebie.

– Nie jesteś zmęczona? – dopytuję z nadzieją, że zrozumie iluzję.

– A skąd – zaprzecza, ale wiem, że pewnie dałaby się pokroić za batona. Toć gołym okiem widać, że potrzebuje zastrzyku energii. Cieszę się, że już dzisiaj spotkam się z Dawidem, a nasza akcja ruszy do przodu.

Wczorajsze słowa Tadeusza mną wstrząsnęły. Już nie mam w głowie tylko wizji podkablowania Rudej. Teraz, prócz zatrzymania rozwoju dziwnych interesów tej obłudnej flądry, chcę pomóc pozostałym żabom. Tadeusz miał rację, one są zagubione jak Beata w supermarkecie.

Mogłabym teraz na siłę wepchnąć Parówce jakie jedzenie do ust, ale muszę się trzymać planu. Powoli do celu. Jak to powiedział kiedyś ktoś mądry: trzeba być cierpliwym. Mam tylko nadzieję, że żadnej w międzyczasie nie stanie się krzywda. No chyba że Rudej.

Na rehabilitację przychodzę jakieś piętnaście minut za wcześnie. Nie mam pojęcia, od czego zacząć rozmowę. Dać najpierw Dawidowi poprowadzić ćwiczenia czy od razu uderzyć z grubej rury, jak jaki hydraulik. Może nie, może lepiej się wstrzymać do końca. Najpierw pozwolę mu poopowiadać o jego weekendzie, a potem przypuszczę atak. Daj Boże, by uwierzył.

– Dzień dobry! – Chłopak wita mnie z szerokim uśmiechem. Jaki ładny z niego kawaler, myślę sobie. W sam raz dla Gośki. – Proszę usiąść, powiedzieć, jak się pani czuje. Była pani na tańcach?

– Dziękuję, dobrze, pobyt przebiega pomyślnie – mówię sztywno. – Tak, byłam, żem się wybawiła całkiem.

– To bardzo miło słyszeć, że się pani podoba. Widzi pani, wielu naszych pacjentów głównie się skarży albo milczy. Trudno się wtedy przeprowadza zabiegi.

Nic nie mówię, choć słowa cisną mi się na usta. Jeszcze nie teraz. Powoli, do celu.

– A jak tobie minęły dni? – pytam. – Byłeś w domu?

– Tak, najadłem się do syta na niedzielnym obiedzie, skorzystaliśmy też z pogody i wybraliśmy się na spacer…

Snuje dalej opowieść, a ja się uśmiecham, ale nie potrafię się skupić na jego słowach. Chyba już czas, trzeba złapać byka za nogi.

– Drogi chłopcze, moglibyśmy porozmawiać? – zaczynam poważnie. Chciałabym brzmieć bardziej beztrosko, ale nie potrafię.

Dawid spogląda na mnie z ciekawością.

– Wiem, że nie powinnam zawracać głowy, należałoby się zająć rehabilitacją, ale muszę cię prosić o wysłuchanie, a także o pomoc. Tylko niech to zostanie między nami. – Odruchowo wyciągam krówkę z torebki i wkładam mu w dłoń.

Staram się możliwie streścić tę historię, bo się boję, że – znużony moim gadaniem – przerwie mi i każe się skupić na rehabilitacji. Pomijam wątki rozmów z Tadeuszem, ale wciągam go w opowieść. Chcę, by Dawid wiedział, że na tamtego można liczyć i chętnie nam pomoże.

Kiedy kończę mówić, dalej szybko oddycham, jakbym przed kimś uciekała. Dawid bez słowa sięga po butelkę wody, napełnia kubeczek i mi podaje. No istny anioł.

– Masz mnie, drogi chłopcze, za zbzikowaną, prawda? – przerywam ciszę, która zapanowała w salce.

– Nie – odpowiada zdecydowanie. – Ale naprawdę to ta pani Elwira?

– Wiem, fałszywa małpa. – Zasłaniam usta dłonią, bo przy Tadeuszu to już się może nie krępuję tak powiedzieć, ale młodych nie powinnam uczyć bluźnić.

– Nic się nie stało – zapewnia. – Nie ukrywam, że jestem w szoku. To bardzo dziwna sytuacja i nie wiem, jak zachowałbym się na pani miejscu, ale dobrze pani zrobiła, że przyszła z tym do kogoś z personelu.

Biorę kilka łyków.

– Dziękuję. – Odstawiam kubek. – Trzeba będzie znaleźć więcej chętnych na te tabletki, żebyśmy mieli więcej świadków – tłumaczę i spoglądam na zegarek. Na szczęście mamy jeszcze trochę czasu.

– Wie pani co, coś mi tu nie gra – mówi Dawid. – Nawet jeśli uda nam się wtajemniczyć więcej pacjentów, to dalej nie mamy pewności, że nikt nie zarzuci nam oszczerstw. Nie zrobiła pani przypadkiem zdjęcia pani Elwiry i tego jej dostawcy?

– Niestety. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, ale toć można by znowu ją śledzić. Jak skończy się zapas, to Mirek będzie musiał przyjechać jeszcze raz.

– Tylko do tego czasu może być za późno. Sama pani mówiła, że panie, które zażywają ten środek, nie czują się najlepiej. Nie ma co ryzykować – mówi stanowczo.

– To co pan proponuje? – pytam. – Wdrażamy inny plan?

– Nie, nie, ten zostaje, ale nie ma co czekać, aż zbierze się więcej świadków. Pan Tadeusz nam wystarczy.

– Przecież doktor Jarząbek nie uwierzy mu na słowo.

– Może i nie, ale gdy usłyszy panią Elwirę, już tak.

Nie rozumiem. Mam przekonać Rudą, żeby przyznała się Jarząbkowi do swojej szemranej działalności w Bursztynku?

Dawid wyciąga telefon i zaczyna w nim klikać.

– Proszę coś powiedzieć – poleca.

– Żyrafy wchodzą do szafy – odpowiadam, zaskoczona. To pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

Dawid znów coś klika i po chwili słyszę swój głos z urządzenia.

– Nagramy ją za pomocą dyktafonu – oznajmia chłopak.

– To telefony mają takie możliwości?! – wołam, ale zaraz ściszam głos. – Jak żyję, nie wiedziałam, że tak można.

– Ano można. Teraz telefony to mają tyle funkcji, że czasami się zapomina, że służą do dzwonienia. Ale dyktafon to już dawno w telefonach się pojawił. Pani nie ma?

– Jak żem komórkę nową dostała, to kazałam chrześnicy usunąć wszystko, co się dało, bo nie lubię mieć nieporządku. Tak że pewnie ten domofon usunęła.

– Dyktafon – poprawia mnie z uśmiechem.

– No tak, dyktafon. Od czego to słowo w ogóle pochodzi? Od dykty?

– Wie pani co, lubię gry słowne, ale chyba teraz nie czas na zabawy w słowotwórstwo. – Patrzy na zegarek i uśmiecha się lekko. – Musimy się streszczać.

Jednak mężczyźni to dobrzy przywódcy. Jak tak dalej pójdzie, to Dawid doprowadzi nas do zwycięstwa jak Kolumb do odkrycia Kolumbii.

– Racja. To co, umiesz, chłopcze, mi wbudować ten dyktafon w ten telefon?

Kiedyś, lata temu, jak Gośka dostała swoją pierwszą komórkę, poprosiła mnie o dziesięć złotych, bo musiała sobie dokupić rozmowy i esemesy. Wtedy nie wiedziałam, że się to robi za pomocą doładowań w kiosku, więc wyciągnęłam z portmonetki banknot i kazałam jej włożyć w komórkę. Gośka stanęła jak wryta i zaraz wybuchnęła śmiechem. No ale skąd ja mogłam wiedzieć, jak to działa? Myślałam, że się pieniądze wkłada jakoś w telefon jak w te automaty na piłki kauczukowe. W kiosku to ja gazety kupowałam, a nie jakieś dyskietki z esemesami. Człowiek nie nadążał. Jak co najmniej Beata.

– Tak, tak, bez problemu – zapewnia Dawid. – A może ktoś jeszcze nam pomoże?

Próbuję się odezwać, otwieram usta, ale bez skutku. Nie jestem w stanie nic powiedzieć, bo nagle świat zaczyna wirować mi przed oczami. Łapię się za czoło i chwytam Dawida za rękę.

– Duszno mi – szepczę.

Wszystko kotłuje mi się w głowie, do tego ogarnia mnie dziwny niepokój. Chyba faktycznie za dużo na siebie wzięłam.

– Proszę pani, halo! – słyszę głos Dawida, kiedy zderzam się z chłodną posadzką i zapadam w ciemność.

BOŻE, BEATA!

ZAMKNIĘTA JAK OGÓREK W SŁOIKU

Powoli unoszę powieki. Czuję się, jakbym przespała pół życia, ale przynajmniej nie kręci mi się w głowie. Czuję lekki ból przy linii włosów – musiałam nabić sobie guza, kiedy poleciałam na podłogę, ale nie mam żadnego bandaża ani plastra. Na szczęście nie rozwaliłam sobie głowy, jeszcze tego by brakowało, żebym paradowała po sanatorium z blizną.

Rozglądam się po pomieszczeniu, które z całą pewnością nie jest moim pokojem. To jakaś klitka, przez co czuję się jak ogórek w słoiku. Strasznie tu ciemno, a jedyne okno, podłużne i małe, znajduje się praktycznie pod samym sufitem. Mam wrażenie, że po zewnętrznej stronie jest kratka, chociaż mogę się mylić. Na stoliku obok stoją szklanka z wodą i telefon stacjonarny. Obok widzę krzesło, a na nim swoje ubrania i torebkę. Wyczołguję się spod kołdry i wygrzebuję telefon.

W pierwszej chwili chcę zadzwonić do Tadka, żeby dowiedzieć się, co się stało, ale nie wymieniliśmy się numerami. Co dziwne – i niepokojące – innych numerów też nie ma w mojej komórce. Wszystkie zniknęły. Może jak upadłam, to telefon w co uderzył i się popsuł?

Podchodzę do drzwi i naciskam klamkę, ale ta ani drgnie. Zamknęli mnie tu? A z jakiej racji?

Na telefonie stacjonarnym nie ma zwykłej klawiatury, jest tylko kilka guzików z cyframi kolejno od jeden do pięć. Klikam jedynkę i słyszę sygnał.

– Dzień dobry, sanatorium Bursztynek, Kasia przy telefonie, w czym mogę pomóc?

Masz babo placek.

– Dzień dobry – mówię cicho.

– O, obudziła się pani? – Piegowata już tyle razy miała ze mną do czynienia, że poznała mnie od razu. W jej głosie jak zawsze wyczuwam niechęć.

– Tak, to ja. Niech mi pani powie, co się stało i czemu nie mogę wyjść.

Próbuję sięgnąć do klamki, ale zbyt krótki kabel od słuchawki ogranicza moje ruchy.

– Znajduje się pani w izolatce, musi się pani wyleczyć – odpowiada, a w jej głosie wyczuwam coś w rodzaju satysfakcji. No tak, ta to mi pewnie źle życzyła od początku.

– Wyleczyć? Ale z czego?

Czy ja podczas nieprzytomności przeżyłam kolejną pandemię? Poza tym co najwyżej mogłabym mieć wstrząśnienie mózgu od tej grawitacji w salce Dawida. Do tego chyba nie trzeba być zamkniętym jak królik w klatce.

– Ma pani poważnego wirusa grypy żołądkowej, przez którego zemdlała pani podczas rehabilitacji.

– Wirusa? Ale ja…

– Bardzo zakaźnego – podkreśla. – Lekarz stwierdził, że należy panią objąć kwarantanną.

– Czymś się zatrułam?

– Możliwe.

Dziwne, przecież jadłam w sumie tylko to, co podają w sanatorium. Skoro mnie złapało, to inni też powinni siedzieć w izolatkach.

– A kiedy mnie wypuścicie? Nie czuję się źle.

Prócz lekkiego bólu głowy nie odczuwam jakiegoś rozchorowania, poza tym taki wirus kojarzy mi się z wymiotami czy biegunką. Tadek by się mógł wypowiedzieć, on się lubi z takimi tematami.

– Nie potrafię odpowiedzieć. Później przyjdzie doktor, to powie więcej. Na razie proszę się położyć i nic nie robić. Tak będzie najlepiej.

– Chciałabym zadzwonić do bliskich, ale zepsuła mi się komórka, może mnie pani połączyć z tego numeru? Ten telefon jest jakiś niekompletny, nie ma normalnych guzików.

– Przykro mi, nie mamy innego – odpowiada ze zniecierpliwieniem, jakby chciała się już rozłączyć.

– Może pani znaleźć pana Tadeusza Koniecznego i przekazać, że wszystko u mnie dobrze? Tak samo temu młodemu panu Dawidowi, co to mnie rehabilituje. Pewnie się martwi.

– Zobaczę, co da się zrobić. Proszę się położyć. Do widzenia.

Nie udaje mi się wypowiedzieć już nawet słowa, a ta tleniona małpa odkłada słuchawkę. Co to jest za traktowanie?

Jestem rzekomo chora, sama, trochę głodna, zamknięta i przede wszystkim zdezorientowana. Czuję się jak Beata w alejce z papierem toaletowym. Nigdy nie wie, ile warstw wybrać i czy w kwiatki, czy w motylki.

Próbuję sobie przypomnieć ciąg wydarzeń sprzed omdlenia, ale nic nie wydaje się podejrzane. Przejeżdżam językiem po dziąsłach w poszukiwaniu resztek jedzenia, może przypomnę sobie smaki ze śniadania. Może faktycznie czymś się zatrułam. Masuję się po brzuchu, naciskam żołądek, ale nie odczuwam bólu, nie chce mi się wymiotować. Może mi przeszło, kiedy byłam nieprzytomna? Nie mam pojęcia.

Trochę mi duszno, więc przydałoby się tu przewietrzyć. Co prawda przez to okieneczko za dużo powietrza nie wleci, ale zawsze to coś.

Przekładam ubrania na łóżko, a krzesło ustawiam pod ścianą. Ciekawi mnie, w której części sanatorium się znajduję. Wchodzę ostrożnie na stołek. Jeszcze by tego brakowało, bym znowu klapnęła na podłogę. Musiałabym czekać na pomoc Bóg wie jak długo.

Dobrze mi się wcześniej zdawało, za oknem rzeczywiście zamontowana jest krata z cienkich prętów. Światło z zewnątrz trochę mnie oślepia, ale po kilku sekundach zauważam, że na linii oczu mam trawnik. Czyli wsadzili mnie do piwnicy! Matko Boska, nie dość, że mam jakiego wirusa, to jeszcze mnie zamknęli w tej sanatoryjnej suterenie. Dejta spokój, a jakby przyszły deszcze i by zaczęło mnie zalewać, to co? Koła ratunkowego tu nie widzę, szalupy żadnej też nie.

Otwieram okno i rozglądam się po otoczeniu. Widok zasłaniają mi starannie przycięte krzaki, a mój nos wyczuwa zapach smażonego mięsa. Może jestem niedaleko zejścia ze stołówki do ogrodu, gdzie podsłuchałam tę rudą krowę? Mam nadzieję, że niedługo przyniosą mi tu jakieś jedzenie, bo burczy mi w brzuchu.

Niewygodnie tak stać, więc schodzę z krzesła i, skołowana, siadam na łóżku. Czuję się jak jakie dziecko we mgle, co ja mam teraz zrobić? Telefon nie działa, w recepcji nie chcą mi pomóc, muszę czekać na lekarza. Oby zjawił się ten Jarząbek.

W końcu emocje biorą górę i zaczynam płakać. Miałam przyjechać tu w celach zdrowotnych, odpocząć, wyzdrowieć, a zamiast tego wpakowałam się w taką kabałę. Na co mi to było? Po co się tak interesowałam tą sprawą, mogłam sobie odpuścić te baby-żaby, nawet Tadka, i skupić się na sobie. Zachciało mi się nie być egoistką i o, mam.

Wycieram oczy w poszewkę, a w pokoju robi się znacznie ciemniej niż do tej pory. Może się zachmurzyło? Nie widzę pod światło, ale cień w oknie przypomina ludzką sylwetkę.

– Tu jesteś!

Jak żyję, nie cieszyłam się tak na dźwięk niczyjego głosu.

– Tadeusz! – Zrywam się z łóżka i od razu wdrapuję się na krzesło.

– Jak się cieszę, że cię widzę, całą i zdrową – mówi z ulgą.

– Czy zdrowa, to sama nie wiem, ponoć mam jakiegoś wirusa. Co się stało, kiedy zemdlałam? Pieguska z recepcji nie była skora do pogaduszek.

– Wiesz, szukałem cię po tej twojej rehabilitacji, ale przepadłaś jak kamień w wodę.

Zdaję sobie sprawę, że przeszedł na ty. Niby powinien był zapytać, czy mi to przeszkadza, ale w chwilach takich jak ta cały ten rezer-wuar nie jest ważny.

– Dopiero po czasie udało mi się znaleźć Dawida, który mi wszystko opowiedział. Zemdlałaś, więc zawołał pomoc i wzięli cię na obserwację. Ponoć cię tam badali, krew pobierali i inne takie, no i stwierdzili, że tego wirusa złapałaś. A że ponoć zakaźny, to jakiś lekarz kazał cię umieścić w izolatce. Dawid pomagał cię przetransportować, bardzo to przeżył, a pani Kasia z recepcji przeniosła twoje rzeczy. Biedny ten chłopak…

– O masz. Czekaj, co?! – Otwieram szerzej oczy, bo coś mi tu nie pasuje, ale jednocześnie układa się w całość. – Mówisz, że ta blondyna pomagała?

– Tak.

– No i wszystko jasne – prycham. – Kiedy się tu obudziłam, próbowałam się z kimkolwiek skontaktować, ale jakimś cudem w mojej komórce nie było żadnych numerów. Założę się, że ta dziewucha maczała w tym palce.

– Oj, to poważne oskarżenie… – Tadeusz próbuje mnie uspokoić, ale ja swoje wiem. To na pewno jej robota.

Na wszelki wypadek od razu każę Tadkowi zapisać mój numer, a kiedy puszcza mi sygnał, ja zapisuję jego. Najgorzej, że nie mogę zadzwonić do Beaty albo Teresy. Mam nadzieję, że w końcu same zadzwonią. Mam zapisane ich numery w takim kalendarzyku, ale został w pokoju, przez co czuję się bezradna jak Jezusek w stajence.

– A czemu nie przyszedłeś do mnie jak człowiek, tylko tak kukasz przez tę kratę? – Pukam w pręt z nadzieją, że się rozkruszy.

– Ta Kasia nie chciała mi powiedzieć, jak tu trafić. Tłumaczyła się zakaźnym wirusem i takie tam. Moja siostra kiedyś trafiła na kwarantannę w szpitalu, to pamiętam, że też ją w piwnicy trzymali, jak węgiel. To mówię, przejdę się wzdłuż tych okien najbliżej ziemi i poszukam, pozaglądam.

– No i żeś mnie znalazł. – Uśmiecham się szeroko.

– Na szczęście.

Szczerze jestem mu wdzięczna za to, że mnie odszukał. Chybabym się załamała, gdybym tu miała tak sama siedzieć, a dzięki niemu jakoś tak raźniej i jakby bezpieczniej.

– A co u Dawida? – Biedny chłopak, na pewno się martwi.

– Musiał potem wracać do innych pacjentów, ale kazał przekazać, że jak załatwi przepustkę, to na pewno cię odwiedzi, a przy okazji i mnie weźmie po kryjomu. Może zorganizuje jakieś maseczki czy co, wiesz, jednak co medyczni, to medyczni, więcej tu mogą.

– A ty nie masz teraz żadnych ćwiczeń? – niepokoję się.

– Jak raz nie pójdę, to nic się nie stanie.

Nagle słyszę kroki za ścianą. Pewnie ktoś zmierza korytarzem w moją stronę, ale lepiej, żeby mnie nie zastali w takiej sytuacji, jeszcze by Tadka na kwarantannę skierowali. Choć to akurat byłoby dla mnie pozytywną wiadomością, bo w kupie raźniej.

– Ktoś się zbliża, idź już i przyjdź za jaki czas. – Schodzę na ziemię i odstawiam krzesło. – A przy okazji załatw jakiego kotleta, bo pewnie mnie tu chcą trzymać o chlebie i wodzie.

Tadek macha na pożegnanie i oddala się szybkim krokiem.

Siadam na łóżku, kiedy słyszę piknięcie, co zdradza, że drzwi są otwierane na czip czy inny magnes. Jakby, kurka wodna, kluczy ktoś kiedyś nie wymyślił. Świat i ludzie!

Pokój wypełnia się zapachem mdłego jedzenia i znajomych mi perfum, co powoduje, że włosy na karku stają mi dęba. Słabo widzę jej twarz, bo ubrana jest w dziwny kombinezon przypominający ten u astronautów, ale jestem pewna, z kim mam nieszczęście obcować.

– Posiłek. – Stawia tacę na stole, po czym zamyka drzwi od wewnątrz.

– Dziękuję, pani Kasiu.

Czy ze wszystkich pracowników sanatorium musiała przyleźć właśnie ta piegowata poczwara? Myślałam, że jak człowiek jest chory, a zwłaszcza jak siedzi w izolatce, to mu się nie powinno dostarczać wrażeń, które szarpią nerwy.

Chociaż z drugiej strony to może dobrze, że przyszła, bo będę ją mogła wypytać o lepkie rączki, które na pewno majstrowały przy mojej komórce.

Patrzymy się na siebie, ale żadna nic nie mówi. Zapewne wyglądamy teraz, jakbyśmy grały w jakim filmie kowbojskim. Dziesięć kroków do tyłu, obrót i strzał.

– Skąd ten zaszczyt? – Postanawiam odezwać się jako pierwsza. Niech wie, kto tu rozdaje karty.

– Przyszłam sprawdzić, jak się pani miewa. – Piegowata ściąga hełm, spod którego wyłania się tleniony łeb. Wolałam jednak, jak miała ten kask, już to światło z okna mniej razi po oczach. – Plus musi pani coś zjeść, jeszcze by pani zemdlała i co by to było? – dodaje z uśmieszkiem.

– Nie powinna pani tego czegoś trzymać na głowie? – pytam podejrzliwie. – Jeszcze się pani zarazi.

Toć jak kwarantanna, to kwarantanna.

– Jestem uodporniona – rzuca oschle.

Nie mam ochoty na podchody, więc przechodzę do sedna:

– Dobra, lepiej mi powiedz, co zrobiłaś z moją komórką.

– Słucham? – udaje zaskoczoną. Taka z niej aktorka jak z Beaty kucharka. – Ja tylko zniosłam tu pani torebkę. Chyba zresztą należy mi się jakieś „dziękuję”?

– No, no. Dziękuję, że do rodziny własnej zadzwonić nie mogę. Po kiego grzyba tu przyszłaś? – pytam może niezbyt uprzejmie, ale skończyła mi się cierpliwość.

– Przyniosłam jedzenie, ale też radę.

– Ty? Radę? – prycham. – Doradzać to ty pewnie umiesz tylko w wyborze solarium.

Piegowata ściąga brwi i przysuwa się do mnie, a ja teatralnie zatykam nos.

– I perfum…

– Radzę pani, by nie wtykała pani nosa w nie swoje sprawy – mówi szeptem, konspirantka jedna. – Niech się pani lepiej skupi na zabiegach, a innym kuracjuszkom da spokój. Niech każda żyje, jak chce. Proszę tak nie węszyć.

– Węszyć?

– Tak będzie lepiej dla wszystkich. Zwłaszcza dla pani.

Piegowata zostawia jedzenie, wkłada hełm i wychodzi bez słowa. Słyszę piknięcie, co znaczy, że znowu jestem zamknięta jak sardynka w puszce.

Jej ostatnie słowa brzmiały jak groźba, więc nie ukrywam, trochę mnie zmroziło, ale przynajmniej jedno jest jasne: Piegowata wie o mojej chęci przyłapania Rudej. Tylko jak na to wpadła? Może podsłuchała moją rozmowę z Tadkiem albo, co gorsza, siedziała pod drzwiami gabinetu, w którym wtajemniczałam Dawida w nasz plan. Mam nadzieję, że chłopak nie będzie miał przeze mnie problemów.

Czemu Piegowata tak się interesuje tą sprawą? Jest ciekawska z natury czy ma za uszami coś więcej? Odniosłam wrażenie, że wie o dietetycznej mafii. Tylko skąd? Może przykładowo Wata Cukrowa albo Parówka paplały za bardzo i wieść o „cudownym” specyfiku rozniosła się za daleko? Piegowata do grubych nie należy, ale takie jak ona i tak nic, tylko by się odchudzały.

Tak czy inaczej, kolejne spotkanie miłośniczek chudnięcia może się odbyć lada chwila. Założę się, że tamte pozałatwiały kolejne ofiary i Rude Królestwo rośnie w siłę. Mam nadzieję, że wyjdę stąd jak najszybciej, a wtedy zrobię im taki Grunwald, że zapamiętają do końca życia.

BOŻE, BEATA!

TOĆ TU JAK W PARKU SZTYWNYCH NA ZMIANĘ Z KRYMINAŁEM

Muszę ściągnąć Tadka i wszystko mu opowiedzieć. Wybieram jedyny numer zapisany w komórce i dzwonię.

– Tadeusz przy telefonie. Kto to był? – Odbiera szybko. Pewnie trzymał komórkę w pobliżu, żeby być na każde wezwanie.

– Ta gówniara z recepcji. – Na wszelki wypadek szepczę, bo może stoi gdzieś za rogiem. – To ona usunęła mi te numery.

– Lepiej nie rozmawiać o tym przez telefon. – Też szepcze. – Rozłączę się i zaraz do ciebie przyjdę.

Odkłada słuchawkę i nie mija nawet pięć minut, a już stoi przy zakratowanym okienku.

– Przyznała się? – pyta.

– Bronisz jej czy co? Głowę dam, że to ona, ale nie to jest najważniejsze. Słuchaj, ona wie, że próbuję przyłapać Rudą.

– Co ty mówisz, ale skąd? – dziwi się Tadeusz.

– Nie mam pojęcia. Musiała mnie gdzieś nakryć. Albo nas – dodaję. – Słuchaj, musisz działać sam, bo nie wiem, ile tu jeszcze posiedzę. Dowiedz się jakoś, kiedy będzie to kolejne spotkanie organizacyjne, a potem użyj tego d y k t a t o r u…

– Dyktafonu – poprawia mnie.

– Toć mówię. Trzeba nagrać, co one tam gadają, a potem iść z tym do Jarząbka. – Kończę mówić, ale nie słyszę żadnej odpowiedzi. – Żyjesz?

– Żyję, żyję. I tak sobie myślę, że chyba już nie ma co iść z tym do doktora. Uważam, że trzeba od razu zawiadomić policję.

O masz. Przyjechałam do sanatorium, a wyjadę jako bohaterka kryminału.

– Może masz rację, może niepotrzebnie żem z tym zwlekała, ale wiesz…

– Wiem. Nie chciałaś wyjść na głupią albo żeby to ciebie posądzili. – Tadeusz jak zwykle ma gotową odpowiedź.

– Z ust żeś mi to wyciągnął.

– A właśnie, skoro o ustach mowa…

Nie wiem dlaczego, ale nagle zrobiło mi się jakoś tak cieplej, a może duszniej. Tadeusz sięga do kieszeni i wyciąga zawiniętego w foliówkę kotleta, a także trzy kromki chleba.

– Masz, na pewno jesteś głodna, tylko jedz powoli. – Ostrożnie podaje mi paczuszkę. – Nie wierzę, że schabowy może być zły na żołądek.

Aż mi ślinka cieknie na sam zapach, a co dopiero na pierwszy gryz, który właśnie biorę.

– Umierałam z głodu. – Przeżuwam. – Dziękuję, tamtego, co mi przyniosła ta żmija, to nawet by psy nie zjadły.

– Nie ma sprawy, kiedyś mi się odwdzięczysz.

– Moja lista długów u ciebie rośnie szybciej niż moje pelargonie na balkonie.

Beata na pewno zapomina podlewać kwiaty, więc jak wrócę do domu, to zrobię im zasłużone spa albo w ostateczności piękny pogrzeb. Toć ona to nawet i kaktusa by przesuszyła. Dziwię się, że jeszcze do mnie nie zadzwoniła. Co ona, nie martwi się, że znaku życia nie daję? W sumie zawsze jej powtarzam: „Mnie się oczy zamkną, to się tobie dopiero otworzą”, to może liczy, że wykorkowałam?

– Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie wiem, na razie nie mam głowy do myślenia. Trochę mnie ćmi. – Kończę kotleta. – Może się prześpię i jak wstanę, to pomyślę.

– Zadzwoń wtedy do mnie.

– Dobrze, zadzwonię. – Uśmiecham się. – Dziękuję raz jeszcze.

Tadeusz nie odpowiada, ale pod jego wąsem również pojawia się uśmiech. Żegna się i odchodzi, a ja wracam do łóżka.

Następnym razem jak przyjdzie, będę musiała dać mu klucz do pokoju, bo przecież cały mój sanatoryjny dorobek tam został. Nawet mi reform na zmianę nie dali, kanalie.

Próbuję zasnąć, ale bezskutecznie. Wiercę się jakieś dziesięć, może i piętnaście minut, jeszcze mi kawałek mięsa wlazł między zęby. Ćmokam językiem po dziąsłach, ale bez rezultatu. Trzeba poprosić Tadka o wykałaczki.

Nagle znów słyszę charakterystyczne piknięcie i już się szykuję do starcia z Piegowatą, kiedy do pokoju wchodzi Dawid. O dziwo nie jest przebrany za kosmonautę.

– Dawid! – Cieszę się szczerze na jego widok. – Zdobyłeś przepustkę?

– Byłbym szybciej, ale miałem pacjentów. – Widzę, że mu smutno.

– Nic się nie stało, złociutki. Dobrze, że jesteś. Siadaj. – Przesuwam się na łóżku i klepię materac.

Dawid zamyka drzwi i podchodzi do mnie pewnym krokiem, a wtedy przypominam sobie, że mam wirusa.

– A nie! Nie powinieneś, przecież cię jeszcze zarażę i bieda będzie.

– A tam, nic mi się nie stanie. Najważniejsze, że załatwiłem kartę. – Pokazuje plastikowy prostokąt.

– Dlaczego? Nie chcieli ci jej wydać? – dziwię się.

– Nie chcieli – mówi półgłosem. – Na recepcji siedziała Kasia, taka blondynka… Wie pani, nie lubię jej. Nie chciała mi wydać karty, na szczęście w pewnej chwili poszła gdzieś na zaplecze i zostawiła na stanowisku stażystkę. No to podszedłem i skłamałem, że na zalecenie lekarza ma mi wydać przepustkę, ale żeby nie mówiła Kasi. A tamta, że spoko, wie pani, ona posłuszna, na pracy jej zależy, więc podkablować nie powinna. To była szybka akcja, następnym razem przyjdę z panem Tadeuszem. Teraz nie mogłem go znaleźć.

Trochę żałuję, że nie przyszli razem, ale dobrze, że chociaż on się zjawił.

– Przestań już z tą „panią” – proszę – i mów mi „ciociu”.

– Dobrze. – Kąciki ust Dawida podnoszą się w mig, a w policzkach pojawiają się dołeczki.

– To co robimy? Trzeba się chyba rozeznać w sytuacji tam na górze. – Wskazuję palcem na sufit. – Ale najpierw wymieńmy się kontaktami. Dam ci też od razu numer do Tadka.

Dawid niczym Struś Pędziwiatr wpisuje, co trzeba, w komórki, a ja tymczasem opowiadam mu o odwiedzinach Piegowatej. Jest zły jak Teresa, kiedy jej zakalec wyjdzie.

– Ach, nigdy jej nie lubiłem – wścieka się.

– Jesteście pokłóceni? – dociekam.

– Długa historia, proszę pa… ciociu. Kiedy indziej opowiem. – Wydaje się zmieszany. Normalnie bym go przycisnęła i wyciągnęła z niego każdy szczegół, ale teraz mamy ważniejsze sprawy. – Wracając do tematu: myślę, że ten pomysł z nagraniem spotkania nie przejdzie.

– Dlaczego?

– Sama ciocia powiedziała, że Kasia coś widziała albo słyszała. Nie mamy pewności, czy to nie tyczy się też pana Tadeusza.

– Racja, nie pomyślałam o tym. Tadek pewnie jest teraz na celowniku, bo Kaśka już dała znać, komu trzeba, i Elwira go nie wpuści.

– Właśnie, tak może być. Ale wspominała pani, że ma pani opakowanie tego Dieto… coś tam, prawda?

– Przecież ustaliliśmy, że nie pójdziemy z nimi na razie do nikogo.

– Bo nie pójdziemy… Może jednak warto by było je wysłać na badania?

Nic z tego nie rozumiem.

– Tabletki mają iść na badania? I co tam będą robić, kasłać przy stetoskopie?

Dawid lekko się uśmiecha, a to dobrze, trochę humoru nie zaszkodzi, przecież ten dzień jest jak wyjęty z cmentarza. Ciemno, głucho i pod ziemią – atmosfera doprawdy jak z parku sztywnych.

– Można poddać lek specjalnym badaniom laboratoryjnym, dzięki którym poznamy jego skład.

– A jak się okaże, że nic podejrzanego w zawartości Dietostopu nie ma?

– To nie wiem, chyba będziemy musieli sobie odpuścić całe to zamieszanie. Ale na razie musi mi ciocia dać klucze do pokoju. Wezmę stamtąd pudełko i pojadę do laboratorium. Jest jedno niedaleko stąd, powinienem zdążyć. – Dawid wystawia dłoń.

– Ło pierunie, to by było dobrze, bo nie ma co czekać. Pudełko powinno leżeć w szufladzie przy łóżku. Potem nie zapomnij zamknąć i podrzuć mi klucz przez to okno. Nie potrzeba, żebyś tu złaził i się narażał.

– Dobrze. A coś wziąć cioci z pokoju?

– Nie, nie ma co tracić czasu, i tak miałam Tadka potem wysłać.

Dawid patrzy na mnie, a w jego oczach widzę połączenie strachu i motywacji. Dobry chłopak, zamiast prywatny czas na jakie książki albo rower wykorzystać, to pomaga starej babie. Miej go, Boziu, w opiece.

Sięgam po torebkę i wyciągam klucz do pokoju.

– No, leć, leć. A jak już wrócisz z tego laboratorium, to koniecznie przyjdź tu do mnie.

– Tak jest. – Dawid wstaje i podchodzi do drzwi. Zatrzymuje się i bierze głęboki wdech. – Chciałbym ciocię wypuścić, ale byłaby afera.

– Oj, nawet o tym nie myśl, parę dni i mnie wypuszczą. Leć już!

Po chwili znowu zostaję sama jak palec. Co tu robić? Żebym chociaż krzyżówki w torebce miała, a tu nic. Do tego telefon jak milczał, tak milczy. Niech no się ta Beata w końcu odezwie!

Kładę się z powrotem i zaczynam się modlić, a tu koronkę jaką, a tu różaniec na palcach. Przynajmniej warunki dobre, bo cisza i spokój jak w jakim klasztorze. I nawet nie wiem, kiedy zasypiam.

We śnie znajduję się w jakimś białym labiryncie i bezskutecznie szukam wyjścia. Mam wrażenie, że muszę przed czymś albo przed kimś uciekać. Słyszę

krzyki i syreny straży pożarnej albo policji. Siłuję się z jaką zjawą, aż wreszcie mary znikają, a ja otwieram oczy. Uczucie siłowania się jednak nie znika, bo ktoś naprawdę szturcha mnie w ramię.

– Pobudka, wstajemy – słyszę znajomy ciepły głos.

– Tadek? Jak żeś się tu dostał? – Powoli siadam na łóżku i staram się dobudzić. Pewnie mam pod oczami wory wielkości obfitych kartofli.

– Dzięki Dawidowi, ale mniejsza. Nie uwierzysz, co się stało.

BOŻE, BEATA!

OSŁUPIAŁAM JAK SÓL W WIELICZCE

Przez okno wpada ciepłe żółte światło, stąd wiem, że dzień zbliża się ku końcowi. Prawdę mówiąc, myślałam, że nie pośpię tak długo, ale przynajmniej wypoczęłam. Bardziej dziwi mnie obecność Tadeusza w izolatce – toć chyba ten lekarz, co go Piegowata zapowiedziała, powinien był mnie obudzić. I to znacznie wcześniej.

Trochę niepokoi mnie fakt, że nie zjawił się nikt z personelu. Taca z kaszą jak leżała na stole, tak leży. Chyba nikt tu nie zaglądał, kiedy spałam.

– Masz, napij się wody. – Tadeusz podaje mi butelkę, a ja wypijam duszkiem prawie połowę. Całe szczęście, że mam tu toaletę, bobym musiała zawołać o pieluchę.

– Dobrze cię widzieć – mówię.

– Ciebie też. – Uśmiecha się, ale zaraz poważnieje. – No więc tak. Poszedłem na rehabilitację po tym, cośmy się widzieli wcześniej. I chciałem przyjść albo zadzwonić, ale mówię sobie: dobra, przejdę się do marketu i kupię kilka rzeczy. – Wskazuje na siatkę z zakupami, której wcześniej nie zauważyłam. Aż mi ślinka cieknie na myśl, jakie rarytasy mogą tam być. Może jaka krakowska parzona albo paprykarz? – Kiedy byłem przy głównej bramie, usłyszałem karetkę. I się okazało, że do sanatorium jechała. Zatrzymała się pod wejściem, więc przyspieszyłem kroku, żeby to zobaczyć, co się stało.

Karetka na sygnale? Czyli mi się te koguty nie przyśniły, rzeczywiście musiałam je słyszeć, kiedy spałam.

– Patrzę, a tam tę twoją koleżankę na noszach niosą!

– Matko Boska, Elwirę? – Otwieram szerzej oczy. Nie, że jej źle życzę… No dobra, może życzę, ale nie aż tak. Wolałabym, żeby po prostu rozwiązała swój gang, a nie stawała przed sądem ostatecznym. Co innego taka Maślakowa…

– Nie, taką… – Tadeusz szuka w głowie najlepszego słowa, ale tylko rozkłada ręce i nabiera w usta powietrza jak jakiś chomik. Gry w kalambury mu się zachciało.

– Grubą! – przechodzę do rzeczy, bo przecież nie ma się co cackać.

– Nie chciałem tego mówić, ale tak.

– To Czesia. – Ściszam głos. – Jest największa z tych wszystkich babek i żarła te tabletki jak mój Kubuś draże. Przecież to ją wtedy nakryłam przy tej rudej małpie, jak ją błagała o kolejne opakowanie. A co jej w ogóle? Wiadomo?

– Ponoć zawał, przynajmniej tak podsłuchałem, jak ratownicy ją wnosili do ambulansu. Sama pojechała, zdążyli tylko zabrać torebkę i telefon. Ponoć na korytarzu to się stało.

– A Ruda się gdzieś tam kręciła pod wejściem?

– Nie wiem, nie zauważyłem. – Spuszcza wzrok. – Widzisz, dlatego nie możemy się poddać. Ta izolatka nas nie powstrzyma. – Tadek wypręża pierś, a w jego oczach widzę determinację.

– No pewnie, jak co się złego dzieje, to Ruda pryska jak bańka po mydlinach. A żeby ją… – Uderzam dłonią w poduszkę, na co Tadek podskakuje. – Masz rację, nie można przestać działać. Tylko cholera wie, co to się tam teraz dzieje.

Tadek patrzy na mnie z troską. Pewnie wyglądam okropnie w porównaniu z moją prezencją na niedzielnej przechadzce po Ciechocinku.

– Widzę, że jesteś zmartwiona.

Ufff, więc tylko o to mu chodzi. Już się bałam, że mi powie, żem rozczochrana jak jaki kogut.

– Fakt, trochę martwię się o Rop… o Czesię. Nie powinna była brać tych tabletek. Pewnie do tego się głodziła i przesadzała z ruchem. Wszystko się

skumulowało jak odpadki w kompostowniku i nieszczęście gotowe. Mogłam ją powstrzymać – obwiniam się. – Gdybym wcześniej zareagowała, to może by nie doszło do tej tragedii.

– To nie twoja wina, widać, że te kobiety były zdesperowane i żaden mur by ich nie powstrzymał przed wzięciem tych tabletek. – Tadek próbuje mnie pocieszyć. – Coś o tym wiem… – Uśmiecha się smutno, a mnie przypomina się historia jego zmarłej żony.

Muszę na wieczór zmówić pacierz w intencji Czesi. Niech Bóg ma ją w opiece. Brzydko to mówić, ale może to szczęście w nieszczęściu, że stało się, jak się stało, bo reszta żab się obudzi i zrezygnuje z odchudzania.

– Ciekawe, jak Dawid sobie radzi – zmieniam temat, a mój żołądek nagle rozbrzmiewa serią bulgotów. Ze wstydu zakrywam brzuch poduszką. – Wybacz.

– A, fakt, musisz coś zjeść, naturalnie.

Tadek sięga do reklamówki, wyciąga zawartość na stół i po chwili przygotowuje mi kanapki z kiełbasą i pomidorem, starannie odkrawając skórkę. Obok nich na talerzu układa owoce.

– Skąd żeś wziął taki nóż do krojenia? I talerz? – pytam i rzucam się na jedzenie. Nie pamiętam, kiedy byłam tak głodna ani żeby coś mi tak smakowało. Chyba na pielgrzymce, kiedyśmy wreszcie doszli pod Jasną Górę.

– Ze stołówki pożyczyłem. – Tadek się peszy.

– Aha, „pożyczyłem”.

Łącznie jem trzy kanapki i dwie śliwki. Mam nadzieję, że nie będę tego żałowała, bo jak mnie pogoni, to strzeżcie się, bramy niebios.

– Dziękuję, to było pyszne. – Wycieram buzię chusteczką.

– Najadłaś się?

Gładzę się po brzuchu.

– Co ja bym tu bez ciebie zrobiła?

– Padłabyś, bo dalej nie przyszedł tu żaden doktór. Ale skorośmy zjedli, to chcę ci coś pokazać.

Tadek odstawia talerzyk, a ja się zastanawiam, co zaraz wyciągnie. Gdyby tak przyniósł książkę telefoniczną z gdyńskimi numerami, o, wtedy by mnie zaskoczył. Kontrolnie zerkam w komórkę, ale nikt nie dzwonił.

Tadek, jak chyba każdy facet, wyciera dłonie o spodnie, a następnie sięga po swoją listonoszkę.

– Musisz zamknąć oczy. – Siada koło mnie i czeka, aż wykonam polecenie. Marszczę czoło. – No co? Inaczej nie będzie niespodzianki.

– Ale to nie jest żaden pająk albo jaszczur? – Odsuwam się lekko. – Jak tak, to lepiej dzwoń po tamtą karetkę i niech Czesia się posunie, żeby mi miejsce zrobić.

– Nie, spokojnie, nikogo nie chcę mieć na sumieniu. – Tadek się uśmiecha, a ja po raz kolejny decyduję się mu zaufać.

Zamykam oczy i czekam. Czuję podmuch wiatru przed twarzą, więc pewnie macha mi dłonią, żeby sprawdzić, czy nie podglądam.

Słyszę nieprzyjemny zgrzyt suwaka, a zaraz potem szelest kartek. Może przyniósł jaką książkę i mi będzie czytał do snu, jak ja Kubusiowi, albo prócz jedzenia zaopatrzył mnie też w zapas krzyżówek i wykreślanek.

Jestem pod wrażeniem swojego słuchu. Może dźwięki w tej klatce rozchodzą się lepiej albo przez zamknięcie oczu zmysł słuchu zyskał na jakości. Tylko żeby nietoperze zazdrosne nie były.

Słyszę świst wyciągania papieru i ponownie suwak daje o sobie znak. Aż mnie w zębach skręca.

– Wystaw ręce – prosi, a ja wyciągam ku niemu dłonie, w które wkłada grubą kartkę. Słyszę, jak bierze głęboki wdech. – Możesz otworzyć oczy.

Powoli podnoszę powieki i koncentruję wzrok na… sobie samej. Bo w dłoniach trzymam swój portret.

Nie można tego nazwać tylko rysunkiem ani szkicem. Toć to byłby grzech. Kartka jest jak czarno-białe lustro, które przedstawia moje odbicie. Te rzęsy, te klipsy, te – niestety – zmarszczki… Ciotka jak żywa! Beata z Teresą padną, jak im pokażę to dzieło sztuki.

– Jak? – Tylko tyle przechodzi mi przez gardło. Gdybym właśnie była na przesłuchaniu do teatru, dostałabym rolę żony Lota z Biblii. Ba, więcej! Nie byłabym słupem soli, tylko całą Wieliczką!

– Miałem trochę czasu, to narysowałem – odpowiada, zadowolony.

– Jak? – ponawiam pytanie. – To jest niemożliwe. A poza tym mówiłeś, że malujesz pejzaże, a nie ludzi.

– Tak, ale czasami lubię narysować portret.

Przypomina mi się, jak żem sobie wyobrażała, że fresk mi na suficie namaluje. Jak on tak i ludzi potrafi przedstawić, to będę miała kaplicę Sykstyńską szybciej, niż Dawid wróci z laboratorium.

– To jest… – Urywam, bo nagle coś wpadło mi do oka. – Piękne to za mało powiedziane. Nie wiem, co powiedzieć. Nie pamiętam, kiedy ostatnio taki wspaniały prezent dostałam! Chyba jak mi Teresa nową miednicę kupiła!

Po policzkach płyną mi łzy wzruszenia. Tadek wyjmuje mi portret z rąk, pewnie żebym nie pochlapała jego dzieła. Sięgam do torebki po chusteczkę.

– To chyba znaczy, że się podoba – mówi, a ja w odpowiedzi kilkukrotnie kiwam głową na tak.

– Kiedy to narysowałeś? I skąd miałeś moje zdjęcie? – pytam, zdziwiona, bo przecież nie przypominam sobie sytuacji, żeby mnie fotografował. No chyba że włamał się do jakiego systemu monitoringu sanatorium i zgrał sobie film na dyskietkę. A może poprosił kogo innego… Dejta spokój, głowa mała.

– Jakoś mnie natchnęło. Rysowałem po nocach… z pamięci – mówi, a czerwony jest przy tym jak malwy u mnie na działce.

– Słucham?! – Aż się krztuszę, ale czujny Tadek od razu łapie za butelkę i po chwili dopijam resztkę wody.

– Mam pamięć fotograficzną, więc potrafię odtworzyć obraz z głowy. Tak samo ta pani Czesia: miała ciemną bluzkę z wyszytą koronką pod szyją, a jej kolczyki…

– Wiem, co to pamięć fotograficzna – przerywam mu, bo nie chcę, by wizja Ropuchy na noszach przesłoniła mi piękno tego rysunku. – Ale jak to jest możliwe,

żeś tak to na papier przelał? Toć myślałam, że ja ładnie rysuję, jak z Kubusiem coś na plastykę robimy. Świat i ludzie, ale ciebie Bóg talentem uraczył. Ty do jakiego programu powinieneś pójść. Karierę byś zrobił. – Pociągam nosem.

– A tam karierę. Robotę mam, a to i tak z pasji bardziej robię. – Macha ręką.

– Byś na tej pasji zarobił więcej niż Mel Gibson na swojej – zachwalam. – Naprawdę, to chyba najpiękniejszy prezent, jaki dostałam. Ale z jakiej to okazji?

– Tak o, bez żadnej okazji. Chciałem ci humor poprawić.

– I żeś poprawił, dziękuję.

Przysuwam się w jego kierunku i go obejmuję, a on odwzajemnia to objęcie. Jego ręce zdają się ciężkie i silne, moje nozdrza wypełnia zapach wody kolońskiej i żelu do włosów.

Tadeusz kreśli delikatne kółka na moich plecach, przeplatając coś w stylu masażu z lekkim poklepywaniem. Przechodzą mnie ciarki, bo Stasiek robił podobnie.

Prostuję się momentalnie, kiedy moja komórka zaczyna dzwonić. Przez sekundę poczułam się, jakbym została przyłapana na czymś nieprzyzwoitym, ale toć już człowiek człowieka przytulić nie może? Zwłaszcza w podziękowaniu?

Rozplatamy się z uścisku, chwytam za komórkę i wciskam zielony.

– Tak, słucham?

– Nie dzwoniłaś. Co u ciebie? – słyszę cichy szept Beaty. Dawno tak nie cieszyłam się na jej głos, ale jednocześnie dziwnie mi z nią rozmawiać, kiedy obok siedzi Tadek.

– Boże, Beata! Słuchaj, toć dużo się podziało, ale może zadzwonię do ciebie na spokojnie jutro, co? Jakaś zmęczona jestem. – Drapię się po karku, a Tadek chyba widzi, że jestem jakaś zmieszana, bo wstaje i podchodzi do okna. Przynajmniej się na krzesło nie musi wdrapywać, wystarczy, że na palcach stanie.

– Wszystko w porządku? Jak ta sprawa? – dopytuje.

– No toć mówię, że jutro zadzwonię i opowiem, tylko odbierz jak pan Bóg przykazał. A, i powiedz Teresie, że wszystko dobrze, i Kubusia pozdrów.

– Tak zrobię. To trzymaj się tam, dobranoc.

– No, no, pa, pa, dobranoc, Beata. – Rozłączam się i od razu podaję telefon Tadeuszowi, żeby pomógł mi zapisać jej numer. Na wszelki wypadek proszę go, żeby zapisał też u siebie, bo kto wie, czy Piegowata znowu czegoś nie namiesza.

– Wszystko w porządku? – pyta Tadek i ponownie siada na łóżku.

Kiwam głową.

– Zastanawiam się, jak wyglądają inne twoje rysunki. Musisz mi kiedyś pokazać albo zrobić jaką wystawę! W domu kultury na przykład.

– Mówiłem już, że nie robię tego dla sławy – odpowiada spokojnie.

– A rysowałeś tak jeszcze kogo? Z taką dokładnością?

– Oczywiście. – Patrzy w górę, jakby próbował sobie przypomnieć każdą twarz, której oddał godziny pracy. – Ale nie rysuję byle kogo, zawsze wybieram kogoś ważnego dla mnie, na przykład matkę i ojca, prababkę, rodzeństwo czy moją żonę.

– Zatem czym sobie zasłużyłam na dołączenie do tego grona?

Tadeusz przez chwilę milczy.

– Dobra z ciebie kobieta, pomóc chcesz w słusznej sprawie… – Zawiesza głos. – I masz oczy mojej Hani.

Ciarki przechodzą przez moje ciało, bo przecież chwilę temu myślałam o Staśku.

Co ja wyprawiam? Praktycznie nic nie wiem o Tadku, znamy się parę dni. Ale jednak jest mi w jakiś sposób bliski.

– Mogę o coś spytać?

– Możesz – odpowiadam niepewnie.

– Jak straciłaś małżonka, jeśli można wiedzieć?

Odkąd Tadeusz opowiedział mi o żonie, przeczuwałam, że będzie chciał zapytać o mojego Staśka. Teraz w końcu przyszedł czas, by podzielić się z nim tym niewesołym tematem.

– Stasiek kochał gołębie, hodował je na działce – zaczynam i uśmiecham się, bo przypominam sobie ich wdzięczne gruchanie. – To była jego pasja od małego.

Często wspominał, jak z ojcem dbali o gołębie, ale to jeszcze jak mieszkali na wsi. Kiedy już się przeprowadziliśmy do Gdyni, to udało nam się znaleźć niewielką działkę, żeby było gdzie kwiatów i warzyw posadzić czy ognisko zrobić. Taka ucieczka od blokowiska. No i właśnie żeby Stasiek miał gdzie postawić klatki na swoje gołębie.

– A ile ich było? – dopytuje Tadek.

– Ło matko, żebym to ja zliczyła! Coś koło czterdziestu, może czterdziestu pięciu.

– To duża ta działka musiała być. – Uśmiecha się pod wąsem.

– Ano, taka wiesz, w sam raz, ale Stasiek to im istny raj zbudował. Jakieś wybiegi z klatki do klatki, tarasiki, drewniane pryczki, żeby miały gdzie spać. Pamiętam, że jak jego koledzy przychodzili, to tak im zazdrość z oczu biła, że dej spokój.

– Nic dziwnego, taki gołębi pałac zbudować…

– Dokładnie, pałac to dobre słowo. I w tej hodowli to miał kilka rasowych gołębi, wiesz, rzadsze okazy, białe kruki. Wsiadał do poloneza, brał jakiego kolegę, żeby raźniej było, na tył kilka gołębi do klatki wsadzali i tak jeździli po Polsce. Na giełdy, wystawy przeróżne, na targi. – Biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze. – Pewnego razu postanowił, że pojedzie na Śląsk. Mówiłam mu, żeby sobie darował, bo przecież raz, że daleko, toć prawie całą Polskę trzeba przejechać, a dwa, że zima, to niebezpiecznie. Bałam się, że wpadnie w jaki poślizg, toć ulice lodem skute, a wtedy to zimy nie wyglądały tak jak teraz. Na szczęście zajechali cali i zdrowi do tych Katowic…

– Chwileczkę, do Katowic? Który to był rok? – Tadeusz chyba powiązał fakty.

– Dwa tysiące szósty. Dwudziesty ósmy stycznia dwa tysiące szóstego roku.

Tadeusz przykrywa usta dłonią, a ja nieskutecznie próbuję powstrzymać łzy.

– Niczego nieświadoma, siedziałam w domu i wyszywałam serwetę, a w tle leciał jakiś serial. Koleżanka do mnie zadzwoniła, żebym szybko przełączyła na kanał, gdzie leciały wiadomości. – Zaczynam się trząść, a Tadek łapie mnie za

rękę, dzięki czemu się uspokajam. – Zobaczyłam ten zawalony dach, a potem przeczytałam nagłówek. Krzyknęłam i zamarłam. – Zaczynam płakać. – Dzwoniłam do Staśka cały czas, ale nie odbierał, ten jego kolega też nie.

Chowam głowę w dłonie, a kiedy zamykam oczy, widzę te góry śniegu, które pokazywali w telewizji. Wszystko do mnie wraca.

Czuję ulgę, że Tadek nie zarzuca mnie pytaniami, tylko w ciszy pozwala mi się uspokoić i dojść do siebie. Nie lubię wracać do tej historii, jest zbyt bolesna, ale nie zawsze warto trzymać emocje w sobie, toć wtedy człowieka niszczy to od środka.

– Kiedy jego ciało zostało zidentyfikowane, udało się je sprowadzić do Gdyni. Pogrzeb był piękny, chociaż było bardzo zimno. – Uśmiecham się smutno. – Później myślałam, że gdyby nie gołębie, Stasiek ciągle by żył. Znienawidziłam te ptaszyska – wyznaję ze złością. – Kiedy widziałam je w parku czy na rynku, od razu je przeganiałam, klęłam na nie jak nigdy. Poszłam na działkę i otworzyłam wszystkie klatki, zaczęłam uderzać w siatkę, żeby sobie poleciały, ale mnie nie słuchały, zapewne czekały na Staśka. Poprosiłam jego znajomego z branży, żeby je pozabierał, bo nie chciałam się nimi zajmować…

Tadek głaszcze mnie po dłoni.

– Wiosną Stasiek miał urodziny – ciągnę – więc poszłam na cmentarz, żeby postawić kwiaty i znicz zapalić. Naokoło pustki. Modliłam się w ciszy i nagle parę metrów obok mnie przysiadł biały gołąbek z kolorową obręczą na nóżce. Spojrzał na mnie, a ja poczułam w sercu, że to Stasiek dał mi znak, że jest ze mną cały czas. Od tamtej pory zaczęłam inaczej patrzeć na te ptaki. Teraz gdzie nie spojrzę, praktycznie wszędzie je spotykam i widzę w nich Staśka. Zrozumiałam, że nie mogę obwiniać ich za jego śmierć. I tak samo na pewno nie chciałby, bym obwiniała siebie… – Kończę mówić, spoglądam na sufit i wycieram łzę.

Milczymy. Słychać tylko lekki wiatr zza okna i brzęczenie żarówki.

– Przykro mi – odzywa się Tadeusz, a ja patrzę w jego oczy, czerwone od wzruszenia. – Kto wie, może teraz Hania i Stasiek też gdzieś siedzą w jakiej izolatce tam, na górze. – Pokazuje na sufit, a ja od razu się uśmiecham.

– Mam nadzieję, że wam chociaż żadnej wstrętnej kaszy nie dają – wołam w niebiosa. – Bo wtedy znak, żeśta do piekieł trafili.

Wybuchamy śmiechem i patrzymy się na siebie wesoło.

– Chyba najgorsze, co mogłam powiedzieć, już za mną, tak że od teraz rozmowy będą przyjemniejsze.

– Nie byłbym taki pewien. – Kręci głową. – My tu gadu-gadu, a Elwira dalej rozprowadza tabletki.

Ech, no tak. Mam wrażenie, że odkąd zjawił się Tadek z tym pięknym rysunkiem, czas się zatrzymał. Ale toć nic nie trwa wiecznie, mamy sprawę do załatwienia.

Nagle doznaję olśnienia, a Tadek to zauważa, bo mówi:

– Oho, chyba coś wymyśliłaś. Co robimy? – Prostuje się.

– Chyba właśnie po raz pierwszy nie musimy nic robić. Przynajmniej za wiele.

– To znaczy?

– Mówiłeś, że Czesia miała ze sobą torebkę, tak?

– No tak.

– Czyli na bank miała przy sobie Dietostop. Może znajdzie go jaki lekarz albo pielęgniarka. Przecież jak oni medyczni, to chyba od razu rozpoznają, że coś podejrzane, nie?

– I będą grzebać w torebce? – powątpiewa.

– No a jak – prycham. – Piegowata się jakoś nie krępowała.

Tadek przyznaje mi rację, a ja wyobrażam sobie, jak sprawa może potoczyć się dalej.

Może z tego szpitala przyjedzie jakiś naukowiec i będzie wypytywał… albo nie! Pojawi się detektyw i będzie się chciał odchudzić, i do Rudej go skierują, bo przecież naiwne żaby będą tylko myśleć o nowym kliencie i zarobku.

– Dobrze, to zróbmy tak – mówi Tadek. – Ty odpoczywaj i czekaj na lekarza, pewnie przyjdzie po kolacji.

– Czas najwyższy!

– Ja tymczasem postaram się czegoś dowiedzieć. Odwiedzę cię jutro po śniadaniu.

– Rozsądnie mówisz, kto by pomyślał – droczę się. – Dobrze, leć zatem, tylko weź te zakupy, bo mi tu zgniją. I uważaj, jak będziesz wychodził, żeby cię nie nakryli.

– Będę uważał. – Uśmiecha się. – Śpij dziś dobrze.

– Ty też. Karaluchy pod poduchy.

– A szczypawki do zabawki – kończy szeptem, macha mi na pożegnanie i wychodzi. A ja znowu zostaję sama.

Mogłabym zadzwonić do Beaty, ale już pewnie przysypia przed telenowelą jaką. A niech wrócę i rachunki za prund będą większe, to popamięta.

Mija jakieś pół godziny i wreszcie słyszę kroki. Drzwi pikają i do środka pewnym krokiem wchodzi ktoś, kogo nie spodziewałam się zobaczyć.

BOŻE, BEATA!

JAK GÓRNIK Z PODZIEMNYCH CZELUŚCI WYPUSZCZONY NA POWIERZCHNIĘ

Myślałam, że doktor Jarząbek jest za wysoko postawiony, żeby się takimi sprawami zajmować. Ale dzięki Bogu, że właśnie jego przysłali, ten to przynajmniej jakie fakty autentyczne przedstawi.

– Dzień dobry, droga pani – uśmiecha się nerwowo.

– Dzień dobry. Proszę mi wybaczyć, ale nie powinien być doktor w takim kombinezonie, co to przed tym wirusem broni?

– Właśnie w tym rzecz. – Drapie się po karku. – Przychodzę z wiadomością, że nie ma pani żadnego wirusa. Wyniki, które ktoś z pracowników zostawił w gabinecie, okazały się nieco… jak by to powiedzieć… wątpliwe. Pewnie zaszła jakaś pomyłka.

Zdziwiona, otwieram usta, ale po chwili uśmiecham się pod nosem. Toć teraz wszystko układa się w całość. Jak nic to Piegowata sfałszowała wyniki. Wpierw namieszała w mojej komórce, a potem złożyła mi wizytę, podczas której ostrzegała mnie, żebym nie wściubiała nosa w nie swoje sprawy. Oczywiste jest, że to ona namąciła w dokumentach i siedzę tu bez celu.

– Albo ktoś maczał w tym palce – mówię.

– Co ma pani na myśli? – pyta podejrzliwie Jarząbek. – Sugeruje pani, że ktoś sfałszował wyniki?

Mam zagwozdkę: przemilczeć sprawę czy jednak powiedzieć mu o swoich podejrzeniach. Miałabym to już z głowy, ale nie powinnam psuć planu. Toć jeszcze

namieszam niepotrzebnie, a cholera wie, czy doktor by mi uwierzył. Przecież Piegowata to jego współpracownica, pewnie stanie po jej stronie.

– Nie, tak sobie tylko głośno myślę. – Bawię się włosami i udaję głupiutką paniusię. – Wie doktór, jak człowiek zamknięty w ciasnym pokoju, to różne scenariusze do łba przychodzą.

– No dobrze, to teraz zadam pani kilka pytań i wykonam podstawowe badania.

– Czyli będę mogła dzisiaj wyjść? – pytam z nadzieją.

– Prawdopodobnie tak. W imieniu naszego sanatorium najmocniej przepraszam za to zamieszanie. Mam nadzieję, że to nie wpłynie na ocenę wizyty.

– No nie wiem, nie wiem. – Krzyżuję ręce na piersi i przybieram pozę obrażonej. A nuż coś wskóram. – Chyba należałaby się za tę holendarną pomyłkę jakaś rekompensata.

Doktor Jarząbek chyba załapał aluzję, bo od razu się wyprostował.

– Oczywiście, droga pani, dbamy o naszych gości, zatem dostanie pani dziesięć procent zwrotu za cały pobyt. Wykonamy przelew na konto, z którego dokonano wpłaty.

– Wie doktór co, wolałabym na inne konto albo w gotówce. – Toć trzeba dbać o interesy, przecież jakby zrobili przelew z automatu, to poleciałoby do Gośki. A ona o niczym nie musi wiedzieć, zwłaszcza że groszem śmierdzi, oj, śmierdzi. Ja tymczasem będę miała zasiłeczek na krzyżówki i puder.

– Da się załatwić. – Uśmiecha się.

Po mniej więcej dwudziestu minutach wywiadu i krótkich badań jestem wolna, nareszcie! Jarząbek odprowadza mnie do głównego holu i oddaje pod opiekę miłej pielęgniarce. Czuję się jak jaki górnik, co to po czasie spędzonym w czeluściach podziemi w końcu wyszedł na powierzchnię.

W pokoju biorę gorącą kąpiel i zakładam świeżą piżamę, a następnie dzwonię do Tadeusza, by podzielić się informacją, że już jestem na wolności. Matko, jak to brzmi, jakbym co najmniej jakim rabusiem była! Bo to, że raz na jakiś czas skubnę

cukiereczka na stoisku ze słodyczami, to chyba mnie jako złodziejkę nie kwalifikuje? Toć trzeba spróbować, w ciemno brać nie będę.

– Bardzo się cieszę – mówi z wyraźną ulgą. – Teraz musisz się przespać. Spotkamy się jutro na śniadaniu?

– Tak, najlepiej od razu o siódmej trzydzieści – proponuję.

– Zatem do zobaczenia. Dobranoc.

– Dobranoc, Tadku. – Rozłączam się i na wszelki wypadek wsuwam komórkę pod poduszkę. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Niby to niezdrowe pod głową telefon trzymać, tak przynajmniej kiedyś czytałam w gazecie, że to jakie wiatry czy tam inne fale wypuszcza, co przez mózg przelatują, ale muszę się poświęcić dla własnego spokoju.

Odmawiam przyspieszony pacierz i zasypiam, a następnego dnia budzę się koło siódmej. Od razu wkładam rękę pod poduszkę, ale komórka jak leżała, tak leży, więc oddycham z ulgą.

Doprowadzam się do ładu i schodzę na śniadanie.

– Chodź, chodź, zająłem kolejkę. – Tadeusz, ubrany w żółtą koszulkę polo jak jaki kanarek, macha do mnie, a ja przeciskam się między kuracjuszami.

– Dzień dobry – witam się i od razu przechodzę do rzeczy, zniżając głos do szeptu: – Ciekawe, czy Dawidowi udało się wszystko załatwić. Mam nadzieję, że się dowiedział, że wyszłam z izolatki.

– Na pewno – uspokaja mnie.

– Może do niego zadzwoń albo zajrzyj do jego salki?

– Tak zrobię. Ale wpierw zjedzmy.

Drzwi się otwierają i wchodzimy do środka.

– Tak się zastanawiam, jak Rudej nie jest wstyd – mówię, kiedy siedzimy już przy stoliku, każde nad swoją porcją. – Przecież doprowadziła do takiego nieszczęścia, Czesia leży, biedna, w szpitalu, nie wiadomo, co się z nią dzieje.

– To może wybierzemy się do niej w odwiedziny? – proponuje Tadeusz.

– Dobry pomysł – mówię i podaję mu serwetkę, bo wąs cały ma w majonezie. – Czesia na pewno musi odpoczywać, ale może nas wpuszczą. O, i mam pomysł! Jednego dnia miała na sobie bluzkę w tulipany, może jej zaniesiemy bukiet? Jak wracaliśmy z kościoła, to widziałam kwiaciarnię. Nawet jak nie pozwolą nam do niej wejść, to poda się komuś w szpitalu, żeby jej zaniósł. Na pewno zrobi się jej miło.

– Z chęcią się dołożę, kwiaty teraz takie drogie.

– To miłe z twojej strony.

– To co, zjemy i ruszamy?

– A zdążymy przed zabiegami? – Patrzę na zegarek.

– Najwyżej weźmiemy taryfę – proponuje, a ja wybucham śmiechem.

– No co?

– Przypomniała mi się sytuacja na dworcu. Toć pewnie już zawsze słowo „taryfa” będzie mi się tylko z tobą kojarzyć.

– To dobrze czy źle?

– A ja wiem? Przynajmniej jakie wspomnienie z wyjazdu zostanie – odpowiadam i wstaję od stolika, bo czuję, żem czerwona jak czupryna Rudej.

Do kwiaciarni idziemy spacerem, kupujemy bukiet i bierzemy taryfę z postoju za rogiem. Kiedy podjeżdżamy pod szpital, prosimy kierowcę, by nie odjeżdżał, i w ekspresowym tempie zostawiamy kwiaty na recepcji z dokładną instrukcją, komu przekazać. Tadek przekonał mnie, że to nie czas jeszcze na wizyty. Niech bidula odpocznie, bo to wszystko za świeże, a z kwiatów na pewno się ucieszy. Ruda by nawet nie wpadła na taki pomysł, a gdyby miała tu przyjść, to pewnie tylko po to, żeby ukraść wiązankę.

Wkrótce ponownie jesteśmy pod bramą wjazdową na teren Bursztynka. Zbliżamy się do głównego wejścia, a naszą uwagę zwraca stojący obok radiowóz policyjny. Uśmiecham się mimo woli, bo oczami wyobraźni widzę Elwirę w kajdankach. Dobrze ci tak, ruda małpo!

Ciekawe, jaką będzie mieć minę, kiedy ją zapakują do środka. Pomacham jej na pożegnanie. Albo nie, odwrócę wzrok otensta… ostensta… No, tak żeby widziała. Ach, ile możliwości!

BOŻE, BEATA!

TA POLICJA JEST GŁUPSZA OD MAŚLAKOWEJ

Policyjne auto lśni jak panele na święta, a ja czuję, że serce zaraz wyskoczy mi z garsonki. Tadek zachowuje spokój.

– Ciekawe, co się stało. Może było jakieś włamanie? – zastanawia się.

– Ja myślę, że to nie włamanie, ale sprawiedliwość. Mówię ci, przyjechali po Elwirę, może nawet już wsadzili ją na tylne siedzenie. Najwyższy czas.

Spoglądamy przez szybę, ale za kierownicą nikogo nie ma. Może właśnie trwa obława? Niech się pospieszą, bo już się nie mogę doczekać.

Wchodzimy do holu, a tam zamieszanie jak na rynku w piątek. W tłumie dostrzegam trzech policjantów, którzy rozmawiają z Parówką, Watą Cukrową i Miotłą.

Całe szczęście, pewnie się spowiadają żaby z całej historii i nie będę musiała tyle gadać.

– Nie widzę Elwiry, może faktycznie już tam siedziała w tym wozie – mówię do Tadka i rozglądam się wśród ludzi. Napotykam spojrzenie doktora Jarząbka. Uśmiecham się do niego i podnoszę rękę, ale ten ma minę poważną i lekko spanikowaną, jakby jakiego ducha zobaczył. Zamiast mi odmachać, wskazuje na mnie palcem i mówi coś do policjanta, a ten szybkim krokiem idzie w moją stronę.

– Pewnie chcą, żebym też złożyła zeznania.

Policjant jest już przede mną i każe mi się przedstawić.

– Pani mieszka w pokoju numer czterdzieści cztery, prawda?

Potwierdzam, a on… Ej, zaraz, gdzie z tymi łapami?! Wyciąga z kieszeni kajdanki, szarpie mną, jakbym była jakim zbirem, i mnie zakuwa. Wszystko trwa kilka sekund. Patrzę na Tadka, który szarpie się z drugim policjantem.

– Puśćcie ją! – krzyczy Tadeusz, ale funkcjonariusz go odpycha i każe się uciszyć.

– To pomyłka! Natychmiast mnie rozkuj! To nie mnie szukacie! – krzyczę.

– Aresztujemy panią – odpowiada policjant niskim głosem i popycha mnie w kierunku wyjścia.

– Jakim prawem? Ja nic nie zrobiłam! – próbuję się bronić. – Bzdury! Coś pan, z choinki spadł?!

– Jest pani aresztowana pod zarzutem nielegalnego handlu substancjami narkotycznymi i posiadania broni.

– Co za bzdury! Jaka broń?! To przykład skrajnej niekompotencji!

Wychodzimy na zewnątrz i zanim zdążę zaprotestować, pakują mnie do radiowozu.

– Czyście zupełnie zmysły postradali? Chyba w towarzystwie Maślakowej za długo się było!

– Proszę się natychmiast uspokoić i nie atakować werbalnie funkcjonariusza! W pani pokoju zostały znalezione duże ilości nielegalnych substancji oraz pistolet – rzuca szybko. – Będzie się pani tłumaczyć potem.

Do wozu wsiada jeszcze jeden policjant i samochód rusza, a ja patrzę przez szybę na oddalającego się z każdą sekundą bezradnego Tadeusza. Zapasy leków? Broń? Niby gdzie to znaleźli? Rano niczego żem nie widziała, zamek w drzwiach działał jak trzeba, więc nikt się do mnie nie włamał. Chyba że ktoś mi to podrzucił wcześniej. Tylko komu by się udało wejść, skoro klucz miałam przy…

Nie, nie może być.

Przecież klucz dałam tylko jednej osobie.

I tą osobą był Dawid.

BOŻE, BEATA!

DEJTA SPOKÓJ, JAK JA SKOŃCZYŁAM!

Ledwo co zaznałam smaku świeżego powietrza i, rzec by można, wolności, a znowu wylądowałam w zamknięciu. Moja – jak to w ogóle brzmi, dejta spokój – cela nie różni się zbytnio od izolatki: ot, prycza i okno z kratą. Czym sobie zasłużyłam?!

Całą drogę na komisariat siedziałam w ciszy i przede wszystkim w smutku. Na myśl, że ten cudny chłopak mnie zawiódł, a nawet więcej – zdradził i oszukał, chce mi się płakać. Jak mógł mi coś takiego zrobić? Przecież był taki dobry i opiekuńczy, do aniołka go porównywałam, a tu o, pokazał różki. Oj, ja też głupia, mogłam mu nie dawać tego klucza.

Przypomina mi się, jak unikał tematu Piegowatej. Teraz już wiem dlaczego. Pewnie ze sobą współpracują. Obstawiam, że jak żem się mu wygadała z tej całej sprawy, to potem naskarżył Piegowatej i o, zaplanowali cały ten fetor. Dawid dał mi wtedy wodę, a kto wie, czy do niej czegoś nie dosypał albo nie dolał. Może dlatego padłam na podłogę?

Okręcił sobie biedną starszą panią wokół palca, grając słodkiego chłoptasia, a potem wszedł do mojego pokoju i podrzucił te paskudztwa.

A co z żabami? Przecież widziałam, jak rozmawiały z policjantami, na pewno mówiły im o Rudej, więc czemu ja tu siedzę, co ja mam z tym wspólnego?

Od tych pytań zaraz mi głowa eksploduje.

Na moje szczęście albo i nieszczęście widzę policjanta, który podchodzi do kraty, otwiera zamek i zaprasza mnie na zewnątrz. Ten to dopiero będzie miał pytania.

Mężczyzna jest rosły jak stary dąb, pewnie jak staje na dworze, to rzuca cień na połowę trawnika. Minął się z powołaniem, powinien zostać koszykarzem. Ma krzaczaste brwi i krótko przystrzyżony zarost, a w jego łysej glacy odbija się światło zimnej jarzeniówki. Z racji przewagi jego postury nad moją nie nakłada mi kajdanek, tylko chwyta mnie pod ramię. Bez słowa idziemy długim korytarzem, a następnie wchodzimy do pokoju, który, o dziwo, nie wygląda jak w żadnym serialu kryminalistycznym. Nie jest tu ciemno ani ponuro, wręcz przeciwnie. Kilka okien wpuszcza dużo światła, tak że może nie będę oślepiana przez biurkową lampkę.

Pod ścianami stoi mnóstwo szafek, szafeczek, papierów, pudeł – to prawdopodobnie jakiś gabinet. Mogliby tu trochę ogarnąć, jeszcze tylko nasr… narobić na środku.

Zawsze miałam nadzieję, że odwiedzę muzeum *Ojca Mateusza*, a tymczasem zaraz będę zeznawać, w dodatku nie jako świadek, ale potencjalny przestępca! Boże, dopomóż, żeby mnie prędko wypuścili. I żeby się tylko Maślakowa nie dowiedziała.

Przy stole pod ścianą stoją trzy krzesła. Siadam na jednym, a policjant zajmuje miejsce po drugiej stronie. Po chwili do pokoju wchodzi młoda, drobna policjantka z włosami spiętymi w kitkę i siada koło dryblasa. Ale się dobrali, Flip i Flap. Kobieta włącza ten cały domofon, to znaczy dyktafon, i odchrząkuje, jakby miała przemawiać na apelu.

– Komendant Aneta Fryta.

– Młodszy aspirant Piotr Podlaski.

Policjantka wskazuje dłonią na mnie, więc idę w ich ślady i przedstawiam się do mikrofonu. Nie wiem, czy potrzebują czegoś więcej, więc na wszelki wypadek dyktuję swój pesel i adres, a następnie grupę krwi.

– Spokojnie, tyle nam wystarczy – przerywa mi pani Aneta. Uśmiecha się delikatnie, ale zaraz poważnieje. Jednak kobieta kobiecie równa, myślę sobie, to może będzie dla mnie mniej surowa.

– Dlaczego tu jestem?

– To my tu będziemy zadawać pytania – rzuca stanowczo dryblas.

– A mógłby pan chociaż, z łaski swojej, przypomnieć te całe zarzuty? Toć chyba mam prawo wiedzieć?

– Powtarzam więc, że została pani aresztowana, ponieważ oskarżono panią o handel nielegalnymi środkami – zerka w dokument na stole – rzekomo odchudzającymi, w których wykryto substancje narkotyczne, w tym amfetaminę.

– Ja nawet nie wiem, co to jest! – podnoszę głos.

– Proszę się uspokoić albo będę musiała panią skuć – mówi policjantka. – Aspirancie Podlaski, proszę kontynuować.

– Prócz nielegalnych substancji, umieszczonych w ponad trzydziestu pudełkach z nadrukiem – patrzy w papiery – „Dietostop Plus”, znaleziono w pani pokoju pistolet samopowtarzalny. A także damskie skórzane rękawiczki, co może wyjaśniać brak odcisków palców na broni.

– Sprytnie to zaplanowali… – mówię.

– Nieprawdaż? – Policjant marszczy brwi. – Skąd wzięły się w pani pokoju wszystkie te rzeczy?

– Pan mi powie, to będę wdzięczna – prycham i krzyżuję ręce na piersi. Dobrze, że nie mam tych kajdanek, bobym się poplątała jak jaka nić Adriana.

– Zatem twierdzi pani, że nie ma pani z tym nic wspólnego?

– Z tą spluwą i zapasem leków? A skąd!

– Świadkowie twierdzą inaczej – włącza się policjantka.

– Świadkowie? – dziwię się. – Ma pan na myśli te trzy kobiety, co żeśta z nimi rozmawiali przy recepcji?

Policjanci chyba nie mogą nic zdradzić, bo coś nie są skłonni do odpowiedzi. Może dają mi czas, bym sobie sama odpowiedziała na pytanie.

– Myślałam, że stanęły w mojej obronie…

Aż się we mnie gotuje ze złości. Kłamliwe pluskwy! Najpierw Piegowata, potem Dawid, a teraz się okazuje, że Parówka, Wata Cukrowa i Miotła nagadały policji, że to ja byłam odpowiedzialna za sprzedawanie tego odchudzającego bubla. Jeszcze wyszło, że w składzie były jakieś używki! Zastanawiam się, czy Ruda też zeznawała, bo w holu nie rzuciła mi się w oczy jej piekielna czupryna.

– Wręcz przeciwnie – odzywa się Fryta, odrzucając kitkę do tyłu.

– Oj, jestem bardzo ciekawa, co te fałszywe bździ…

– Słownictwo – upomina mnie dryblas.

– Przepraszam, proszę mówić. – Milknę i przygotowuję się do wysłuchania tych bujdów na resorach.

– Zgodnie z zeznaniami świadków przyjechała pani do sanatorium Bursztynek i nazajutrz zorganizowała pani w swoim pokoju spotkanie promujące nielegalny środek odchudzający. Zachwalała pani rzekomą skuteczność przywiezionych tabletek, a także wyśmiewała pani tuszę nowych znajomych, co, jak twierdzą, miało przyspieszyć ich decyzję dotyczącą kupna owego specyfiku. Wręczyła im pani darmowe próbki i nakłaniała do zwerbowania innych klientek, wybranych z grona kuracjuszek sanatorium Bursztynek.

– Matko Boska… – Łapię się za głowę.

– Jeszcze nie skończyłam – mówi Fryta. – Świadkowe twierdzą, że odmawiały współpracy, chciały zrezygnować z zażywania tabletek, jak również z werbowania potencjalnych klientek, jednakże były zastraszane przez panią nie tylko słowami, lecz także – wyjmuje skądś i pokazuje mi przezroczystą torebkę z pistoletem – tą oto bronią.

– To ta spluwa leżała w moim pokoju?! – Wzdrygam się na samą myśl, że takie niebezpieczne narzędzie było już obok mnie.

– Zgadza się – potwierdza Podlaski.

– Co więcej – kontynuuje policjantka – prócz wspomnianych poszkodowanych kobiet była i czwarta ofiara.

Modlę się, by nie wspomniała o Tadeuszu, przecież on niczemu nie jest winien. Na pewno się strasznie zamartwia.

– Pani, o której mowa, miała zawał i została przewieziona do szpitala…

Kamień spadł mi z serca, że nie chodzi o Tadka.

– …gdzie w jej krwi wykryto amfetaminę. W torebce poszkodowanej znaleziono opakowanie leku, który natychmiast poddano badaniom. Wykryto w nim tę samą substancję. Lekarze niezwłocznie powiadomili policję.

– Amfetaminę? Taki narkotyk, co to zażywają nosem za pomocą kart kredytowych? – dopytuję, bo widziałam kiedyś coś podobnego w *Detektywach*.

– O proszę, czyli zna się pani na rzeczy – rzuca Podlaski.

– Och, wypraszam sobie! Niech mi lepiej pan wytłumaczy, co to robi człowiekowi.

– Amfetamina to silnie uzależniający narkotyk, który osłabia apetyt i hamuje odczuwanie głodu. Wszystkie rozmowy o odchudzaniu, nakłanianie do zmniejszania porcji, a przede wszystkim uzależnienie się od tej silnej substancji wpłynęły na to, że pani ofiary skutecznie się głodziły. Jedna z kobiet zeznała, że pilnowała ich pani na stołówce, by przypadkiem nie nakładały sobie więcej jedzenia. Być może zadziałał również efekt placebo.

– Jaki znowu placek? – przerywam.

– Nie jest wykluczone, że osoby stosujące rozprowadzany przez panią środek wmówiły sobie jego pozytywne działanie – tłumaczy policjant i patrzy na mnie groźnie. – Ten pani Dietostop Plus miał za zadanie przede wszystkim uzależniać, by klienci kupowali więcej.

– Podobno kobiety skarżyły się pani, że lek im nie pomaga i nie chudną, a pani wmawiała im, że na efekty trzeba jeszcze trochę poczekać. Jedna zemdlała w pokoju. Czy pani o tym wiedziała? – pyta Fryta.

Zaprzeczam, tak jak mam też ochotę zaprzeczyć każdemu słowu tej ich opowieści. Pozwalam im jednak dokończyć, bo jużem się zorientowała, że mundurowi nie lubią, jak im się przerywa.

– Świadkowie, mam na myśli te trzy panie, z którymi rozmawialiśmy, same podeszły do nas w sanatorium i złożyły doniesienia. Nie było pani wtedy na terenie ośrodka. Skąd pani wróciła?

– Ze szpitala – odpowiadam krótko. Czuję się, jakbym była odpytywana przez nauczycielkę.

– Po co tam pani była?

– Żeby zawieźć kwiaty.

– Komu?

– Pani Czesławie, tej po zawale – ściszam głos.

– Widziała się z nią pani?

– Nie, bukiet zostawiłam na portierni – tłumaczę.

– Więc co? – odzywa się Podlaski. – Doprowadziła pani do tragedii, wmawiała pani poszkodowanej, że jest otyła, i faszerowała ją narkotykami, a kiedy trafiła do szpitala, nagle ruszyło panią sumienie?

– To nie ja! – wołam rozpaczliwie. Czuję, że szklą mi się oczy.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze z panią Czesławą, natomiast dowody rzeczowe i zeznania świadków składają się w całość i przemawiają na pani niekorzyść – mówi łagodnie Fryta.

– Czesia się nie obudziła? – Ocieram łzę. – Musicie z nią pogadać! Ona wam powie prawdę!

– Ciągle czekamy na pozwolenie ze szpitala. Lekarz da nam sygnał, gdy pani Czesława dojdzie do siebie i będzie w stanie z nami rozmawiać.

– Boże, żeby jej nie dopadły – mówię do siebie.

– Dopadły?

– No żeby tylko jej nie przekabaciły na swoją stronę – wyjaśniam i patrzę pani Anecie w oczy. – Pewnie Ruda im zapłaciła za te wierutne kłamstwa.

– Ruda? – dopytuje Podlaski. – Kim jest Ruda?

– A co? Te wasze świadki nie wspomniały o Elwirze?

– Nie. Kim jest Elwira i czemu ma ksywkę? To jakaś pani koleżanka z branży, prawda? Próbuje pani kogoś wsypać? – podjudza mnie Podlaski. Ten to dopiero jest wrzód tego komisariatu. Pewnie wyłysiał, bo się za głośno darł, to się włosy wystraszyły i wypadły.

– Koleżanka – prycham. – Akurat.

– Z naszej strony to tyle. – Fryta poprawia mundur. – Proszę, by teraz pani przedstawiła całą historię i zeznała, co się działo, odkąd przyjechała pani do Ciechocinka.

– Muszę zacząć wcześniej.

– Dlaczego?

– Bo to właśnie Elwirę, proszę ja was, spotkałam podczas podróży pociągiem i wtedy zaczęła się ta cała… przygoda. Zróbcie sobie, dzieci, jaką kawę, bo to będzie długa opowieść…

Nie wiem, ile siedziałam przy tym stole, ale czułam, że drętwieją mi pośladki od niewygodnego krzesła, więc pewnie z kilkadziesiąt minut.

Nie przerwali mi, o dziwo, ani razu, tylko policjant zadał w międzyczasie kilka pytań. Mimo że całość się nagrywała, to i tak coś notowali.

Jestem pewna, że powiedziałam wszystko od A do Z. Nie pominęłam żadnego dnia, żadnej godziny. Starałam się opowiedzieć szczegółowo wszystko, co działo się od momentu wejścia do pociągu na gdyńskim dworcu aż do chwili, kiedy wpakowali mnie do radiowozu.

Musiałam niestety wspomnieć o Tadeuszu, ale gdybym o nim nie powiedziała, pewnie po czasie zarzuciliby mi jakie składanie fałszywych zeznań czy inne takie. A wiadomo, jak to się kończy w telewizji: roboty społeczne, dożywocie albo krzesło.

Kiedy mówiłam, wspólnie majstrowaliśmy przy mojej komórce, bo na wszelki wypadek potrzebowali numer do Tadka i Beaty. Może będą musieli zeznawać i spowiadać się z tego, co im gadałam? Boże, Beata, toć ty zginiesz w tym całym

pociągu, jakbyś musiała się do Ciechocinka tułać. Albo, nie daj Boże, podzielisz los Czesi, jak dostaniesz telefon z komisariatu. Toć tyś bojaźliwa jak jaka trusia.

Tadka pewnie tu ściągną raz-dwa, bo pod ręką, a i mam nadzieję, że mi się dadzą z nim zobaczyć. Broniłam go jak lew, mam nadzieję, że go nie posądzą o rzekome pomaganie mi przy tym całym incydencie, ale wydaje mi się, że te baby nic o nim nie mówiły, tylko się mnie uczepiły. Jak smród do gaci.

Powiedziałam im też o moich podejrzeniach dotyczących Piegowatej i Dawida. Zasugerowałam, że to pewnie oni współpracowali z Rudą, a tamte trzy żabiska były jej pionkami, które sobie owinęła wokół krzywych paluchów.

Powiedzieli mi na koniec, że i tak muszą raz jeszcze przesłuchać Watę Cukrową, Miotłę i Parówkę, a także Dawida i tę piegowatą pluskwę z recepcji. Ciągle mnie serce boli, jak sobie o nim pomyślę.

Siedzę teraz w celi i czekam na rozwój wydarzeń. W izolatce to chociaż mi ktoś mógł kiełbasę przez okno podrzucić, a tu się czuję jak w więzieniu. Co ja gadam, ja SIEDZĘ w więzieniu!

W ciszy odmawiam koronkę do Miłosierdzia Bożego w intencji, żeby sprawiedliwości stało się zadość, kiedy do celi podchodzi pani Aneta.

– Pójdzie pani ze mną. Jest ktoś, kto chciałby się z panią zobaczyć – informuje, a następnie przysuwa się do mnie dziwnie blisko i rozgląda się dookoła. – Ja pani wierzę.

Przez ciało przechodzą mi ciarki, a w środku czuję natychmiastową ulgę i ciepło.

– Naprawdę? – pytam błagalnie.

– Tak, ale wie pani. Dowody i zeznania świadków są na razie niepodważalne, więc wszystko wskazuje na pani winę. Choćbym chciała, nie mogę pani wypuścić. Rozumie pani?

Kiwam głową na potwierdzenie i idę za nią na korytarz. Kierujemy się do innej salki, w której, ku mojemu zdziwieniu, siedzi Dawid.

– Co ty tu robisz?! – krzyczę z wyrzutem, a następnie zwracam się do Anety: – Zamknijcie go, to on pomógł mnie wrobić!

– Nie, ciociu, posłuchaj – mówi smutno Dawid.

– Nie ciociuj mi tu! Ja ci zaufałam, krówkami cię dokarmiałam, a ty żeś mi nóż w plecy wbił jak jaki Judasz! Jak mogłeś?! Broń mi podłożyłeś, toć otruć mnie chciałeś!

– Proszę pani, niech się pani uspokoi i wszystkiego wysłucha – słyszę opanowany głos Fryty. – Pan Dawid zeznawał w pani obronie, właśnie skończyliśmy go przesłuchiwać.

– Ob… obronie? Jak to? – Siadam, zdezorientowana, na krześle.

– Kiedy wymieniła pani pana Dawida jako jednego z rzekomych przestępców, nasi ludzie po niego pojechali. Również po panią Katarzynę Nowak, to znaczy recepcjonistkę. Jak to pani mówiła, Piegowatą. Tej niestety nie było w ośrodku i ciągle czekamy na jakieś wieści, szukają jej – tłumaczy Aneta i opiera się o ścianę. Mam wrażenie, że chyba nam ufa, bo nie kazała nas skuć żadnymi łańcuchami.

– I co on zeznał?

– Niech sam pani opowie. – Aneta zerka w stronę Dawida i kiwa głową.

– Ciociu, znaczy proszę pani – poprawia się. – Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć, a w zasadzie to nawet głupio mi o tym wspominać dopiero teraz.

Bierze głęboki wdech, a ja pozwalam mu mówić. Mimo obecnego braku sympatii do niego czuję, że powinnam dać mu szansę.

– No więc kiedyś chodziłem z Kasią, znaczy z tą recepcjonistką – wyrzuca z siebie.

Ach, więc dlatego wspomniał, że jej nie lubi. Wreszcie się na niej poznał.

– Wszystko było między nami dobrze do czasu, aż wpadła w uliczne towarzystwo. Poznała takiego podejrzanego chłopaka, Wojtka, i poleciała na niego, a jednocześnie zaczęła się trzymać z jego paczką. Choć właściwie powinienem powiedzieć: z gangiem. Ale o tym za chwilę. Żal mi było Kasi, a nie miał jej kto

przemówić do rozumu prócz mnie, ale nie słuchała. Jak była mała, to jej rodzice zginęli w wypadku i zajmowała się nią babcia czy tam ciocia, nie wiem, nigdy jej nie poznałem. – Dawid kręci teraz nerwowo kciukami. – Zabrała mnie kiedyś na spotkanie z tą, jak to mówiła, „ekipą". I wtedy zaczęło się dziać najgorsze.

– Ale to jeszcze byliście razem czy ona już z tamtym była? – próbuję się połapać.

– Nie, nie, była ze mną – odpowiada smutno. – Zauważyłem, że leci na Wojtka, więc starałem się dla niej robić wszystko, o co mnie poprosiła. Byłem zaślepiony, nie chciałem jej za nic stracić. To właśnie wtedy zaczęła brać narkotyki.

Dawid robi krótką przerwę, ale tym razem o nic nie pytam, chcę mu dać chwilę oddechu, niech sam mówi.

– Staczała się, a ja, zamiast ją z tego wyciągnąć albo odciąć się od tego towarzystwa, poszedłem w jej ślady i zacząłem handlować narkotykami… – Dawid opuszcza głowę, a ja łapię kontakt wzrokowy z Anetą, która już drugi raz słyszy tę historię. Ta to ma pracę! Siedzi i słucha opowieści jak z filmu.

– Robiłem to tylko dlatego, żeby nie stracić Kasi – ciągnie Dawid. – Byłem zdesperowany. Zdradzała mnie z tym Wojtkiem, a ja na to pozwalałem.

– Bo tak ją kochałeś… – Łapię go delikatnie za rękę, a kątem oka upewniam się, czy Aneta nie zainterweniuje.

– Bo tak ją kochałem – potwierdza.

– A co z, że tak powiem, konsekwencjami tego wszystkiego?

– Pan Dawid odbył już karę, poza tym sam zgłosił się na policję. Wydał wszystkich z ich gangu, również swoją partnerkę – włącza się Aneta.

– Tak jest. W końcu powiedziałem stop. Miałem dosyć całego tego syfu, w który wdepnąłem. Kaśka ze mną zerwała, a że Wojtek nie tylko handlował dragami… to znaczy narkotykami, ale robił i gorsze rzeczy, to chyba dalej siedzi.

– Ale wy już jesteście wolni, tak? – upewniam się.

– Tak. Ale pech chciał, że pracujemy z Kaśką w jednym miejscu, więc mamy kosę.

– Jaką znowu kosę?

– Nie lubią się – wyjaśnia Aneta, bo widzi, że nie rozumiem. Toć te młode to tak mówią, że nie zawsze idzie się w tym rozeznać.

– Dalej mi lubi skrzydła w pracy podcinać, ale co mam robić?

– Rób swoje – mówię.

– Dokładnie. Dobrze, że ona tylko siedzi na recepcji, ale z drugiej strony ma dostęp do danych pacjentów, więc może w nich namieszać. Kiedyś, jak nie było doktora Jarząbka…

– Chwila, chwila – przerywam ostro. Oboje spoglądają na mnie. – Pamięta pani – zwracam się do policjantki – jak mówiłam o tych wynikach badań, co to nie miałam tego wirusa jednak?

– Pamiętam.

– To tu ma pani niejako dowód, że mówiłam prawdę. Dawid sam właśnie wspomniał, że tamta miesza w komputerach, mogła umyślnie podmienić wyniki.

– To jest cwaniara, mówię paniom – wtóruje mi Dawid.

– Przepraszam cię, że tak źle o tobie myślałam. – Głaszczę go po dłoni. – Ale sam rozumiesz, to wszystko tak wyglądało, że się pogubiłam. Niemądra byłam, żem cię oskarżyła, przepraszam.

– Ależ proszę pani…

– Mów mi ponownie „ciociu”, dobrze? – Chwytam go za policzek.

– Dobrze, ciociu. – Uśmiecha się szczerze. – Nie musi ciocia przepraszać, wszystko rozumiem i nie jestem zły.

– Ale po co Piegowata, Kaśka znaczy, tak knuła z tym wirusem? – zastanawiam się. – Fakt, węszyłam jak kundel na wysypisku, ale chyba nie na tyle, żeby mnie od razu do kojca pod ziemią zamykać?

– Może chciała zwiększyć sprzedaż? – podsuwa Dawid.

– Czyli to ona rozprowadzała Dietostop? – pyta Aneta. – Mówili państwo, że to niejaka Elwira.

– Mogły współpracować – zauważa Dawid. – Pomyślmy. Kaśka ma smykałkę do gadania i wciskania kitu, coś o tym wiem. Skoro miała dostęp do informacji o pacjentach, to na pewno wybierała spośród nich obiecujących klientów, wśród których mogłaby rozprowadzać lek.

– Rudej zależało, by nie były to osoby wysoko postawione, wiecie, żeby były jak te przysłowiowe szare myszki – dopowiadam. – Zwykłe zawody i takie tam, bez własnych firm.

– Zatem pewnie Kaśka celowała w tego typu pacjentów, żeby ich nakłonić do kupna tego ścierwa.

No dobrze, akurat tego ostatniego słowa Aneta nie musi mi tłumaczyć, ale nie jestem pewna, czy to aby po bożemu.

– Ale na drodze stanęłam im ja! – wołam.

– Do tego zmierzałem. – Dawid klaszcze w dłonie. – Jednak myślimy podobnie.

Cieszę się, że z Dawidem wszystko się naprostowało. Mój kochany aniołek ciechociński. Jak już stąd wyjdziemy, to kupię mu kilogram krówek, albo i dwa!

– To teraz pozostaje nam znaleźć Kaśkę i podpiąć do tych kabli, co kłamstwa wykrywają. – Klaszczę w dłonie. – Zaraz wszystko wyśpiewa.

– Ma pani na myśli wariograf – mówi Aneta. – Świadek bądź oskarżony musi wyrazić zgodę na takie badanie, nie mamy prawa nikogo do niego zmusić.

– To te żaby na pewno się nie zgodzą.

– A Kaśka tym bardziej – dopowiada Dawid i buja się na krześle.

– Zaraz sobie krzywdę zrobisz – ostrzegam, a Dawid błyskawicznie się uspokaja.

– Tak jeszcze wspomnę – odzywa się Aneta – że czeka na panią pewna osoba. Pan Tadeusz Konieczny.

– Tadeusz?! – Aż podskakuję na krześle, które szura o podłogę.

– Niech ciocia uważa, zaraz sobie ciocia krzywdę zrobi – przestrzega mnie Dawid i uśmiecha się jak cherubinek. Chyba wezmę go ze sobą do Gdyni! –

Powinienem już wracać do pracy. Przez to zamieszanie z policją w sanatorium jak nic wrze od plotek. Boję się, jaki cyrk się tam właśnie odbywa.

– Oczywiście, dzieciaku, zmykaj. Dziękuję ci raz jeszcze, jak coś, to możesz do mnie dzwonić. – Zerkam na Anetę. – Jeśli oczywiście dostanę komórkę.

– Zobaczymy, co się da zrobić. – Policjantka uśmiecha się lekko, wstaje i otwiera drzwi.

– Dziękuję, Dawidku! Złotyś chłopak! – Macham mu na pożegnanie.

– Do zobaczenia! Zobaczy ciocia, wszystko się ułoży. Dobro wraca! – Dawid wybiega na korytarz. Młody jest i rączy, to pewnie pobiegnie jak jaki perszing i za chwilę będzie na miejscu.

– To jak? Chce się pani zobaczyć z panem Koniecznym?

– Oj, tak. Koniecznie.

Dziwię się, że w budynku komisariatu jest tyle pomieszczeń, bo żeby się spotkać z Tadeuszem, znowu musimy dokądś pójść. W międzyczasie odwiedzam toaletę, a Fryta gdzieś dzwoni.

Wchodzimy do pokoju i dostrzegam go, jest! Stoi przy oknie, zapatrzony na świat za szybą. Odwraca się na dźwięk otwieranych drzwi i podbiega do mnie z uśmiechem, a kiedy mnie przytula, czuję nagły przypływ ciepła.

Trwamy tak chwilę. Dopiero kiedy słyszymy chrząknięcie Fryty, rozplątujemy się z uścisku.

– Powiem ci, że przeżyłem chwile grozy – mówi z troską. – Wpakowali cię do radiowozu jak kryminalistkę, więc od razu poleciałem po taryfę i przyjechałem.

– Zaraz po przybyciu na komisariat pan Konieczny zaczął wszystko opowiadać i stanął w pani obronie, więc musieliśmy go przesłuchać – dodaje Aneta.

– I co? – dopytuję.

– I zeznania pana Tadeusza pokrywają się z zeznaniami pani i pana Dawida, co przemawia na pani korzyść.

Oddycham z ulgą, ale zaraz zdaję sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec. Ciągle żem się nie oczyściła z zarzutów, nie wyjaśniła się sprawa Rudej, broni czy

tamtych przebrzydłych żab. Mój Boże, toć ja Czesię od Ropuch wyzwałam, wybacz mi, Czesiu. Mam nadzieję, że przeproszę cię na żywo.

Nagle do pokoju wchodzi policjant Podlaski. Ledwo mieści się w drzwiach.

– Na razie nie mogą jej znaleźć – informuje stanowczym tonem. Trzyma w dłoni nadgryzione jabłko. O proszę, je zdrowo, to i rośnie zdrowo.

– Pani Kasi? – pyta Tadeusz i staje bliżej, jakby miał mnie przed czymś bronić.

– Nie, tej rudej, o której mówicie, że to ona za tym stoi.

– Kiedy była pani w łazience, dałam rozkaz moim ludziom, żeby przywieźli tu panią Elwirę. Wychodzi na to, że dziwnym zbiegiem okoliczności nagle z ośrodka zniknęły dwie kobiety potencjalnie zaangażowane w tę sprawę.

Wymieniamy z Tadeuszem spojrzenia. Chyba myśli to samo co ja. W końcu wszystko zaczyna wracać na dobre tory.

Obie, Ruda i Piegowata, są siebie warte, zołzy jedne. Czułam, że coś jest z nimi nie tak, i o, proszę bardzo. Wychodzi szydło z worka.

– Myślisz, że uciekły, bo już się zorientowały, że zostały zdemaskowane? – Tadek zwraca się do mnie i masuje mnie po ramieniu. Policjanci i tak są zajęci sobą, gadają na jakieś policyjne tematy, niezwiązane z naszą sprawą.

– Jestem tego pewna. Sprawy zaszły za daleko, więc dały nogę. Brzydko mówiąc, gdyby nie zawał Czesi, pewnie dalej by to wszystko trwało.

Mam nadzieję, że Czesia powie prawdę i tylko prawdę. Ale tak na logikę, to skąd by niby wiedziała o całym przekręcie? Toć przecież Ruda na pewno kazała kłamać żabom dopiero po zawale Czesi. Obstawiam, że nie były w szpitalu, żeby ją przekabacić, więc raczej o niczym nie wie.

– Oby je jak najszybciej znaleźli.

– I przypięli do tego wiarografu.

– Chciałabyś, prawda? – Tadek podnosi brwi.

– Tak, a jeszcze lepiej od razu do krzesła – żartuję, po czym wybuchamy śmiechem, co przyciąga uwagę policjantów. – Mogę wiedzieć, ile będę tu musiała siedzieć?

– Dalej jest pani…

– Wiem, podejrzana – przerywam Podlaskiemu. – Tak tylko pytam. A państwo niech się lepiej pospieszą i znajdą tamte flądry, bo wolałabym inaczej spędzać czas w Ciechocinku.

Tadeusz nie mógł tu siedzieć cały dzień, więc koniec końców musieliśmy się pożegnać. Obiecał, że wróci jutro, a ja znowu siedzę sama jak ten palec. Szkoda, że nie ma tu telewizora, boby się jaką powtórkę serialu chociaż zobaczyło.

Nudę na szczęście przerywa mi Aneta, która oznajmia, że mogę zadzwonić, do kogo chcę, ale ona będzie przebywać w tym samym pokoju. No tak, przecież mogę współpracować z Rudą i spróbuję ją ostrzec, że ją ścigają. Dejta spokój, jak mogli jeszcze nie znaleźć takiego babiska z płomieniem zamiast włosów?

BOŻE, BEATA!

JEDNAKOWOŻ W CELI KARMIĄ LEPIEJ NIŻ W IZOLATCE

– Boże, Beata, no to ja – mówię do komórki. – Już ci wszystko opowiadam. Ale lepiej siądź… albo nie! Idź po melisę. Już masz? No to co stoisz, siadaj, mówiłam! Nie uwierzysz…

Zdaję jej relację ze wszystkiego, co działo się w ciągu ostatnich godzin, opowiadam, jak zostałam kryminalistką w Ciechocinku. Może będę tak sławna, że mi ławeczkę na pamiątkę wystawią przy deptaku?

Beata milczy jak grób, no nic się nie odzywa, dopiero kiedy kończę, zabiera głos:

– Ale nie jesteś tam głodna?

– Matko Bosko, ty mnie w ogóle słuchałaś?! – drę się do komórki. – Ja tu za kratami siedzę, a ty o jedzeniu myślisz!

– Przepraszam, odjęło mi mowę. – Wzdycha. – Nie wiedziałam, jak zareagować. Kiedy cię wypuszczą?

– Jeszcze nie wiem, najpierw muszą tamte flądry złapać. Słuchaj, musisz koniecznie powiedzieć Teresie i Gośce, ale Kubusiowi nie mów, bo się wystraszy, sama mu powiem, jak wrócę. Albo nie! Nie mów im.

– Czemu?

– A dej spokój, przecież ty wszystko przekręcisz po swojemu – wyjaśniam z głębokim westchnieniem. – Zamienisz więzienie na wesołe miasteczko, a tabletki odchudzające na czopki na hemoroidy. Już ja cię znam.

Gadamy jeszcze trochę, chwali się, że kwiatów nie przelewa, w co akurat nie wierzę, ale niech jej będzie.

– Trzymaj się tam i zadzwoń do mnie, jak się to wszystko skończy, dobrze? – prosi.

– Toć oczywiście. Trzymaj kciuki, żeby szybko poszło.

– Mam nadzieję, że je niedługo złapią.

– Ja też, Beata, ja też. Dobra, kończę. Pa, pa, no, pa, pa. – Rozłączam się i podaję komórkę policjantce.

– Myślę, że może ją pani zatrzymać. Sprawdziłam pani telefon i ma pani wpisane tylko te trzy numery. Wątpię, żeby kontaktowała się pani z panią Elwirą.

Szczerze mówiąc, już sama nie pamiętam, czy miałam do niej numer, a Piegowata usunęła przecież całą historię połączeń. Gorzej, jeśli skasowała też z komputera informacje o Rudej. Ale zanim zdanżam podzielić się swoją obawą z Anetą, ta mówi:

– Już wieczór, musi być pani głodna. Przyniosę coś do jedzenia.

Wieczór?! Kompletnie straciłam rachubę czasu. Faktycznie, toć za oknem ciemno. Czyli spędziłam tu cały boży dzień.

Chwilę później dostaję dwie kanapki, gruszkę, naleśniki z białym serem i butelkę wody.

– Karmicie tu lepiej niż w sanatoryjnej izolatce – chwalę i biorę kęs.

– Kanapki są moje, a naleśniki mojej mamy.

– Mogę zapytać, czemu jest pani taka dobra?

– Nie wiem, czy dobra – mówi wesoło Aneta. – Po prostu znam się na ludziach. A przy pani mam poczucie, jakbyśmy były starymi znajomymi czy wręcz jakby była pani moją krewną… Założę się, że wszyscy się dobrze czują w pani towarzystwie.

Drapię się po szyi. Bo jak tak sobie pomyślę o Maślakowej…

Rozmowę przerywa nam Podlaski, który wpada do pokoju i mówi coś do Anety ściszonym głosem.

– Proszę sobie zjeść w spokoju, muszę lecieć – rzuca do mnie policjantka. – Niech się pani wyśpi, jutro z rana do pani przyjdę. Dobranoc.

Zjadam wszystko co do okruszka, wypijam wodę, a następnie opłukuję się w umywalce. Dostałam nawet szczoteczkę i bardzo miętową pastę, smakiem przypominającą te z czasów PRL-u. Nie widzę bez okularów, więc daj Boże, żeby datę przydatności miała późniejszą!

Zmawiam pacierz, kładę się i zasypiam, nawet nie wiem kiedy. Kto by pomyślał, że w areszcie wyśpię się lepiej niż w sanatorium. Nie wiem, czy to zasługa poduszki, czy raczej większego spokoju, co w sumie jest trochę niedorzeczne w momencie, kiedy mam widok na kraty.

Oczywiście nie czuła żem tego spokoju, kiedy pakowali mnie do radiowozu, ale po rozmowie z Tadkiem, Dawidem i Anetą nabieram nadziei, że wszystko dobrze się skończy, że złapią tę żmiję, a mnie puszczą wolno.

Żałuję, że więzienia nie są zaprojektowane tak, by w celi był jakiś guziczek albo dzwoneczek, żeby kogo zawołać. Chciałabym się dowiedzieć, czy coś się wydarzyło przez noc, choć w komórce widzę, że nikt się nie dobijał. Toć gdyby Tadek albo Dawid coś wiedzieli, na pewno by zadzwonili.

Wreszcie słyszę kroki na korytarzu i po chwili przed celą staje uśmiechnięta Aneta.

– O, dzień dobry, koteńko, właśnie chciałam…

– Mamy ją – przerywa mi krótko.

– Elwirę?! – Szerzej otwieram zaspane oczy i wstaję z wrażenia.

– Tak. Złapali ją jakieś sto siedemdziesiąt kilometrów od Ciechocinka, jechała samochodem.

– Skubana. Uciekała?

– Najprawdopodobniej.

– A to auto było czarnego koloru? I prowadził facet? – zgaduję.

– No, no, dobra pani jest! Tak, samochód był czarny, pani Elwira była pasażerką, kierowcą był mężczyzna, a z tyłu siedziała jeszcze…

– Piegowata Kaśka – dopowiadam.

– Bingo.

Kamień spada mi z serca. No, pół kamienia.

– Czyli teraz musimy czekać, aż się przyznają – mówię.

– Nie musimy – odpowiada Aneta. – Już się przyznali. Policja aresztowała ich i przywiozła tutaj w nocy. W końcu pękli, chociaż pani Katarzyna szła w zaparte. Na marginesie: okazało się, że to ona tak przerobiła zdjęcie Elwiry, żeby tamta wyglądała na skrajnie otyłą.

– To jest dopiero franca – mruczę pod nosem.

– Jest jeszcze jedna sprawa, która rzuca nowe światło na tę historię. – Aneta robi pauzę, a ja zamieniam się w słuch. – Pamięta pani, jak pan Dawid opowiadał o życiu pani Katarzyny, o jej powiązaniach z gangiem? No więc okazało się, że do grupy należała też pani Elwira.

– Czyli znały się już od kilku lat?

– Więcej. To Elwira jest tą ciotką Katarzyny, o której mówił Dawid.

Przysięgam, aż mnie ciarki przeszły. Dejta spokój, co jak co, ale takiego obrotu sytuacji żem się nie spodziewała. Teraz już wiadomo, że co w rodzinie, to nie zginie. Obydwie mają w głowie fiksum-dyrdum.

– Jak żyję, bym o tym nie pomyślała. – Podpieram głowę na ręce na znak mojego zszokowania. – I do tej broni też się przyznała?

– Tak. Próbowała panią wrobić.

– A tamte trzy świętoszki, co wam kłamały, to co z nimi?

– Muszą się liczyć z konsekwencjami za pomoc w popełnieniu przestępstwa i składanie fałszywych zeznań. Ponoć miały za swój udział w zrzuceniu winy na panią dostać pokaźną sumkę.

– Mam nadzieję, że przytyją za kratkami. Odechce im się odchudzać. – Zerkam z satysfakcją na Anetę, ale ta nawet nie reaguje. – No mniejsza. Kiedy żeśta się tego wszystkiego dowiedzieli?

– Dzisiaj w nocy i nad ranem. Wszyscy zatrzymani zostali przesłuchani i koniec końców wszyscy się przyznali. Dotyczy to także wspomnianych trzech pań. Każdej z tych osób zostaną postawione inne zarzuty. Poza tym pani Elwira nie była jedyna. Dietostop rozprowadzało wiele kobiet w całej Polsce.

No tak, toć wtedy mówiła temu Mirkowi o jakiejś babce na Pomorzu.

– Czyli na razie złapaliście sam czubek góry lodowej. – Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Można tak powiedzieć. – Aneta uśmiecha się delikatnie. – Trochę nam zajmie zatrzymanie wszystkich podejrzanych. Dodatkowo musimy dotrzeć do osób, które zażywały bądź zażywają ten środek. Musimy się dowiedzieć, czym je faszerowano.

Nagle robi mi się smutno. Toć tyle kobiet zrujnowało sobie zdrowie, i po co? Żeby się zmieścić w za małą kieckę? Dejta spokój!

– Wiem, że wiele pani przeszła, pewnie będzie pani miała dużo pytań, ale mam jeszcze jedną wiadomość, najważniejszą.

– Ło pierunie, co znowu? – pytam ze strachem.

– Proszę zebrać swoje rzeczy, wypuszczamy panią – informuje mnie z radością w głosie.

Nie wierzę w to, co słyszę. Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie! Szybko wstaję z pryczy i zaczynam zbierać swoje rzeczy.

– Pozwoliłam sobie powiadomić panów Dawida i Ta-
deusza, czekają na zewnątrz – mówi Aneta. – Dzisiaj piękna pogoda, to słońce chyba wiedziało, na jaką okazję zaświecić. – Puszcza mi oko, a następnie pomaga mi się ogarnąć.

– Mam zapytanko, jeśli można – rzucam, kiedy idziemy korytarzem w stronę wyjścia.

– Tak?

– Mówiłaś, koteńko, że przywieźli tu Elwirę i tę całą Kaśkę. Czy ja bym mogła…

– Wykluczone – przerywa mi Aneta. – Nie mogę pani wpuścić do oskarżonych. Proszę się cieszyć wolnością.

Nagle oślepia mnie mocne światło. Czuję zapach kwiatów rosnących w donicy przy budynku, w uszy wpada melodia śpiewana przez ptaki, a słońce przyjemnie ogrzewa mi ciało. Niech żyje wolność! Oby tamte zdradzieckie małpy już nigdy jej nie zaznały.

BOŻE, BEATA!

MOŻE MNIE ZROBIĄ TWARZĄ KRZYŻÓWEK

Spodziewałam się, że prócz Tadka i Dawida nie spotkam tu nikogo. Najwyraźniej jednak wieści szybko się rozchodzą, bo podjazd, chodnik i część ulicy są ciasno wypełnione gapiami. W tłumie dostrzegam kilka znajomych twarzy, między innymi doktora Jarząbka. Co oni, nie mają co robić, tylko patrzeć, jak wychodzę z aresztu?

Nagle słyszę jakieś pstrykanie. Obracam się i widzę kamery i mikrofony, a obok paru facetów z aparatami wielkimi jak sokowirówka Beaty. Dejta spokój, toć to ci, co za sławami jeżdżą… Coś z papa… Papa mobile? O, już wiem, paparazzi! Zastanawiam się, kogo fotografują, bo nie widzę żadnej gwiazdy. A może aresztowali jaką aktorkę, a ja, głupia, nie zauważyłam? Taka okazja przeszła koło nosa.

– Oni przyszli dla pani – oświeca mnie Aneta, a następnie odsuwa się i robi mi miejsce.

Początkowe zdziwienie powoli ustępuje zaciekawieniu. Śmielej podnoszę oczy i czuję coś jakby przyjemne łaskotanie w środku.

– Proszę powiedzieć, jak nakryła pani przestępców? – krzyczy jakiś dziennikarz, a reszta idzie w jego ślady i zaczyna równocześnie zadawać mi mnóstwo pytań.

Ach, więc o to chodzi. Rzeczywiście przyszli tu dla mnie.

– Jest pani bohaterką! – słyszę czyjś głos. – Brawo!

Dopiero teraz dociera do mnie, że przyczyniłam się do aresztowania groźnych przestępców. To ja ich śledziłam, podsłuchiwałam, nakrywałam i wpychałam nos, gdzie nie trzeba. Dzięki temu przerwałam ten nielegalny obrót tabletkami. Oczywiście z pomocą Tadka i Dawida, których nie dostrzegam w tłumie.

Pewnie usunęli się gdzieś na bok, by zostawić miejsce dla mnie. To moja nagroda za cały ten trud włożony w sprawę. Blaski jupiterów, bierzcie mnie całą!

Niczym modelka albo inna aktorka z czerwonego dywanu przybieram najrozmaitsze pozy. Obracam się, macham, uśmiecham, puszczam oko jak jaka Marlena Dietrich.

Moja ulubiona garsonka została w sanatorium, włosy mam w nieładzie i poszło mi oczko w podkolanówkach. Ale to nic. Nie przeszkadza mi, że nie wyglądam jak milion dolarów. Ważne, że się tak czuję!

Proszę cię, Boziu, żeby to dali w jakiej telewizji śniadaniowej albo w gazecie. O matko, a może mnie zrobią twarzą krzyżówek? Ło pierunie, jakbym Rudej podesłała…

Muszę potem dać znać Beacie i Teresie – niech roześlą wici, że ludzie mają mnie szukać we wszystkich środkach masowego przekazu.

Odpowiadam na kilka pytań najbardziej upartym dziennikarzom. Oj, chłopcy, nie bijcie się tak o mnie, bo sobie koszule porwiecie. Przypada do mnie Jarząbek, który obsypuje mnie gratulacjami, a także kilkoro pensjonariuszy.

Po półgodzinie towarzystwo zaczyna się rozchodzić. No cóż, sława to kapryśna przyjaciółka, ale co żem przeżyła, to moje. Mam nadzieję, że Maślakowej oko zbieleje z zazdrości, jak mnie zobaczy na szklanym ekranie.

– Jesteś już, ciociu! – Dawid pokazuje się wreszcie, podbiega i ściska mnie z całych sił. – Dobrze się ciocia czuje?

– Czuję się taka… – zastanawiam się – wolna. Aż chce się żyć! Dobrze, że to koniec, bo dejta spokój. – Macham ręką. – Aż mi krew z żylaków odpłynęła z wrażenia!

W końcu dostrzegam i Tadeusza. Podchodzi powoli, jakby z lekkim dystansem. Staje naprzeciwko i patrzy mi głęboko w oczy.

– Udało się – mówię radośnie i klaszczę w dłonie. – Osiągnęliśmy sukces! Matko Boska, jak się cieszę!

Trochę mnie zaskakuje, że Tadeusz nie przytulił mnie na powitanie. Pewnie speszyły go te kamery i mikrofony, a może to ja go peszę swoim entuzjazmem? Ale co się dziwić, wyszłam z więzienia, a takie rzeczy nie zdarzają się codziennie. Gdybym była młodsza, od razu bym na ten dąb, co rośnie przed komisariatem, wskoczyła, ale teraz? Z moimi kośćmi i stawami to mogę co najwyżej w miejscu podskoczyć.

Właśnie, tematy zdrowotne. Dejta spokój, toć ja się tu leczyć przyjechałam, a tyle się działo, że nawet nie zwracałam uwagi na mój stan zdrowia. Ba! Czasu nie miałam przez te żabie afery. O dziwo, czuję się dobrze i mało co mnie boli, może nie same rehabilitacje wpływają na stan zdrowia pacjentów, ale wszystko, co dzieje się wokół. Nic o tym nie wspomnieli na stronie internetowej Bursztynka.

– I co, Tadek, nic nie mówisz? Języka żeś w gębie zapomniał? – pytam z uśmiechem. – Może byś się chociaż przytulił jak należy?

Tadek tylko kręci głową. Nic się nie odzywa. Boże drogi, co on, obraził się czy co?

Chyba jednak się ocknął, bo wreszcie podchodzi bliżej. Rozkładam ręce i wyobrażam sobie, że już za chwilę wtulę się w jego marynarkę, że poczuję znajomy zapach wody kolońskiej. Ale zanim to się dzieje, świat zaczyna mi wirować, bo czuję coś innego.

Szorstkie wąsy i ciepły pocałunek złożony na moich ustach.

Przyjemność, szczęście, zdumienie, euforia, zszokowanie, zachwyt…

Gdybym mogła, to wymieniałabym w nieskończoność wszystkie emocje, które buzowały we mnie podczas tego pocałunku. Jakbym zmieszała składniki na ciasto z nowego przepisu i jeszcze nie wiedziała, co z tego wyjdzie. Adrenalina jak na pielgrzymce boso podczas deszczu!

Serce bije szybciej niż po trzech sypanych.

Uśmiecham się delikatnie do Tadeusza, ale nic nie mówię. Nawet nie wiem, co mam powiedzieć.

Bo uniesienie i radość to jedno, ale z drugiej strony pojawia się w mojej głowie widok Staśka, który na pewno obserwuje mnie z góry. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Może nie powinnam na to zezwalać?

Toć ślubowałam być wierna aż do śmierci, a przecież mojej to chyba też dotyczy? Nagle obrączka na palcu wydaje się taka ciężka. Przez te wszystkie lata, kiedy Staśka już przy mnie nie było, nie myślałam o takich sprawach. Gdzie ja, stara kobita, miałabym w głowie amory?

Nie ukrywam, byli sąsiedzi, co patrzyli na mnie zawadiacko, na przykład taki Rysiek. Dobry to byłby kandydat na partnera, ale poleciał pielić na działce u Maślakowej i o, przestał zwracać uwagę. Zdradziecka kanalia. Za grosz gustu.

Czas mijał, a mnie interesowały bardziej krzyżówki i *Ojciec Mateusz* niż chłopy.

Ale teraz, podczas dni spędzonych w sanatorium, wydarzyło się tak wiele rzeczy, w których Tadeusz praktycznie ciągle mi towarzyszył, że mi się odmieniło. Fakt, z początku był Taryfowym Gburem bez krzty manier, ale potem poznałam jego prawdziwe oblicze. Okazał się dobrym i porządnym mężczyzną, w dodatku wrażliwym. A jeszcze ten jego talent! No dejta spokój, ten mój portret odjął mi wtedy mowę.

Patrzymy sobie w oczy nie wiem jak długo, aż wreszcie słyszymy chrząknięcie Dawida.

– Są o wiele lepsze miejsca na takie chwile niż podjazd pod komisariatem. Chodźcie, podjeżdża nam właśnie taksówka.

Wybuchamy śmiechem, a ja czuję, że oblewam się rumieńcem jak jaka młódka.

Tadek staje przy samochodzie i otwiera drzwi.

– Panie przodem – zaprasza mnie do środka.

– To wy siądźcie z tyłu, ja zajmę przód. – Dawid wskakuje do auta.

Podchodzę do wozu, macham Anecie na pożegnanie i wsiadam. Po chwili jesteśmy już w drodze do Bursztynka. Przez cały czas trzymamy się z Tadkiem za ręce.

Nie mogę się nadziwić, jak to się wszystko pozmieniało. Toć jeszcze niedawno wpierdzielił się w podskokach w taryfę, która odjechała mi sprzed nosa, a tu o, dżentelmen. Jak jaki bodyguard.

BOŻE, BEATA!

SZAMBO WYLAŁO

Następne dni mijają o wiele spokojniej niż poprzedni tydzień.

W sanatorium nikt nie handluje już narkotykami, przynajmniej tak wynika z zapewnień policji i personelu.

Miotła, Parówka i Wata Cukrowa zostały od razu wyrzucone z Bursztynka i z tego, co usłyszałam od Anety, nie będą miały kolorowo. No cóż, trzeba ponieść konsekwencje swoich czynów. Jak to się mówi? Pokarm wraca! Czesia na szczęście wyszła z tego wszystkiego bez szwanku, spotkałam się z nią, zanim wróciła do domu. Nie chciała, a może nie pozwolili jej zostać w sanatorium. Wspomniała coś o obozie odchudzającym, może tam jej pomogą. Bidula zagubiona, dobrze jej życzę, niech jej się wiedzie jak najlepiej, ale rozsądnie i z umiarem.

Dzień po tym, jak wypuścili mnie z aresztu, ukazały się w gazetach artykuły ze mną w roli głównej. W telewizji też mnie pokazywano, więc dejta spokój, telefon mi się urywał, jak cała rodzina i znajomi dzwonili z gratulacjami. Ale to dobrze, przynajmniej sobie powpisywałam wszystkich na nowo. A ten, kto nie zadzwonił, chyba nie był wart zapisania w komórce.

Wszystko układa się dobrze, Dawid nawet dostał awans, ale dalej pracuje z sanatoriuszami. Toć on do rany przyłóż i jak znalazł, jeśli chodzi o kontakty międzyludzkie. A w gabinecie przeznaczył sobie nawet jedną szufladę na zapas krówek, które mu kupiłam.

Dni lecą jak szalone, aż pobyt zaczyna się zbliżać ku końcowi. Wreszcie zdaję sobie sprawę, że nazajutrz o tej porze będę już w pociągu do Gdyni.

– Nie wierzę, że już jutro wracam do domu – mówię ze szczerym smutkiem. To mój ostatni obiad tutaj. Rozglądam się po stołówce, w której tyle się wydarzyło. Rozmowy, dancingi… – Gdybym mogła, cofnęłabym się do pierwszego dnia w Ciechocinku.

– Oj, nie kłam. – Tadek uśmiecha się i popija kompot. – Byś mnie znowu musiała znienawidzić. A potem ta afera z tabletkami…

Aż mi się robi niedobrze na myśl, że znowu musiałabym słuchać o Dietostopie.

– Racja. Przypomnij, kochany, ty wracasz dopiero w sobotę, tak?

– Zgadza się. A więc dzisiaj wieczorem zjemy naszą ostatnią kolację. – Bierze mnie za rękę. – Siostra przywiezie coś specjalnego na tę okazję. Oj, będzie smakowicie!

– Mam nadzieję, że zje z nami? – Z chęcią poznam jego siostrę. Może też ma taki talent artystyczny jak on?

– Wolę, żebyśmy zjedli sami, to nasz ostatni wieczór. – Na twarzy Tadka pojawia się smutny uśmiech. – Ale spokojnie, poznacie się, a ja i tak spędzę z nią jutro cały dzień.

Siostra Tadka ma się zatrzymać w jednym z ciechocińskich pensjonatów. Jutro wypada rocznica śmierci ich brata Waldka i mają taką tradycję, że ten dzień zawsze spędzają razem.

– Jesteś już spakowana? Masz wszystko? – pyta z troską już chyba trzeci raz. – Wzięłaś portret?

– Wiesz, nie, jednak się rozmyśliłam i zostawię go w szufladzie, żeby jakaś inna sobie wzięła – droczę się. – Toć oczywiście! Jest bezpieczny w kieszeni walizki, na pewno się nie pogniecie.

– Koniecznie musisz mnie odwiedzić… albo ja ciebie.

– Zobaczymy, jak to będzie. Najważniejsze, proszę ja ciebie, jest tu i teraz.

Nie chcę psuć nastroju, ale jakoś trudno mi sobie wyobrazić przyszłość. Toć z Gdyni na Podlasie kawał drogi, a my już mamy swoje lata. Nie będę przecież co weekend wsiadała w pociąg i jechała na drugi koniec kraju. Trzeba myśleć pragmatystycznie.

– Będziemy do siebie pisać i dzwonić – zapewnia szybko Tadeusz. Chyba też nie chce psuć tej chwili. – Może wrócimy do pisania listów? To takie piękne dostać kopertę z pisaną odręcznie zawartością.

– Masz rację, toć nie pamiętam, kiedy ostatnio pisałam list. Wczoraj wysyłałam pocztówki, to się liczy?

– Nie bardzo, bo treść pocztówki może przeczytać przypadkowy pracownik poczty. A w liście można opisać każdy sekret.

Krótko całuję Tadka. Już się przyzwyczaiłam do tego jego szorstkiego wąsa, będzie mi go brakować.

Nagle dzwoni jego komórka.

Odbiera.

– Tak, słucham… O, udało się wcześniej, świetnie. Poproś kogoś z recepcji, żeby cię zaprowadził na stołówkę, my jeszcze jemy. – Rozłącza się i poprawia koszulę, a chwilę później wstaje na widok osoby, która wchodzi do sali.

– Dzień dobry, siostrzyczko! – Macha, a następnie wskazuje na mnie. – Kochana, poznaj, proszę…

Odwracam się i staję jak wryta.

– Już poznałam – przerywam mu. – Dzień dobry, pani Maślakowa.

Nie wierzę w to, co widzę. Takie miało być piękne pożegnanie turnusu! Taki miły dzień za oknem, wzruszające chwile, ostatnie momenty w gościnnych podwojach Bursztynka. I co? I szambo wylało. Maślakowa stoi tuż przede mną.

Ja jestem chyba jakaś przeklnięta. Może mnie jaki diabeł w kołysce nawiedził? Nie dość, że muszę się z nią użerać po sąsiedzku każdego dnia, to nawet jak żem wyjechała odpocząć, to się za mną przywlokła jak smród za gaciami. I że to niby ona jest siostrą Tadka? Na samą myśl aż mi ziemniaki do gardła wróciły.

Jak to jest w ogóle możliwe? Jak żyję, nie wiedziałam, że ta zmora miała braci. Myślałam, że ma tylko pchły i brzydki charakter. A tu proszę, z jednym łączą mnie miłosne relacje.

– Cóż za spotkanie. – Maślakowa stara się uśmiechnąć, ale jej nie wychodzi. Wcale się nie dziwię.

– Znacie się? – Tadek jest zdumiony. – Do głowy by mi nie przyszło, że się w tej waszej Gdyni możecie znać. Świat jest mały.

– Oj, tak – zgadzam się. Dalej nie wiem, jaką przyjąć pozę. – Za mały.

– Co więcej, Tadziu, w jednym bloku, na jednej klatce mieszkamy – rzuca Maślakowa.

– No nieprawdopodobne! – Tadek łapie się za głowę. – To macie do kogo chodzić cukier pożyczać! Jak dobrze mieć ukochaną sąsiadkę.

Obie uśmiechamy się sztucznie. Mhm, cukier. Jej to bym arszenik pożyczyła.

– To wy sobie pogadajcie, a ja skoczę do ubikacji. Zaraz wracam. – Tadeusz daje mi buziaka na pożegnanie i znika w drzwiach.

– Co pani tu robi? – Duszę w sobie złość i gniew.

– To mój brat – odpowiada oschle. – Lepiej niech pani mówi, co to za romanse z Tadkiem. Wspominał mi, jaką to cudowną kobietę spotkał, a tu o. – Pokazuje na mnie ze wstrętem.

– Wypraszam sobie! To pani pewnie jest zakałą rodziny, widać, że wszystkie dobre geny poszły w Tadka! Coś przeczuwałam, że kojarzę to nazwisko, ale ostatnie by mi do głowy przyszło, że to o, panieńskie! – oburzam się.

– Ano, Konieczna z domu jestem, a Maślak mam po mężu przecież. – Krzyżuje ręce na piersi. – Ciekawe, co by pani mąż na te romanse powiedział?

– A pani mąż? – odgryzam się. – Toć z Ryśkiem tak się migdalicie, że aż mdli wszystkich dookoła. Pani świętej pamięci małżonek się pewnie w grobie przewraca.

– A co, zazdrosna?

– Nie, skoro ma taki gust. – Mierzę ją wzrokiem i przybieram minę kwaśniejszą od cytryny. Aż zapomniałam, jak to jest tak się marszczyć, przecież odkąd mnie wypuścili z aresztu, to uśmiech nie znikał mi twarzy. A tu o, przyszła zmora. – Ja pani powiem, że my tego tak nie możemy zostawić.

– Niby czego?

– No niech pani pomyśli. Tadek tu jeszcze kilka dni pobędzie.

– I co w związku z tym?

– No niech mi pani nie przerywa, bo nie zdążę powiedzieć. Tadek nie musi wiedzieć, że – chrząkam – nie darzymy się sympatią.

– Mało powiedziane…

– Niech sobie myśli, że ta, ledwo mi przez gardło przejdzie, sąsiedzka przyjaźń między nami istnieje.

– Słucham?! – oburza się Maślakowa. – A z jakiej racji?

– Chce pani popsuć pobyt tutaj swojemu jedynemu już bratu? Niech pani pomyśli, jaki to będzie dla niego cios, kiedy jego siostra i luba zaczną sobie skakać do gardeł. Toć zamiast spokoju na koniec białej gorączki dostanie – tłumaczę z nadzieją, że ją przekonam.

Namyśla się chwilę.

– No nie wiem, chyba ma pani rację – mówi w końcu. – Jak Tadek wspominał przez telefon o jakiejś tajemniczej kobiecie, to skłonna byłam ją polubić, ale o. Wyszło szydło.

– Toć mówię, że musimy się tu zachowywać jak należy. Kto by pomyślał, że Tadeusz jest spokrewniony z taką… – Urywam, bo widzę, że Tadek wraca. – Tak że, kochana sąsiadeczko, no żeś mi taką niespodziankę zrobiła! O, Tadek!

Maślakowa z trudem przybiera radosną minę.

– Musicie sobie tylko jakoś odgrzać te gołąbki – informuje i stawia pakunek na najbliższym stoliku.

Normalnie to w życiu bym nie spróbowała czegoś, co ugotowały jej łapy, ale w końcu szykowała te gołąbki dla lubej Tadka, a nie dla znienawidzonej sąsiadki.

Więc pewnie niezatrute.

– Musisz mi koniecznie, kochanieńka, dać przepis po powrocie. – Szczerzę się. – Na pewno będą przepyszne!

Gadamy tak jeszcze z dwadzieścia minut, aż wreszcie Maślakowa zbiera się do wyjścia.

– To wy sobie siedźcie, jutro się pożegnamy na spokojnie. Nie przeszkadzam, spędźcie miło czas, kochani. – Przytula wpierw brata, a potem mnie. Aż mnie ciarki przechodzą na ten gest Judasza.

– Przekochana – komentuje Tadek. – To co? Spacer?

Popołudnie spędzamy na żegnaniu się z parkiem, uliczkami i zaułkami Ciechocinka. Przysiadamy na skwerku z fontanną Grzybek, gdzie, kiedy nikt nie widzi, całujemy się jak jaka młodzież. Oj, żałuję, że nie ma teraz z nami Maślakowej, pewnie by zwróciła jedzenie z całego tygodnia.

Wieczorem udaje nam się poprosić personel kuchni o podgrzanie gołąbków. Nawet smaczne, kto by pomyślał, że ta żmija umie gotować. Jemy na tarasie, w cieple letniego zmierzchu.

– Od jutra nasze posiłki będą smakować trochę inaczej – mówię smutno.

– Też tego żałuję. – Tadeusz bierze mnie za rękę. – Zostają nam listy. A za miesiąc przyjadę do Gdyni, odwiedzę siostrę… i ciebie.

– To już nie będzie to samo – wyrywa mi się, ale się nie poprawiam, a Tadeusz nie komentuje. Chyba oboje wiemy, że mam rację. Smutek spełnionej baśni.

Siedzimy w ciszy przez kilkanaście minut. W końcu Tadek się podnosi.

– Chodź, kochana. Turnus się jeszcze nie skończył, musimy wykorzystać każdy moment.

I wykorzystujemy – do utraty tchu!

Jutro wrócę do swojego codziennego życia. Do gotowania, sprzątania, spędzania czasu z Kubusiem, narzekania na Beatę, kłótni z Maślakową, wizyt na rynku i śpiewania w kościele. I tak sobie myślę, że to życie jest wspaniałe takie,

jakie jest. Mimo że wizyta w sanatorium była ekscytująca, jak jaki nowy rozdział w książce, to co jak co, ale w domu najlepiej.

BOŻE, BEATA!

KOMU W DROGĘ, TEMU CZAS

Rano zbieram swoje manatki, a Tadek pomaga mi zamknąć walizkę i dzwoni po taryfę.

– Siostrę boli głowa, nie mogła przyjechać, ale kazała cię pozdrowić – informuje. – Zobaczycie się w domu.

Och, jaka szkoda. Mam nadzieję, że jej ten ból głowy do końca życia nie minie. Cieszę się, że nie zatruwa mi ostatnich chwil z Tadeuszem.

Żegnam się szybko z kilkoma osobami, w tym z doktorem Jarząbkiem, który jeszcze raz dziękuje mi za pomoc w przywróceniu porządku w Bursztynku. Taryfa podjeżdża, wsiadamy.

Na dworcu czeka na nas Dawid.

– Chodź tu, złociutki. – Tulę chłopaka z całych sił. – Jeszcze raz bardzo ci dziękuję za wszystko, coś dla mnie zrobił. Jesteś taki dobry chłopak, że no mówię, Bozia mi cię zesłała. – Odsuwam się od niego i obracam się dwa razy. – Widzisz, to między innymi dzięki twoim rehabilitacjom żem wróciła do formy. Masz mój numer, jak będziesz nad morzem, to się odezwij, wpadnij na obiad. Ciocia nasmaży ci kotletów.

– Na pewno się odezwę. Też będę tęsknił, ciociu, proszę się nie dać! A jak coś się, tfu, tfu, stanie, to wiadomo, gdzie przyjechać. W Bursztynku dla wszystkich będzie zaszczytem się ciocią opiekować.

– To co, moja kolej. – Tadek wtrąca się grzecznie. – Moja miła…

Przytulamy się długo. Czuję zapach jego wody kolońskiej. Wdycham go raz i drugi, i trzeci, mocniej i mocniej, nie mogę się powstrzymać, prawie jakbym wąchała bez w maju albo występowała w reklamie płynu do płukania. Będę za tym tęskniła, może odnajdę w jakiej drogerii podobny zapach, to się co jaki czas wypsikam od stóp do głów, żeby sobie odświeżyć pamięć.

– To był wspaniały czas i cieszę się, że cię poznałem.

– Ja też, Tadziu. – Ocieram łzę. Nawet Beata nie przewidziałaby, że mnie trafi strzałą amora prosto w serce ten cały Taryfowy Gbur. – Życzę ci wszystkiego, co najlepsze, wiesz o tym.

– Wiem. – Uśmiecha się. – I ja tobie też.

Wdycham jego zapach po raz ostatni i nagle robi mi się sucho w gardle, zaczynam kaszleć, a Tadek klepie mnie po plecach. Toć to z tego zakochania można się udusić! Zachciało mi się amorów na starość, a teraz widzę, że już mnie prawie do grobu wpędziły w te wakacje.

Gdy dochodzę do siebie, podjeżdża autobus, z którego w Aleksandrowie Kujawskim mam się przesiąść na pociąg. W trójkę wchodzimy do środka. Dawid zajmuje się moim bagażem, a potem ściska mnie jeszcze raz i wychodzi.

Tadek chwyta moją twarz w swoje ciepłe dłonie i całuje mnie na pożegnanie. Na chwilę zmieniam się w bohaterkę jednego z harlequinów, które trzymam w pawlaczu. Jestem niczym jakaś Katherine w objęciach Blake’a na randce z przeznaczeniem.

– Dziękuję za wszystko – mówię, a moje łzy są słone jak woda w Zatoce Puckiej.

– To ja dziękuję, że uczyniłaś mnie szczęśliwym.

Tadek wybiega na zewnątrz i po chwili widzę go stojącego koło Dawida na przystanku. Autobus rusza. Patrzę z nosem przyklejonym do szyby, jak ich sylwetki stają się coraz mniejsze, aż wreszcie tracę ich z pola widzenia.

– Jeju – odzywa się podróżny, który siedzi koło mnie. – To dopiero było pożegnanie!

Uśmiecham się przez łzy i spoglądam na sąsiada. Skądś go znam… Zaraz, to przecież Pępek, z którym jechałam pociągiem do Aleksandrowa!

– Będzie pan tak uprzejmy i potowarzyszy mi w rozmowie, żebym się trochę uspokoiła? – proszę. – Niech mnie pan z łaski swojej zagada swoją historią czy coś. Muszę oczyścić głowę. Tylko nie masz pan na imię Mirek albo Tadek, prawda? – upewniam się.

– Jestem Filip. I chętnie z panią pogadam – odpowiada Pępek i chowa słuchawki do kieszeni.

Mam wrażenie, że tym razem jest jakiś grzeczniejszy i bardziej kulturalny niż miesiąc temu. Widocznie to ja tak wpływam na mężczyzn.

– Właśnie jadę do Gdańska, bo mam dzisiaj powrotny lot do domu. Mieszkam w Walii…

Na szczęście Filip również ma przesiadkę w Aleksandrowie, a w pociągu do Trójmiasta udaje mu się z kimś zamienić i też siedzimy koło siebie.

Chwilę przed postojem na stacji Gdańsk-Wrzeszcz żegnamy się jak starzy znajomi. Matko, jakie te młode ludzie są fajne, kto by pomyślał! I jakie odważne! Nawet dwudziestu lat nie miał, kiedy pojechał za granicę.

Co spotkałam inną osobę, to nauczyła mnie czego innego. Tadek, Dawid, Aneta i teraz ten Pępek. Gdybym mogła, to dołączyłabym ich do swojej rodziny, może nie na zawsze, ale chociaż na jakiś czas. Bym od Beaty odetchnęła.

O wilku mowa. Wjeżdżamy właśnie do Sopotu, a ona dzwoni do mnie i mówi, że razem z Teresą i Kubusiem czekają w Gdyni na peronie. Już się nie mogę doczekać, aż ich wyściskam.

Pociąg zatrzymuje się na końcowej stacji, więc bez pośpiechu mogę wytoczyć się z wagonu. Młody facet pomaga mi wynieść walizkę, a ja napawam się rześkim wiaterkiem znad morza.

Wreszcie dostrzegam całą trójkę zmierzającą w moją stronę. Kubuś chyba znowu urósł, trzeba mu będzie kupić nowe buty, dejta spokój.

– No i jak było, gwiazdo z gazety? – pyta Beata. – Musisz nam wszystko jeszcze raz opowiedzieć, ze szczegółami!

Jak tak o tym myślę, to faktycznie, działo się tyle, że nic, tylko siąść i książkę napisać. A może i film nakręcić? O tak, już widzę, jak stąpam po czerwonym dywanie, w kapciach, coby mi wygodnie było.

– Boże, Beata! – Padamy sobie w ramiona.

– Coś ty nawywijała w tym Ciechocinku?

Tulę ją i czuję, że łapy ma jak salcesony. Aha, czyli ktoś tu łaził po nocach do lodówki. Zostawić człowieka na miesiąc, a się zapuści. Mnie się oczy zamkną, to jej się dopiero otworzą.

– Jakie ty? Mów mi Pani Detektyw. Zaraz sprawdzę odciski palców i zobaczymy, gdzieś sprzątała wtenczas, a gdzie nie. No i nie mogę się doczekać, jakie brudy znajdę na Maślakową!

PODZIĘKOWANIA

Nie ukrywam – kiedy dostałem telefon z wydawnictwa Znak, to lekko zamarłem. Z wrażenia, z ekscytacji i z przerażenia. Dlatego na wstępie pragnę podziękować całej ekipie wydawnictwa, a zwłaszcza Oldze, która była moją „mamą” podczas całej pracy nad książką *Boże, Beata!*, za OGROMNE ZAUFANIE do mnie i do Ciotki. Za szansę, którą mi daliście i za wszelaką pomoc na każdej płaszczyźnie od pierwszej rozmowy aż do teraz. Dziękuję Paulinie, Joannie, Dorocie, Marcie, Wiktorii, Sylwii, Ance i wielu innym osobom, które poświęciły swój czas nad mojej powieści. Czułem w Was wielkie oparcie, nie tylko „książkowe”, ale też przyjacielskie. Nie mogę wyobrazić sobie lepszego zespołu! DZIĘKUJĘ, JESTEŚCIE WIELCY! :)

Dziękuję mojej cudownej mamie Anecie, która od dzieciaka jest dla mnie największym wsparciem. To Ty czytałaś mi pierwsze książki, pomagałaś uczyć się wierszyków, ról w przedstawieniach. Dziękuję, że zawsze we mnie wierzyłaś i pomagałaś mi się rozwijać w różnych kierunkach. Jesteś najcudowniejszą mamą na świecie i wybacz, że twój jedyny syn skończył jako „chłop przebrany za babę” – przynajmniej możesz pożyczać moje kiecki (tylko trzeba je zwężać). Tak że chociaż tyle :)

Dziękuję mojej ukochanej siostrze Madzi, z którą nie możemy bez siebie żyć mimo wielu kilometrów rozłąki. Dziękuję, że tak dbasz o młodszego braciszka, że się troszczysz, dzwonisz, wspierasz i słuchasz. Dziękuję, że tak mi kibicujesz i doradzasz. Ale, ale! Pamiętam, jak mi kiedyś wyłączyłaś komputer, kiedy grałem

w Simsy, bez zapisania gry, więc MAM CIĘ NA OKU! I pamiętaj – ja też jestem z Ciebie baaaardzo dumny!

Dziękuję mojej babci Marysi, która często powtarzała: „Dzieciaku, ile to pracy nad tą książką, kiedy ty to piszesz, ty śpisz w ogóle?”. Tak, babciu, było dużo pracy, ale bawiłem się przy tym znakomicie. Pewnie gdy będziesz czytać ten fragment, to będę u Ciebie jeść serniczek na zimno. Dziękuję za mnóstwo obiadków na wynos, które jadłem podczas pisania książki, bo kto jak kto, ale Ty potrafisz rozpieścić. I dziękuję, że nie zwracałaś uwagi, jak podkradałem Ci szminkę za dzieciaka – ale szykowanie się do roli Ciotki zajmuje lata.

KOCHAM WAS, rodzinko, BARDZO, BARDZO mocno!

Dziękuję mojej najlepszej przyjaciółce Kasi, która stoi przy mnie na każdym kroku, która mnie motywuje, wspiera, krytykuje (ale konstruktywnie) i mówi bez owijania w bawełnę. Dziękuję Ci za twoje rady i przyjaźń, że możemy na siebie liczyć i na starość będziemy sobie podawać szklankę wody.

Dziękuję Dominice Klimczak za wspaniałą okładkę i za naszą przyjaźń od liceum. A jeszcze X lat temu obiecywaliśmy sobie taki projekt i proszę bardzo! Mamy to! Dziękuję za twój artyzm i za twoje serducho! :)

Dziękuję moim przyjaciołom, którzy zawsze wspierali moją kolorową, głośną osobę. Nie wiem, jak mieliście i macie siłę ze mną wytrzymać. Dziękuję, że mogłem być przy Was sobą.

Dziękuję też mojej ówczesnej miłości. Byłeś dla mnie ogromnym wsparciem i motywowałeś mnie każdego dnia, nie tylko przy książce.

Dziękuję też różnym osobom z rodziny i nie tylko, które wiecznie inspirowały i inspirują mnie do tworzenia nowych filmików.

Podziękowania należą się też każdemu z WAS – drodzy czytelnicy. Każdemu z OSOBNA. Każdy z Was przyczynił się do rozwoju i sukcesu Ciotki. Lajkujecie, komentujecie, udostępniacie, obserwujecie i to napędza tę całą naoliwioną (nie to, co kości Maślakowej) maszynę. Dziękuję za to, że byliście i jesteście. Dziękuję, że mnie oglądacie, i dziękuję, że razem tworzymy ogromną CIOTKOWĄ

RODZINKĘ. Jestem Wam baaaaardzo wdzięczny za wszystko, co dla mnie robicie. Cieszę się, że mam takich wspaniałych fanów i mam nadzieję, że ta książka jest dla Was pewnego rodzaju niespodzianką, która przyniesie Wam wiele frajdy. Jestem bardzo szczęśliwy, kiedy każdego dnia wywołuję uśmiechy na Waszych twarzach. To najpiękniejsza nagroda. KOCHAM WAS!

Na koniec – może się to wydawać trochę narcystyczne, ale chciałbym podziękować sobie. Bo o sobie też trzeba pamiętać. Dziękuję sobie, że miałem odwagę, by spróbować. Dziękuję sobie za dystans do siebie samego, za optymizm, pozytywną energię i kreatywność. Dziękuję sobie, że nie bałem się być sobą, bo dzięki temu jestem tu, gdzie jestem. Przeszedłem różne kręte drogi, które doprowadziły mnie tutaj. I powiem jedno – nie mogę się doczekać kolejnych przygód!

Ściskam Was gorąco,
Mateusz Glen
Ta Jedna Ciotka.

MIEJSCE NA ŁZĘ MAŚLAKOWEJ

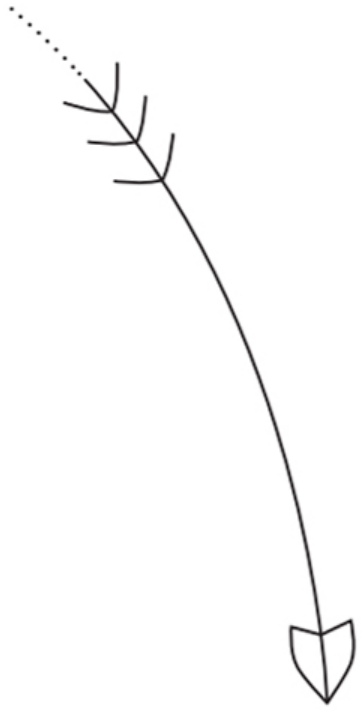

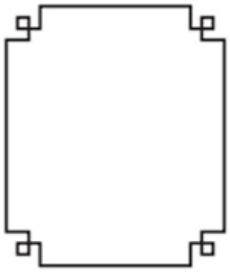

Mam nadzieję, że kipisz z zazdrości.
Patrz, jak ja mam, a ty nie masz!

Historia w Ciechocinku to jedna z licznych przygód Ciotki, ale jest tak obszerna, że toć trzeba było ją spisać!

Serdecznie zapraszam Was na moje profile w social mediach, gdzie możecie obejrzeć co prawda krótsze, ale równie zabawne przygody! Dejta spokój, toć już tych filmików tyle powstało, że Moda na sukces miałaby konkurencję, gdyby zrobili serial o Ciotce. W końcu, jak często piszecie: „Dzień bez Ciotki dniem straconym", zatem kto nie widział – niech lepiej szykuje popcorn! Miłego oglądania! (Mateusz Glen ani Ta Jedna Ciotka nie biorą odpowiedzialności za ewentualne popuszczanie w gacie ze śmiechu, doradzają jednak nie spożywać za dużo płynów przed włączeniem filmików)

INSTAGRAM

https://www.instagram.com/mateuszglen_official/

TIKTOK

https://www.tiktok.com/@mateusz_glen

YOUTUBE

https://www.youtube.com/channel/
UC9v8IAnSkqPLbZLassqca6Q

Wydawczyni
Olga Orzeł-Wargskog

Redaktorka prowadząca
Dorota Trzcinka

Ilustracja na okładce
Dominika Mishka Klimczak

Projekt okładki
Marcin Wierzchowski

Redakcja
Paulina Jóźwik, Joanna Mika

Opieka redakcyjna
Sylwia Stojak

Adiustacja
Magdalena Wołoszyn-Cępa

Korekta
Sylwia Chojecka, Kinga Kosiba

Projekt typograficzny
Daniel Malak

Opieka promocyjna
Marta Greczka

Copyright © by Mateusz Glen
Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2024

ISBN 978-83-8367-081-2
Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik